

DLACZEGO ŚWIAT MILCZY?

**Izraelskie ludobójstwo
w Strefie Gazy nie ustaje**



**Pierwszy miesiąc Leona XIV
– co czeka Kościół
z nowym papieżem?**

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 24/633 9–15 CZERWCA 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY



**PIOTR GOCIEK
OPROWADZA PO KRECIE
– ŚLADAMI ŚW. PAWŁA**

**Rośnie w siłę wielki ruch
w obronie polskich szkół**

Tusku, odejdź!

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 42 500 egzemplarzy

eprasa.pl 14ee39649e

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Nowa, finalna data zapisów
na akcje Do Rzeczy S.A.
do 13 czerwca.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

**Inwestuj
w wolność!
Kup akcje
Do Rzeczy S.A.**

Łukasz Warzecha
PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
- LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA NEW/CONNECT (GPW)



Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.

Przyszłość nowego prezydenta



PAWEŁ LISICKI

Jeszcze raz się udało – można powiedzieć po tym, jak ostatecznie Karol Nawrocki pokonał Rafała Trzaskowskiego i został nowym prezydentem Polski. Przyznam, że na początku byłem sceptykiem, jeśli chodzi o kandydaturę prezesa IPN, jednak, jak się okazało, nie doceniłem stopnia nieudacznictwa i miałości obecnie rządzącej ekipy. Donaldowi Tuskowi i reszcie jego gangu Olsena udało się bowiem to, co wydawało się niemożliwe: dysponując gigantyczną przewagą finansową, mając wsparcie służb specjalnych i ręcznie sterując prokuraturą, przegrali z krete-sem. Ba, nie pomogła im nawet świetnie naoliwiona i niezawodnie wierna machina medialna, na czele ze sforami propagandystów udających dziennikarzy. Im bardziej się nadymali, im bardziej się emocjonowali, im mocniej uderzali, tym bardziej budowali Karola Nawrockiego.

Nie zauważyli, że rozpętana przez nich kampania budzi coraz większy strach ogółu Polaków, którzy szybko doszli do wniosku, że oddanie pełni władzy takiej ekipie – nieudolnej, żądnej zemsty i pozbawionej jakichkolwiek skrupułów – musi się dla Polski zakończyć fatalnie. Z tego też powodu najbardziej nośnym hasłem ostatniego tygodnia kampanii były słowa „Byle nie Trzaskowski” czy „Tylko nie Trzaskowski”. Występ robiącego wrażenie starego wariatka Donalda Tuska w Polsce uświadomił wielu, z czym mamy do czynienia. Ludziom nie zrównoważonym emocjonalnie należy współczuć i zapewnić im troskliwą opiekę, a nie oddawać pełnię kontroli nad państwem – taki chyba wniosek musieli wyciągnąć widzowie tego dość osobliwego spektaklu. Dodatkowo Rafał Trzaskowski, co może nie było wielkim

zaskoczeniem, okazał się kandydatem miernym, banalnym i pustym.

Karol Nawrocki wygrał, bo poza wspierającym go od początku elektoratem PiS – w pierwsze turze nie wystarczyło to do zajęcia pierwszego miejsca – opowiedział się za nim, jako za mniejszym złem, ogół wyborców Sławomira Mentzena (88 proc.) i Grzegorza Brauna (94 proc.). Zwycięstwo osiągnięte w taki sposób daje mu silny mandat demokratyczny, ale – co może bardziej istotne – pozwala wierzyć, że będzie bardziej podmiotowy niż jego poprzednik, Andrzej Duda. Wprawdzie z doświadczenia wiadomo, że politycy co innego deklarują podczas kampanii wyborczej, a co innego robią później, tym razem wszakże może być inaczej.

Po pierwsze – wydaje się, że Karol Nawrocki faktycznie w sensie światopoglądowym nie jest odległy od Konfederacji, a w pewnych aspektach nawet od Grzegorza Brauna. Daleko mu do elastycznych i gotowych się dostosować do każdego nakazu prezesa wielu polityków PiS. Po drugie – to właśnie wyborcom niepisowskim zawdzięcza zwycięstwo. Te siły na pewno nie znikną z polskiej polityki. Przeciwnie, można sądzić, że tak Konfederacja, jak ugrupowanie Grzegorza Brauna będą rosły w siłę. A to oznacza, że jeśli prezydent będzie chciał odgrywać samodzielną rolę w przyszłości, to już dzisiaj będzie się musiał z nimi liczyć. W kilku ważnych kwestiach – sprzeciw wobec Zielonego Ładu, odrzucenie polityki masowej migracji narzucanej przez Unię, asertywne podejście do Ukrainy, obrona suwerenności przed centralą unijną – nowy prezydent nie tylko będzie się różnił od swego poprzednika, lecz także będzie mógł liczyć na wsparcie różnych sił prawicowych. To sprawia, że

w naturalny sposób jego urząd będzie się mógł stać ważnym ośrodkiem politycznym.

Jest to tym bardziej prawdopodobne, że – jeśli chodzi o obóz obecnie rządzący – będzie on jedynie wegetował. Potężny cios, który otrzymali Donald Tusk i jego zaplecze, sprawi, że w tej chwili jedynym celem politycznym tej ekipy będzie dotrwanie do końca kadencji i oddalenie na tak długo, jak to możliwe, nieuchronnych rozliczeń. Dla wielu członków rządu oznacza to realne widmo więziennych krat. Można być pewnym, że za to wszystko, co robili od grudnia 2023 r., spotka ich, prędzej czy później, zasłużona kara.

Dotyczy to zarówno samych polityków, jak i urzędników pomagierów. Jestem pewien, że wymyślone przez ministra Adama Bodnara narzędzia mające służyć rozprawie z opozycją, z których najbardziej skuteczne okazało się posługiwanie kategorią „zorganizowana grupa przestępcza”, zostaną zastosowane przeciw ich pomysłodawcom. To tylko kwestia czasu. Dlatego najbardziej uwikłani będą myśleć, w miarę mijającego czasu i nadchodzących wyborów parlamentarnych, dokąd zbiec i gdzie się schronić z solidnym immunitetem w rękę, a reszta będzie się martwić o to, jak najmniej się narazić.

Czy w takiej sytuacji Karolowi Nawrockiemu uda się zakończyć ten nieuchronny proces gnicia państwa i doprowadzić, przy wsparciu tych samych sił, które opowiedziały się za nim w wyborach czerwcowych, do szybszej zmiany rządu? Jedno jest pewne: im dłużej obecna ekipa trwa przy władzy, tym gorzej dla Polski. Tusk et consortes dostali czerwoną kartkę. Pora zejść z boiska i oddać miejsce innym. ©©



TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ABOLICJA, KTÓREJ NIE BĘDZIE
Czy bezprawie koalicji rządowej zostanie rozliczone?

21 PIOTR SEMKA
ILE WYTRZYMA KOALICJA TUSKA?

24 ŁUKASZ WARZECHA
PRAWICA PRZECHODZI ZMIANĘ

KRAJ

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
BEZ GRAMA ŻENADY
Reakcje na wyniki drugiej tury

30 ROZMOWA Z AGNIESZKĄ PAWLIK-REGULSKĄ
ZATRZYMAĆ SZALEŃSTWO MEN

33 ROZMOWA Z PROF. WANDĄ OLECH
MARTWIĘ SIĘ O POLSKIE ŻUBRY

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ROK NIEBEZPIECZNEGO ŻYCIA
Przewrót skąpany we krwi

40 ROZMOWA Z BEATĄ GUCZAŁSKĄ
KONRADA SWINARSKIEGO LĘK PRZED ŻYCIEM

43 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – ANTONINA KRZYSZTOŃ

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 ANNA MANDRELA
NIE DAJMY SIĘ WCIĄGNĄĆ W PLAN TRUMPA
Na co powinna uważać polska prawica

52 FILIP MEMCHES
ŻYDZI I ROSJANIE – RAZEM PRZECIW ZACHODOWI?

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PIERWSZY MIESIĄC LEONA XIV

HISTORIA

56 JACEK KOMUDA
JAK KRZYŻACY ZNIEWOLILI PRUSY
Narodziny potęgi

ŚWIAT

62 PIOTR WŁOCZYK
ZAGŁADA GAZY
Świat ma dość przymykania oczu na zbrodnie Izraela

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
W PAJĘCZEJ SIECI KIJOWA

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
WIELKIE BANKOWE PRZETASOWANIA
Rewolucja w sektorze finansowym

71 JAKUB WOZIŃSKI
GDZIE DIABEŁ MÓWI: NAGRYWAM

PODRÓŻE

76 PIOTR GOCIEK
ŚLADAMI ŚW. PAWŁA
Fragment nowej książki publicysty „Do Rzeczy”

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmiński, Dominika Cośic (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Łukasz Czamecki, Wojciech Głoniński, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczek, Dariusz Wieroniewicz, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Zygałdo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),

Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczyk-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **Marysia Zawada/Reporter, Adam Burakowski/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl

tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

Druk: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

e-mail: prenumerata@poczyta.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@pocztyta.pl

www.pocztyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 42 500 egzemplarzy



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Tusk prosi, włącz blaga, o wolnym zaufaniu



Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Niereformowalni

*W potoku spamu na moją skrzynkę
e-mailową wpada m.in. newsletter „Ga-
zety Wyborczej”, który to czasem omiotę
wzrokiem. Oczywiście podczas kampanii
i tuż po niej lektura tytułów i zająwek
serwowanych z Czerskiej sprawia mi
najwięcej radości. Jeden zapamiętałem
szczególnie: „Będą parady i rozwody,
a dziki zeżrą kukurydzą. Czego boi się
wieś po wygranej Trzaskowskiego”. Aż
kliknętem!*

*Czegóż tam nie było! Pan redaktor
wybrał się na Podlasie i w pierwszych
akapitach zaskakuje swoich wielko-
miejskich czytelników, że u pani Bożeny
w domu jest... ekspres do kawy. Na wsi!
Na Podlasiu! Ekspres! Pani Bożena aż
wzdryga się, gdy słyszy, że może wygrać
Trzaskowski, a pan redaktor zdaje się jej
robić zarzut z tego, że wiejska kobieci-
na nie lubi, jak się jej coś narzuca („tak
samo jak ze szczepionkami na COVID”),
dlatego nie ogląda TVP w likwidacji. Syn
pani Bożeny z redaktorem nie pogadał,
bo karmił cielaki. Kazał tylko przekazać,
że głosował na Mentzena.*

*Mógłbym tak dalej opisywać ten
artykuł, ale nie po to ten list. Każdy z nas
naczytał się takich bez liku. Po wyborach
w jednym z newsletterów czytam:
„Trzaskowski mógł łatwo dostać głosy
400 tys. mieszkańców wsi. Co poszło nie
tak?”. Co poszło nie tak? Lewicowe media
najpierw traktują nas jak dzicz, która
przeziębienie u dzieci nadal leczy poprzez
włożenie ich do pieca na trzy zdrowaśki,
a później dziwuje się, że wieś nie głosuje
na wskazanych przez salon kandydatów.
Mojego głosu mieć nie będziecie. Mimo
że wydaje się wam, że łatwo go kupić
„socjałem”. Nic nie wiecie o polskiej wsi.*

Piśmienny z Podlasia

NEKROLOG

Piotrowi Kowalczukowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



Mamy

składają przyjaciele
z „Do Rzeczy”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Przez ukraińskie okulary

Przez ostatnie trzy tygodnie polskiej kampanii prezydenckiej starałem się niemal co dzień zaglądać na czołowe portale newsowe na Ukrainie. Ciekawy byłem, jak nasza elekcja wypada w oczach ukraińskich dziennikarzy.

Pierwszy wniosek to nużąca powtarzalność klisz, skopiowanych żywcem z największych zachodnich dzienników. Z ich negatywnym obrazem prawicy i zachwytem nad Trzaskowskim. Nie potrafię się oburzać, bo sam pamiętam, jak na początku lat 90. chłonałem opinie z „The Economist” czy „Le Figaro” jako objawioną prawdę. A Ukraina jest właśnie na etapie Polski z lat 90., wzdychającej do Zachodu.

Dруга obserwacja: wszystkie informacje na temat polskiej kampanii analizowane były głównie pod kątem tego, czy wpłynie to na sytuację Ukrainy w warunkach wojny z Rosją. W tym kontekście Karola Nawrockiego uznawano za kandydata niechętnego Ukrainie. Wysuwano obawy, czy Polska nie dołączy do bloku niechętnych wobec Kijowa takich krajów jak Węgry

czy Słowacja. Pewną odmianą tego typu zaszufadkowań były, choć na szczęście nieliczne, opinie wprost uznające, że skoro Nawrocki nie popiera wejścia Ukrainy do NATO, to musi być kandydatem prorosyjskim. I znów po części mogło to wynikać z kopiowania tez z wielu zachodnich dzienników. A wszystkiemu towarzyszy w ukraińskich mediach jeszcze trzecia obsesja. Polega ona na doszukiwaniu się ukrytego rosyjskiego wpływu w każdej krytyce zachowania Kijowa.

I wreszcie czwarta cecha pisania przez Ukraińców o Polsce – skoki emocji. Najpierw się obawiano, że wygrana Nawrockiego spowoduje wręcz lodowaty okres w relacjach Warszawy z Kijowem. A gdy po wygranej Nawrockiego ukraińskie portale podały dość grzeczna odpowiedź prezydenta elekta na depeszę gratulacyjną Wołodomyra Zełenskigo, wyczuć się dawało ulgę. Wybuchła wręcz fala optymizmu: „A więc nie jest jeszcze tak źle!”.

Ale na ten przypływ pozytywnych emocji niektórzy ukraińscy publicyści mieszkający w Warsza-

wie potrafią wylać kubeł zimnej wody. Olena Babakowa ostrzega na Facebooku, że uznawanie, iż wygrana Trzaskowskiego byłaby lepsza niż sukces Nawrockiego, to naiwność. I wskazuje, że idea ustanowienia przez Sejm dnia 11 lipca Narodowym Dniem Pamięci o Polakach – ofiarach ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej została zgłoszona przez PSL, a poparli je niemal wszyscy obecni posłowie, bez jakiegokolwiek różnicy partyjnej.

Polska prawica nie ma zazwyczaj cierpliwości do studiowania niuansów ukraińskich nastrojów w trzecim roku wojny z Rosją. A warto to robić choćby po to, aby zrozumieć, że spojrzenie ukraińskich elit na wszystko uwarunkowane jest przez lęk o niepodległość ich kraju. I to jest miara wszechrzeczny, choć dla Polaków ta maniera bywa drażniąca. Tyle że bez brania pod uwagę tego czynnika my sami będziemy wyciągać fałszywe lub przesadne wnioski z tych czy innych publikacji nad Dnieprem. Poszerzajmy wiedzę, a potem wydawajmy sądy. ©



FOT. TOYAN NENOV/REUTERS/FORUM

BUŁGARIA PRZYJMIE EURO

Komisja Europejska ogłosiła 4 czerwca, że Bułgaria spełniła tzw. kryteria konwergencyjne i 1 stycznia 2026 r. może wstąpić do strefy euro. Zostanie wówczas 21. państwem członkowskim UE, w którym obowiązuje wspólna waluta. Według badań opinii Bułgarzy nadal są jednak w tej kwestii podzieleni. Połowa respondentów wciąż nie chce euro, bo obawia się, że wspólna waluta wiązać się będzie ze wzrostem cen, a także doprowadzi do utraty kontroli nad polityką monetarną kraju. (jap) ©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LITERSKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„BAJECZNA CHORWACJA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1403~~ ZŁ

496,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 967 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPLATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 14ee39649e



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Stara nowość

Książka „Związek partnerski. Rozmowy o Polsce”, napisana wspólnie, w formie dialogu, przez Sylwię Spurek i Marcina Anaszewicza, przysporzyła mi swego czasu radości jak mało co. Jest to dzieło ludzi – śmiem twierdzić – niespecjalnie mądrych, ale z nawiązką nadrabiających ten brak byciem niezwykle po linii i na bazie, w głównym nurcie i na czele. A przede wszystkim niezwykle dumnych ze swej, jak to się ujmuje w tych sferach, przeżajefajności i epatujących nią z dumą: patrzcie i podziwiajcie, żyjemy na kocią łapę i wcale nie potrzebujemy niczego legalizować, jesteśmy wege i eko, walczymy o prawa zwierząt, gejów i lesbijek i, last but not least, nie musimy

jak zwykli ludzie pracować, bo „działamy”. W czym i jak działa Sylwia Spurek, czytelnicy wiedzą. Jej mniej znany partner natomiast działa w partii Wiosna Roberta Biedronia (aktualnie: Lewica).

Po co tam działa? Wyjaśnia to w książce: bo w przeciwieństwie do „starych partii” (dostaje się tu nawet PO, wtedy pod wodzą Grzegorza Schetyny), które dla własnego interesu chcą zachować korupcyjny system w państwie, Biedroń i Anaszewicz naprawdę odpartyjnią struktury państwa, służbę cywilną i spółki Skarbu Państwa, „sprofesjonalizują je” i sprawią, że skończą się nominacje partyjne, a o wszystkim decydować zaczną merytoryczne kwalifikacje.

To był rok 2019. W roku 2025, właśnie niedawno, pan Anaszewicz mianowany został – jak podała Wirtualna Polska – zastępcą dyrektora Centralnego Ośrodka Informatyki z pensją 44 tys. zł brutto, bez żadnego konkursu, po układzie partyjnym. Działacz od praw zwierząt i mniejszości seksualnych z cyfryzacją ma wprowadzić tyle wspólnego, co „cyfrowane portki”, w życiu nie zajmował się informatyką, ale instytucja ta w koalicyjnych układankach przypadła Lewicy, partii Czarstego i Biedronia, a także towarzyszy Wieczorka, Kulaska i Szejny. I lepszej okazji, żeby zmonetyzować dotychczasową działalność, „aktywista obywatelski” nie znajdzie, bo partie – jak widać – też się z czasem starzeją. © ©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Ostatnie Pokolenie

Renan miał rację: naród to wielki codzienny plebiscyt. My w ubiegłym tygodniu nasz wygraliśmy. Tę decyzję trzeba dobrze rozumieć – jak zdanie Renana. Głosowanie odbyło się wewnątrz narodu i wewnątrz narodu wola suwerenności i poczucie tożsamości przeważały nad bezwolnym poddaniem się protekcji zewnętrznej, z dryfem donikąd, z niemyśleniem o przyszłości.

Wygraliśmy, ale teraz zaczyna się nowy rozdział polskiej polityki, czas zmagania z rzeczywistością, z faktami, a nie z wyobrażeniami o nich. Oczywiście wielu polityków chciałoby pozostać w świecie niekończącej się wyborczej propagan-

dy, a przede wszystkim chciałoby zatrzymać w nim społeczeństwo. Bo to, co nas czeka, będzie o wiele trudniejsze.

Pod koniec kampanii wyborczej bez echa przeszła wiadomość tragiczna. (Nie ma żadnej przesady w tym określeniu, bo nie sposób użyć innego). Nadchodzi Ostatnie Pokolenie. Badania statystyczne wykazują, że w Polsce dzietność ciągle spada i jest nie tylko poniżej poziomu europejskiego, lecz także środkowoeuropejskiego. Wymierająca Polska staje się otwartym terenem pod imigracyjną kolonizację.

Socjologia dowodzi jednak, że trendom demograficznym można się opierać, tak jak – do początków

XXI w. – opierała się im Irlandia. I można je odwrócić – tak jak w XXI w. odwrócili je Izraelcy Żydzi. Trzeba mieć tylko poczucie ludzkiej i narodowej odpowiedzialności.

T.S. Eliot pisał, że przyszła cywilizacja chrześcijańska będzie kierować się wszelkimi danymi nowoczesnej socjologii. Bo choć wpływ państwa na zmiany społeczne jest jedynie pośredni, to tym bardziej nie można zaniechać tych pośrednich działań. A najważniejsze to otwarcie mówić społeczeństwu, że państwo nie zrealizuje dobra wspólnego ani w sferze ekonomii, ani bezpieczeństwa, jeśli nie będziemy chcieli przekazywać życia kolejnym pokoleniom. © ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ludzie, opamiętajcie się!

Ktoś wrzucił do rynsztoka, czyli włoskiego Internetu, cuchnący, obrzydliwy wpis: „Życzę córce Meloni, by przytrafiło się jej to samo, co tej dziewczynie z Afragoli”.

Córka pani premier, Ginevra, ma dziewięć lat. Natomiast dziewczyna z Afragoli to 14-letnia Martina Carbonara. Zamordował ją kilkoma uderzeniami kamieniem w tył głowy jej 19-letni chłopak. Zdaniem lekarzy wielominutowa agonia była męczarnią. Morderca ukrył ciało w pobliskiej szopie, wrócił do domu, umył się i przebrał. Następnego dnia wziął udział w poszukiwaniach dziewczyny. Policja nabrała podejrzeń. Podczas przesłuchania morderca przyznał się do winy. Tłumaczył, że zabił Martine, bo zamiast go

przytulić, odwróciła się plecami. Tragedia przez kilka dni była na ustach całej Italii.

Natomiast ohydny wpis życzący dziewięcioletniej Ginevrze śmierci w męczarniach tylko dlatego, że jest córką szefowej rządu, zrobił furorę w necie. Zainteresowała się nim również włoska policja. I okazało się, że autorem tego kretyństwa jest stateczny 65-letni Stefano Addeo, zaangażowany politycznie nauczyciel niemieckiego w jednym z liceów pod Neapolem. Włoskie media podały jego personalia, nierzadko ze zdjęciem. W wywiadzie dla „Corriere della Sera” pan Stefan wyjawiał, że nie znosi przemocy i bardzo kocha zwierzęta. Wpis popełnił w nocy pod wpływem impulsu i może czegoś jeszcze,

gdy usłyszał w dzienniku telewizyjnym, że Włochy dostarczają broń Izraelowi. Potem utyskiwał, że boi się teraz wyjść z domu, i skarżył się, iż ktoś rzucał w okna jego mieszkania zgniłymi pomidorami.

W Polsce też kretyńców nie brak. Anna Maria Anders, gdy była ambasadorem RP w Rzymie, na cmentarzu na Monte Cassino złamała kość udową. Z powodów zawodowych szukałem informacji i szczegółów. Przypadkiem trafiłem na jakiś polski chat debili i wpis: „Życzę jej, żeby dostała krwotoku”. Trudno się dziwić, skoro demonizacja politycznego adwersarza i podjudzanie stają się najważniejszym narzędziem politycznej bijatyki. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

RAFAŁ, ZASTANÓW SIĘ NAD SOBĄ

Albo lament, albo euforia. Mamy to pierwsze. Celebryci ciężko przeżyli przegraną „Trzaska” w wyborach prezydenckich. Mobilizacja była ogromna – influencerki publikowały posty i relacje w czerwonych koralach, namawiały do oddania „jedynego słusznego głosu”, bo inaczej Polska się zawali, wszystkie celebryckie ręce na pokład. Wśród załamujących ręce jest prezenterka Joanna Racewicz. „Nie będę nikogo pocieszać. Nie zaśpiewam, jak po meczu: »nic się nie stało«. Stało. Może nawet więcej, niż dziś myślimy. Pora przyjąć na klatę twarde zderzenie ze ścianą. Pora pojąć, że argument: »dajcie jeszcze szansę«, nie działa. Jest jak kulą w płot. Głos rozpacz. Tak, macie rację. Piszę to także do samej siebie. Lista niezadowolonych przez rząd spraw, wpadek, zawiedzionych nadziei, obietnic jest zbyt długa. Katalog nieporadności sztabu RT, jego pychy nie do przyjęcia. Nawet dla kogoś, kto wierzył. A najgorsze, że to recydywa. Porażka już była. Pamiętacie kampanię 5 lat temu? No właśnie... Nie ma co gniewać się na wyborców KN, obrażać, że »głupi naród« i »wybrał sutenera i gangstera«. Bo wielu głosowało na KN w kontrze do RT. W niezgodzie na monopol władzy rządu i pałacu. Ze strachu przed tym, czego RT nie umiał obronić. W podziw dla »gościa, który udźwignął ataki« – zauważa dość

trzeźwo. Racewicz podkreśla, że dziś społeczeństwo ma dwa wyjścia. „Mamy do wyboru: przeżyć ten szok i żyć dalej. Chociaż próbować. W jednym kraju obok siebie. Tak. To skrajnie gorzka pigułka [...]”. Bo za dwa lata obudzimy się w Polsce z premierem Czarnkiem, Mentzenem albo Braunem. Zabolalo? Powinno. Jest też druga droga: foch, pogarda i emigracja. We wnętrzu albo faktyczna. Tylko efekt będzie dokładnie jak ten wyżej opisany. Rozpacz? Tak. A potem zakasanie rękawów. Refleksja i działanie” – zagrzewa prezenterka. Na koniec Joanna Racewicz wystosowała apel do samego Trzaskowskiego. Wskazała na niestosowność jego zachowania podczas wieczoru wyborczego (ogłosił swoją wygraną, bazując na exit poll). „Czy warto było pić szampa, gdy piłka w grze? Ech, panie RT...” – zakończyła.

JANDA UMĘCZONA

Najbardziej współczujemy Krystynie Jandzie, która znowu mogła się poczuć, jakby ktoś na nią... no, wiadomo co, to tygodnik na poziomie. Pani Kryśka wstydzi się za współrodaków, bo kolejny raz wybrał źle. „Dziś wstyd za innych i upokorzenie. Współczucie dla nas wszystkich, ale przede wszystkim przegranych. Polska znów zaczyna iść do tyłu, a nienawiść rośnie z dnia na dzień” – czytamy na Facebooku aktorki. Ostatnią nadzieją są wybory parlamentarne. „Dwa lata do wyborów parlamentarnych. Październik 2027” – wskazuje Janda. Polacy, macie jeszcze czas na refleksję. Nie zawiódźmy umęczonej Pani Krysi.

KONIEC POLSKI

Pisarka Manuela Gretkowska nie gryzie się w język, a raczej w klawiaturę. Zaatakowała nie tylko przyszłego, lecz także z rozpędu i aktualnego prezydenta. „Po debilu, bandycie, następnym to mieszańka tych dwóch, pomnożona przez okrucieństwo, czyli Ruscy. Profesor Dudek znający dobrze Nawrockiego przewidywał, że na życzenie prezesa podłoży dynamit pod państwo, tam, gdzie prezydent ma coś do powiedzenia: zwierchnictwo sił zbrojnych i polityka zagraniczna. Już to znamy: spór, »zarządzanie przez konflikt«, chaos, wcześniejsze

wybory” – wieszczy. Gretkowska już wie, że Polskę czeka ciemnogród. „W parlamentarnych wyborach Polska postawi na prawicowo-mentzenowską przyszłość narodu, tak jak na menta (pisownia oryginalna) Nawrockiego: prostego człowieka, co to wyszedł z gangsterki na doktora” – ostrzega. Rzecz jasna, nie mogło zabraknąć rytualnego obrażania wyborców, którzy nie dorosli do demokracji. „Modelowy, 100% wyborca prezydenta i naszej przyszłości to młody mieszkaniak ściany wschodniej, o zdrowych, prawicowych przekonaniach. Takiego kościelnego patriotę, geograficznie pierwszego na drodze, rozjedzie ruski czołg, zdepcze onuca. Ale mit ofiar, własnej głupty mamy we krwi” – wytyka Gretkowska.

PARTIA CZERWONYCH KORALI

Żeby nie było tylko tak defetystycznie, Manuela Gretkowska ma „plan”. Jaki? Genialny. „Może w tym nasza siła, bo tylko kobiety mogą w Polsce wygrać. Nie chodzi o to, żeby nosić czerwone koraliki i do siebie porozumiewawczo mrugać. Gdyby za rok, Senyszyn, Biejał, Nowacka i Trzaskowska założyły partię »Czerwonych koraliki«, zanim koraliki zamienią się w krople krwi przelewanej za ojczyznę, niepodległość kobiet maltretowanych przez prawo i prawdziwych mężczyzn, całe to barbarzyństwo. Dałoby to przeciwwagę temu, co szykuje się w sejmie i przyszłości. Joaśka, Baśka i Małgośka miałyby szansę dostać tyle głosów, by przy słabnącej PO, nie dopuścić do prawicowej większości” (pisownia oryginalna) – proponuje pisarka. Jednak i tu pojawia się problem, bo taka partia wcale nie musiałaby podbić serc polskich kobiet. „Ale najpierw Polki musiałby wyzwolić się ze współzależności od mężczyzny, mentalu oddzielającego od oczywistości. Czy nas na to stać, żeby zawalczyć o siebie i nasze dzieci? Nikt dla nas ani za nas tego nie robi, nie mamy złudzeń. Polska jest Kobietą, takie było hasło Partii Kobiet, którą zakładałam lata temu, i nic się nie zmieniło, tylko kobietom i Polsce gorzej” – stwierdza. ©©



FOT. PAWEŁ WODZIŃSKI/FAST NEWS

KSIEGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY
DO KSIEGARNI
DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

No i co, kochani? Pisaliśmy Wam przed tygodniem, iż się boimy, że nie będzie dobrze, i się okazało (który to już raz), iż mieliśmy rację. Niestety, wyborcze zwycięstwo kandydata obywatelskiego cofnie nas do średniowiecza, a może i dalej – na pogranicze Podkarpacia i Lubelszczyzny, gdzie ludzie wciąż chodzą do znachorów, wsadzają dzieci do pieca na trzy zdrowaśki, jedzą własnoręcznie ubite mięso i głosują na wszystko, co się kojarzy z pis.

Pewnie już widzieliście, iż prezydenta wybrała nam niewykształcona hołota z mniejszych ośrodków, zafascynowana toksyczną męskością. Wydaje nam się, iż w trakcie kampanii ten przekaz mógł wybrzmieć nieco mocniej, aby zmobilizować najwierniejszy elektorat. Trochę za mało też było o praworządności i wolnych sądach, trochę za mało Giertycha i zdecydowanie za mało narracji o tym, że nie możemy oddać tego kraju we władanie mentalnych januszów z Podkarpacia, którzy nie są nawet godni nie tyle pogardy, ile w ogóle uwagi.

Z tej też okazji, iż czujemy w sobie wewnętrzną złość, postanowiliśmy wskazać palcem, brutalnie wytknąć tych wszystkich, którzy są winni wyborczej porażki (choć wolelibyśmy to nazwać nieporozumieniem) Rafała Trzaskowskiego.

1) Kościół katolicki w Polsce – jak zwrócić uwagę na mapę, to okaże się, iż kandydat obywatelski zwyciężał z dużą przewagą w tych gminach, gdzie ludzie

są bardziej przywiązani do opresyjnej instytucji Kościoła. I nawet jeśli księża aktywnie nie agitowali na ambonach za tym kandydatem, to jednak wielowiekowe formatowanie pseudointelektualne wpłynęło na to, iż ciemnogród wybrał nam prezydenta.

2) Jarosław Kaczyński – przebiegły, chytry, niski dyktator z Żoliborza celowo wymyślił sobie takiego kandydata, iżby

a teraz von wylegendalaj...



2 8 12 5 0 12 8 @ K o b e t t 3 1 6 2 7 5 1 6

Rafał nie miał szans. Było to zagranie zdecydowanie poniżej pasa, nie fair i niezgodne z kulturą polityczną, iżby wziąć kandydata, który nie jest członkiem partii.

3) Szymon Hołownia – co prawda, udzielił Rafałowi poparcia. Ale co to za poparcie, kiedy więcej procent niż Hołownia ma nawet piwo? Gdyby Hołownia zdobył w pierwszej turze odpowiednio więcej głosów, a następnie je przekazał – wtedy Rafał miałby szanse. A tak niestety

tych głosów nie wystarczyło, poparcie Hołowni okazało się niewystarczające.

4) Adrian Zandberg – tu jesteśmy szczególnie rozczarowani, iż wystarczyło kazać swoim wyborcom zagłosować na Rafała, a Zandberg złośliwie tego nie zrobił, a w dodatku teraz wykazuje agresywnie zachowania w Sejmie.

5) Krzysztof Stanowski – ponieważ pozwolił wszystkim kandydatom, iżby u niego wystąpili i opowiadali. Mogło to narobić zamętu w głowach mniej zdecydowanym wyborcom. Podkreślimy zdecydowanie, iż Rafał u Stanowskiego w studiu nie wystąpił.

6) Braun i Mentzen – okazało się, iż obaj zdobyli bardzo szerokie poparcie, większe nawet niż Hołownia, przekabacając znaczną część młodych ludzi w tym kraju na prawicowość. Mogli przynajmniej zdecydowanie odciąć się od kandydata obywatelskiego, ale cichaczem, podstępnie tego nie robili, iżby osłabić Rafała.

7) Wzorzec toksycznej męskości – kandydat obywatelski jest duży, silny, ćwiczy i gra w piłkę. Mogło to zaimponować młodym osobochłopcóm, którzy wciąż są wychowywani pod presją maskulinizmu i są zmuszani do noszenia mięśni.

8) Polacy. No po prostu. Mogli mieć takiego fajnego prezydenta. A co będzie? To, co zawsze. Znowu nie dorośli do demokracji. ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Ciche dni

To jest twoja wina, Sławek! Mówiłeś, że wygrywamy!

Ty poważny jesteś, Rafał?!
Mówiłem, bo inni byli obok, ale mrukałem do ciebie!

Ja mam się domyslać, co twoje mruganie oznacza?! Może tik masz jakiś. Trzeba było wprost gadać. Na idiotę wyszedłem, z Gośką mam ciche dni.

Jak ci raz powiedziałem delikatnie, że marynarkę masz wymiętą, to się obraziłeś na cztery dni.

Bo nie była wymięta. Była!

Nie była!

To idź se do ratusza, tam se siedź.

A ty sobie idź do tego swojego ministerstwa od piłki. Morina to ty nawet na półce nie masz.

A ty masz, a i tak wyszedłeś na głupka. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Mam wrażenie, że myśmy przez te 18 miesięcy [...] zrobili więcej niż nasi poprzednicy przez osiem lat”.

SYMON HOŁOWNIA, marszałek Sejmu, o dorobku koalicji rządowej podczas konferencji prasowej

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



CHINY KONTRA ZACHÓD

Z odmetów chaosu ku potęgze – Państwo Środka przeszło w ostatnich dwóch stuleciach długą drogę od kompletnego upadku, przez szaleństwa epoki Mao Zedonga, aż do nowego jedynowładcy Xi Jinpinga, który chce uczynić z Chin hegemoną

Cud „Pachnącego Portu” – Czy komunistyczne Chiny, stopniowo odbierając Hongkongowi demokratyczne wolności, będą w stanie utrzymać jego wyjątkowy status i powodzenie?

Polski król bez korony – Przez całe wieki do Mieszka II przylegał przydomek Gruśny, choć władca ten nie zasłużył sobie na tak krzywdzące miano

Warmińskie Lourdes – Objawienia maryjne w Gietrzwałdzie, jako jedyne w Polsce, zostały uznane przez Kościół katolicki

Wybawca z Mille Collines – W czasie ludobójstwa Tutsi Paul Rusesabagina uratował ponad tysiąc osób. Trzy dekady później władze Rwandy wtrąciły go do więzienia na dożywocie

Polska iskra – Robotnicy walczący z władzami PRL o swoją podmiotowość stali się inspiracją dla sowieckich dysydentów, którzy w ZSRS chcieli powtórzyć sukces KOR i Solidarności

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

CZERWONY ALERT! ETNA ZNÓW OŻYŁA

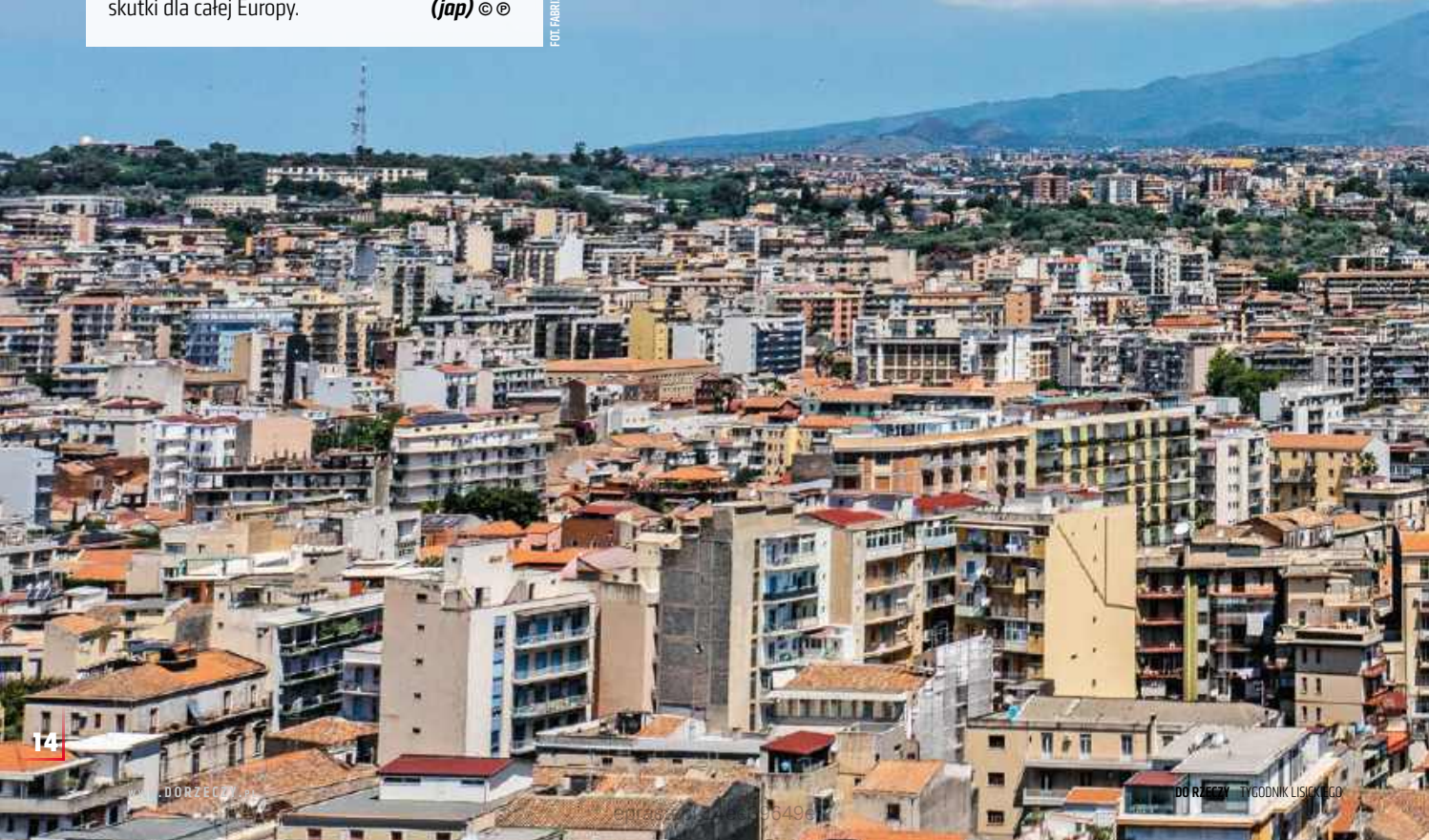
W poniedziałek 2 czerwca doszło do erupcji Etny na Sycylii. W jej wyniku powstała gęsta chmura – będąca mieszaniną gazów, popiołu oraz odłamków skalnych – która sięgała na wysokość ponad 6 km.

Erupcja zmusiła do ucieczki grupy turystów przebywających akurat na zboczu wulkanu. W rejonie Katanii ogłoszono również czerwony alert dla lotnictwa. Ewentualne zanieczyszczenia pyłem wulkanicznym mogą doprowadzić bowiem np. do przegrzania silników samolotu lub ich wyłączenia.

Zdaniem włoskich ekspertów w niedalekiej przyszłości możliwe są kolejne erupcje tego wulkanu. Etna, Stromboli czy Wezuwiusz nie są jednak jedynym zmartwieniem Włochów. Naukowcy ostrzegają również przed wzmożoną aktywnością sejsmiczną położonego w pobliżu Neapolu superwulkanu Campi Flegrei (Pola Flegrejskie). Jego największa erupcja miała miejsce 40 tys. lat temu. Była tak potężna, że doprowadziła wówczas do zmiany klimatu Ziemi. Co prawda, ostatnia erupcja miała miejsce w 1538 r., ale naukowcy ostrzegają, że superwulkan znów się budzi. Włoski Instytut Geofizyki i Wulkanologii (INGV) przygotował już więc plany ewakuacji dla pół miliona osób. Ewentualny wybuch miałby jednak poważne skutki dla całej Europy.

(jap) © ©

FOT. FABRIZIO VILLA/GETTY IMAGES





FOT. GIUSEPPE DI STEFANO/ARPI EAST NEWS



Wszyscy szukają najlepszego bon motu podsumowującego kampanię prezydencką i wybór Karola Tadeusza Nawrockiego na tron Dudowy. My cenimy autorytety moralne, więc bez trudu wskazujemy na słowa Adama Michnika: „Zwyciężyła polska demokracja, a przegrała polska ciemnota”. Wypowiedział je w koszalińskim sztabie PO – co z tego, że po exit poll, a nie po late poll. Mądrego zawsze miło posłuchać.

Na specjalne życzenie publiczności wracamy do słynnej nocy wyborczej i tego, co się działo w sztabie zwycięzców. Nie jest prawdą, jakoby po wynikach exit poll dających przewagę Trzaskowskiemu wszyscy uważali, że karta się odwróci. Nastroje mocno siadły, sala opustoszała, a niektórzy – o zgrozo! – zaczęli domagać się krwi. Zwłaszcza krwi szefa sztabu, Pawła Szefernakera, tudzież np. Przemysława Czarnka. Po godz. 23, gdy przyszły zwycięskie late poll, sala znów wypełniła się ludźmi, a ci

sami osobnicy, którzy wcześniej domagali się krwi, rzucali się na szyję członkom sztabu, ogłaszając ich geniuszami. Ech, życie.

Po mediach krążą jakieś legendy o świętowaniu w środku nocy z gigantyczną butelką whisky i wiadrem lodu. Cóż, wiele do tej pory zarzucano Jarosławowi Kaczyńskiemu, ale nie to, że jest – jak to się mówi – trunkowy. Owszem, w archiwach znajduje się jedno – słownie jedno – zdjęcie prezesa moczącego usta w szklance piwa, ale na tym koniec. My jednak mamy wiedzę insajderską i wiemy, że prezes oczekiwał na wyniki w bardzo optymistycznym nastroju, popijając czerwone wino. Należało się chłopa. Na zdrowie!

Co ciekawe, szeregowy poseł Jarosław Kaczyński pił wino w jednym pokoju, a kandydat/prezydent/elekt – w osobnym. Gdzie byli też rodzina Karola Tadeusza, jego druh Karol Rabenda oraz, co ciekawe, wicepremier Piotr Gliński.

do kancelarii awansować paru członków sztabu. Pytanie brzmi: Których?

Tak czy inaczej, kancelaria prezydenta Karola Elekta Tadeusza przeżyje inwazję z IPN. Jaką? Otóż gigantyczną. Nawet nie jesteście sobie w stanie wyobrazić jak wielką – tak przynajmniej mówią nam ludzie dobrze zorientowani. Trochę nas to smuci, bo chcielibyśmy, żeby w tym IPN jednak ktoś został. Ktokolwiek.

Nie mamy natomiast dobrych wieści dla Emilii Wierzbicki, która rzecznikowała Karolowi Tadeuszowi. Wiadomo już, że nie będzie rzecznikowała w kancelarii prezydenckiej. Co gorsza, nie wiadomo, czy dostanie tam cokolwiek. Uwagi obserwatorów nie umknęło bowiem, że na zdjęciach czasu kampanii dominowały jej selfiki, a nie zdjęcia kandydata. W kwestii nowego/starego rzecznika Nawrockiego, czyli Leśkiewicza, wiemy, że za selfikami w pracy nie przepada, czego dowiódł w IPN, zawsze grając na szefa.

Całkowitą bzdurą jest natomiast opowieść o tym, jakoby Jarosław Kaczyński zaproponował Nawrockiemu do kancelarii Marka Kuchcińskiego, a Nawrocki tą kandydaturą wzgardził. Otóż, po pierwsze, Kuchciński nie chciał. Po drugie, Kaczyński nie proponował. Mamy mówić dalej? Żli ludzie opowiadają, że historijkę rozpowszechniał Przemek Wipler, który mocno orientuje się na prezydenta elekta. Podobno nawet bardziej niż na Sławomira Mentzena.

À propos konfederatów – dni po wygranych wyborach prezydenckich charakteryzują się dużą intensywnością życia towarzysko-alkoholowego, w którym biorą udział pospółto młodzi PiS-owcy i młodzi konfederaci. Słyszeliśmy nawet, że dzwoniło z Konfy do pewnego wpływowego polityka PiS ze skargą, że PiS-owcy konfederatów, jak by tu powiedzieć... rozpijają. Nie dziwnym się, znamy skład grupy imprezowej dowodzonej przez posła z imieniem na Ł.

Wracając do wyborczej nocy w PiS. Atmosferę, która i tak była radosna, poprawiały jeszcze meldunki

dwaj panowie g

Żeby było jasne – mamy też zapisane sporo nazwisk chętnych do świętowania, których nie wpuszczono ani do prezesa, ani do elekta. Zdziwilibyście się, widząc, jak wiele jest na niej tzw. ważnych nazwisk.

Oczywiście postać Karola Rabendy wzbudza uzasadnione spekulacje w kontekście obsady Kancelarii Prezydenta. I nie są one nieuzasadnione. Rabenda to przyjaciel rodziny od wielu, wielu lat i słyszeliśmy o jego kandydaturze tak z miesiąc temu. Natomiast prawdą jest, że pojawiła się koncepcja, by



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

kretów działających w różnych innych miejscach. Jeden z kretów na bieżąco informował np., co się dzieje w real timie na Czerskiej. Jak się domyślicie, cytaty te wywoływały największe wybuchy wesołości.

W tym samym czasie, kiedy nastroje na wieczorze wyborczym PiS falowały, Telewizję Republika nawiedził Przemysław Czarnek. Będąc na antenie, dowiedział się, że Nawrocki prowadzi w wyścigu. Wiedzieliśmy wiele o Czarńku, ale że potrafi tańczyć, było dla nas tajemnicą. Tymczasem Czarnek opuszczał studio, właśnie płasząc. Nie ukrywamy – uważamy, że byłby dobrym kandydatem do „Tańca z gwiazdami”.

W związku z tzw. nową sytuacją pojawiają się pytania. Na przykład: Co do cholery jeszcze robi Peezel w Trzeciej Drodze oraz w rządzie Donalda Tuska? Niestety, Władek Kosiniak-Kamasz martwi się głównie tym, jak przetrwać nadchodzący kongres partii,

Bzdurą jest opowieść o tym, jakoby Kaczyński zaproponował Nawrockiemu Kuchcińskiego, a Nawrocki tą kandydaturą wzgardził

a nie jak zrobić cokolwiek. Natomiast nasze krety mówią, że nie jest prawdą, jakoby PO miała na Kamasza jakieś kompromaty. On po prostu taki już jest i tyle. A kiedy trzeba podejmować trudne decyzje, to zastyga i mówi: „To jednak bardziej skomplikowane”.

Tymczasem w Niemczech. Gazeta „Frankfurter Allgemeine Zeitung” dopuściła się strasznego aktu okrucieństwa wobec polskiego premiera Tuska, nazywając go po przegranych wyborach „kulawą kaczką”. W ten sposób nawet zagranica wpisała się w znane anty-PO-PiS-owe hasło: „Donald to też Kaczor”.

Jako że kampania dobiegła końca i mamy nowego prezydenta, oznajmiamy, iż jedynie on będzie uprawniony do bycia nazywanym w naszej rubryce dwójgiem imion. Gdyż nazywamy tak tylko prezydentów, prezydentów elektów oraz kandydatów w kampanii. Następnym kandydatów poznamy za pięć lat. Tymczasem zostają Andrzej Sebastian i Karol Tadeusz, a cała reszta znów dostanie nazwiska własne lub rubrykowe ksywy. Aczkolwiek zastanawiamy się np. nad terminem „były prezydent Polski Rafał Kazimierz”.

Tymczasem w Czeć Drodze (tak, zmieniamy Trzecią na Czecią, bo strasznie się w kampanii skompromitowała). Misiek Kamiński ma stracić stanowisko wicki Senatu za to, że publicznie chwalił za kampanię Adama Bielana, a krytykował Tuska. Nie wiercie w to. Jeśli straci, to za to, że chciałby, żeby premierem został Radek Sknerus Sikorski. Zresztą sojuszników w Peezlu Sikorski ma więcej. Na przykład ma doskonałe relacje z Piotrem Zgorzelskim. ©©

REKLAMA

Genesis, Księga Hioba i Apokalipsa – biblijne historie w formie komiksu!

POSIADA IMPRIMATUR

NOWOŚĆ

WOW!

ZAMÓW NA: WWW.RELIGIJNA.PL
LUB ZADZWOŃ: 12 345 42 00

IDEALNE
NA PREZENT,
LEKCJE RELIGII
I RODZINNE
CZYTANIE!

Nie ma to jak żyć w strachu. To tak, jakbyś czuł ciągle swędzenie, a nie mógł się podrapać” – powiada jeden z bohaterów klasycznego filmu SF „Blade Runner”, niejaki Leon, nexus, czyli sztuczny człowiek, którego twórcy dali mu nadludzkie możliwości, ale kosztem bardzo krótkiego życia i świadomości, że „wycofanie” nastąpi rychło. To szczególnie doświadczenie będzie teraz udziałem wielu polityków Platformy Obywatelskiej i ich podwykonawców. Nieważne, czy „swędzenie” potrwa krócej czy aż do końca kadencji, czyli do, w najlepszym wypadku, października 2027 r. To i tak zbyt krótko, aby czyni ich obciążające uległy przedawnieniu. Nawet te, które podpadają pod mniej zagrożone artykuły i paragrafy – przekroczenie uprawnień i nadużycie władzy, działanie na szkodę spółki, niegospodarność i marnotrawienie środków publicznych, poświadczanie nieprawdy, wyłudzenie wynagrodzeń za fikcyjną pracę... A wobec wielu członków obozu rządzącego zastosowane mogą być te najcięższe zapisy Kodeksu karnego, „przestępstwa przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej” („kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części obszaru lub zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu...”), których „wycena” zaczyna się od 10 lat bezwzględnego więzienia, a kończy na dożywotniu.

Politycy obozu lewicowo-liberalnego i wspierający ich celebryci mają niezwykłą łatwość ulegania „chciejstwu” i przedwczesnego popadania w euforię. „Dwugodzinna prezydentura” Rafała Trzaskowskiego, ogłoszona na wątłej podstawie sondażu exit poll (dającego kandydatowi władzy przewagę zaledwie 60 tys. głosów, przy zastrzeżonym przez IPSOS błędzie pomiaru 400 tys. i czteroprocentowym poziomie odmów uczestnictwa w sondażu), która dostarczyła tyle „schadenfreude” prawniczym mediom i internautom, nie była wcale pierwszym tego dowodem. Nie inaczej było po ostatnich wyborach parlamentarnych. Doczekawszy się wreszcie upragnionego odsunięcia PiS od władzy, doznali oni tak niezwykłego przyływu optymizmu, że nikomu, jak się zdaje, do głowy nie przyszło zastanowić



Abolicja, której nie będzie



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk niczym rasowy szef gangu celowo starał się, by jak najwięcej jego podwładnych było umoczonych w „brudną wspólnotę”. Bo hasło „jak przegramy, to pójdziemy siedzieć” dobrze cementuje grupę i sprzyja porzuceniu skrupułów. Ale jest pewien moment, gdy „brudna wspólnota” zaczyna pękać

Donald Tusk i Adam Bodnar nie mogą już spać spokojnie FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

rokiem „wymierać jak dinozaury”, zresztą nawet nie będzie pisowców, bo jak się im wyłączy TVP Info i „opiłuje” proboszczów, to rozpierzną się bezradnie jak mrówki czy pszczoły pozbawione królowej.

OBEJŚĆ PREZYDENTA

W tak szampańskim nastroju wielu zupełnie zatraciło instynkt samozachowawczy, puszczając się radośnie na oczywistą bandyterkę. „Zwycięzców nikt nie sędzi” – wystarczy odczekać półtora roku, jeśli nie uda się Andrzeja Dudy wcześniej zmusić do ustąpienia naciskiem medialnym i różnymi szykanami, w rodzaju zastawiania wyjazdu z Pałacu autobusem miejskim, a „przywracanie praworządności” uwięzione zostanie radosnym wejściem do Pałacu Rafała Trzaskowskiego. A ten podpisze wszystko. Także „ustawę abolicyjną”, zapewniającą bezkarność wszystkim bojownikom, czy raczej bojówkarzom, „demokracji walczącej”, którzy zgodnie z zasadą „cel uświęca środki” realizowali wolę Donalda Tuska, nie oglądając się na – jak to on sam publicznie oznajmił – „prawniczych purystów”.

Rzucone przez wodza hasło „zgodnie z prawem, tak jak my je rozumiemy” spotkało się więc z szerokim odzewem – z licznych jej entuzjastów wspomnimy tylko o dwóch, można rzec, z góry i z dołu. Na samej górze wsparł bezprawie wychowawca wielu pokoleń prawników, były szef Trybunału Konstytucyjnego i polski przedstawiciel w TSUE, prof. Marek Safjan – otwarcie agitując, by w walce z PiS „nie popadać w pułapkę prawniczego formalizmu”, i usłużnie podsuwając kuriozalną formułę „domniemania podpisu prezydenta”, zgodnie z którą Tusk miałby móc wprowadzać w życie ustawy zawetowane przez prezydenta Dudę, ponieważ i tak zostaną one podpisane przez jego następcę.

Na dole natomiast rozpanoszyli się ludzie pokroju prokurator Ewy Wrzosek, która publicznie oskarżała ministra Adama Bodnara, że za bardzo trzyma się przepisów (chyba ostatnia rzecz, jaką można mu zarzucić), gdy tymczasem „to nie jest czas, aby ściśle trzymać się litery prawa”. Nie był to odosobniony głos, znalazło się więcej podobnych jej osób, które gorliwością we wprowadzaniu zasad nieogłoszonego formalnie stanu nadzwyczajnego chciały przyspieszyć swe awanse (przypomnijmy: ta kuriozalna

wypowiedź połączona była z agitacją, by zastąpić nazbyt trzymającego się „litery prawa” Bodnara Romanem Giertychem). Zachęcał do tego sam Tusk wedle klasycznej, doskonale przez socjologów opisywanej zasady „tworzenia brudnej wspólnoty” – przebiegle „moczył” w przestępstwach wszystkich wokół siebie, a szczególnie koalicjantów, by w chwilach kryzysu móc rzucić im w twarz – jak podczas opisanej przez Onet jednej z rządowych narad – że jeśli nie będą go słuchać, to „wszyscy na tej sali będziecie siedzieć”. Bardzo charakterystyczne dla Tuska było, nawiasem mówiąc, to „wy”. Zmuszając podwładnych do brutalnego łamania prawa i zachęcając szeregowych wykonawców „demokracji walczącej” do rywalizowania, kto będzie bardziej radykalnie tępił opozycję, sam zachowywał pozycję tego, który niczego nie podpisał i w razie czego będzie mógł udawać, że nic nie wiedział.

Tak właśnie było z pierwszym spektakularnym bezprawiem nowego rządu, czyli siłowym wejściem do TVP i PAP. Wszystkie kulisowe źródła mówią, że zostało ono przez premiera wymuszone na ministrze Bartłomieju Sienkiewicz (co oczywiście nie umniejsza winy tego drugiego) karcemną awanturą. Tusk mógł przejąć TVP lege artis w ciągu kilku miesięcy, w czasie których niczym by mu ona nie była w stanie zagrozić. Mógł też, szczerze mówiąc, w ogóle zostawić ją w spokoju, a wręcz chuchać i dmuchać na jej ówczesne kierownictwo, aby przypadkiem nie odchodziło od łopatologicznej agitacji, która – jak pokazały wybory – słabo mobilizowała elektorat PiS, za to niezwykle skutecznie elektorat anty-PiS.

KOMPROMITACJA ADAMA BODNARA

W efekcie Bartłomiej Sienkiewicz wykonał coś niewątpliwie gangsterskiego, ale bardziej w stylu filmowego gangu Olsena niż historycznego Alphonse’a Capone: zaatakował gmachy TVP i PAP i wdarł się do nich z bandą prywatnie zatrudnionych osiłków, przekonując, że ma do tego prawo na mocy uchwał, które podjął jednoosobowo jako zgromadzenie współników. Ku własnej kompromitacji potwierdził tę „podstawę prawną” Bodnar, diametralnie zaprzeczając swoim własnym działaniom w czasach, gdy był rzecznikiem praw obywatelskich („Mam zaufanie do ministra Sienkiewicza”

się nad badaniami, kto i jak głosował, jaka jest skala zwycięstwa i jakie są oczekiwania własnego elektoratu. Znowu – bo tak samo było przecież po wygranych wyborach w roku 2007 – zapanowało przekonanie, że „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. „Młodzi, wykształceni, z większych ośrodków” będą od teraz zawsze głosować na „obóz demokratyczny”, niczego po nim nie oczekując ani od niczego swego bezwarunkowego poparcia nie uzależniając, a „pisowcy” będą z każdym

– oznajmił z wdziękiem, gdy go o tę sprzeczność spytano). Potem uchwały te okazały się taką groteską, że tydzień po spacyfikowaniu państwowych mediów Sienkiewicz wstecznie stworzył nowy pozor uzasadnienia swych działań, stawiając TVP „w stan likwidacji”. Likwidacja spółki to pojęcie prawnie zdefiniowane, likwidatorzy mają określone prawem obowiązki, z których „likwidatorzy” Sienkiewicza nawet nie próbowali się wywiązywać – działali po prostu jak normalny zarząd, prowadząc „business as usual”, tylko że zupełnie nielegalnie, zarabiając sobie na kilkuletnie co najmniej wyroki za zniszczenie publicznego mienia znacznej wartości, niegospodarność i przestępstwa przeciwko Kodeksowi handlowemu.

Pełna lista nadużyć obecnej władzy jest niezwykle długa i stale aktualizowana – bardzo rzetelne, szczegółowe ich rejestry prowadzi m.in. stowarzyszenia Ordo Iuris i Prawnicy dla Polski. Tam po upadku rządów Tuska wystarczy sięgnąć, by wymierzać kary. Pobieźmie tylko wyliczmy – bezprawne wygaszenie przez marszałka Szymona Hołownię mandatów posłom Maciejowi Wąsikowi i Mariuszowi Kamińskiemu i bezprawne przekazywanie wniosków bezpośrednio do Izby Pracy Sądu Najwyższego, zamiast do właściwej wedle prawa Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Bezprawne wtargnięcie do Pałacu Prezydenckiego, usunięcie prawowitego prokuratora krajowego i zastąpienie go uzurpatorem, równe bezprawne usuwanie prezesów sądów i tworzenie w tych sądach jakichś dziwacznych „kompanii karnych” dla „neosędziów”, odsuwanie od orzekania przez wiernych partii nominatów z grona Iustitii. Adam Bodnar ma tu szczególnie bogatą kartotekę, bo jest odpowiedzialny, wraz ze swoimi „specjalnymi zespołami prokuratorskimi” i mianowanymi na zasadzie „domniemania” uzurpatorami, za lipne śledztwa, prowadzone wyłącznie pod kątem stwarzania pretekstu do aresztowania wskazanych z klucza politycznego osób, i psychicznego, a czasem także fizycznego znęcania się nad nimi, by podpisali wciskane im, sfabrykowane zeznania, dając w ten sposób śledczym „wyjście” na polityków PiS i Suwerennej Polski. Ale nie znaczy to, że inni ministrowie mogą czuć się bezpiecznie – przestępstwo zdefiniowane w Kodeksie karnym

jako „przekraczanie uprawnień” przez wiele miesięcy było stałym obyczajem koalicjantów. Bezprawnie zniszczyli oni wiele instytucji – „wzorcową” demolką było np. rozbicie Instytutu Myśli Narodowej, który dano w pacht skrajnej lewicy, a w praktyce „wyłączono”, jak sygnał TVP, i wyrządzono wiele szkód, szczególnie w spółkach Skarbu Państwa, marnując pieniądze na bezsensowne „audyty”, mające dać „podkładkę” do rozliczeń, i niszcząc dochodowe projekty, bo zostały zapoczątkowane za czasów PiS.

Wszystko wyłącznie po to, by dostarczyć żądane przez Tuska „kwity na PiS”, a przy okazji dać zarobić „swoim”. Tu ludzie obecnej ekipy spodziewać się mogą, że nie ujdzie im bezkarnie to, na co przysmykały oczy kolejne formacje rządzące po roku 1990, ponieważ same zamierzały zrobić to samo. Po brutalizacji polityki, zarządzanej przez Tuska, nie będzie powrotu do działań pozorowanych, w stylu sejmowego „audytu” w początkach rządów PiS, kiedy to ministrowie gabinetu Beaty Szydło wyliczali z trybuny sejmowej nadużycia poprzedników w rodzaju „zakupu złotego mercedesa” (kto jeszcze pamięta?) i nic z tego nie wynikało. Jeżeli np. Dariusz Matecki został naprawdę aresztowany pod pretekstem „fikcyjnego zatrudnienia”, to mają prawo odczuwać intensywne „swędzenie” dzieciątki, jeśli nie setki różnego autoramentu pomagierów KO, PL2050, PSL i Lewicy, które władza wynagrodziła za oddane jej usługi pieniędzmi publicznymi za bezwątpienia fikcyjne świadczenia pracy czy przygotowywanie fikcyjnych „ekspertyz”. Tym bardziej mają się czego obawiać ci, którzy w taki sposób publiczne środki zadysponowali.

ROMAN GIERTYCH PODPOWIEDZIAŁ

Jako się rzekło, Tusk niczym rasowy szef gangu celowo starał się, by jak najwięcej jego podwładnych było umocowanych w „brudną wspólnotę”, bo hasło „jak przegramy, to pójdziemy siedzieć” dobrze cementuje grupę i sprzyja porzuceniu skrupułów. Ale jest pewien moment, gdy „brudna wspólnota” zaczyna pękać – to moment, gdy demaskacja całego gangu staje się nieuchronna i poszczególni jego uczestnicy zaczynają się zastanawiać, jak wynieść z pogromu własną głowę. Wtedy

gangsterska solidarność pęka i każdy myśli, jak na własną rękę dogadać się ze zwycięzcami i wykupić w ich łaski. Co bardziej dla „brudnej wspólnoty” niszczące, każdy podejrzewa, że inni właśnie coś takiego robią.

Dwa lata, które pozostały do wyborów, postrzegane więc mogą być przez wielu ludzi Tuska, szczególnie tych pomniejszych, jako czas dany na dyskretną zmianę frontu. W końcu musi być tam pamiętany – albo rychło zostanie zapomniany – wywiad Romana Giertycha w „Gazecie Wyborczej” z roku bodajże 2008, kiedy to, by wykupić się do nowej ekipy, chwalił się Giertych, że jako formalny koalicjant PiS w istocie sabotował ten rząd, pozostając w stałym, cichym kontakcie z Tuskiem. Jak wiadomo, wykupił się skutecznie, więc przykład może być inspirujący.

**Ludzie ekipy Tuska
spodziewać się mogą,
że nie ujdzie im bezkarnie
to, na co przysmykały oczy
kolejne formacje rządzące
po roku 1990**

Tego boi się Tusk i do tego zupełnie otwarcie zachęcał już prokuratorów i sędziów Zbigniew Ziobro. Półzartem proponowałem, by prezydent elekt ogłosił „konkurs abolicyjny”, zapowiadając, że ułaskawi tych trzech czy pięciu, którzy dostarczą najwięcej i najlepszej jakości materiału do skazania Tuska, Bodnara, Sienkiewicza i pomniejszych wyznawców doktryny „prawa, jak my je rozumiemy”. Żart żartem, ale i bez konkursu dynamika zdarzeń idzie w tę stronę. Tutaj użyta na wstępie metafora zawodzi – bo zorientowanie się na „świadka koronnego” czy też „sygnalistę” jest skutecznym sposobem, by się „podrapać” i złagodzić wiszący nad bojówkarzami „demokracji walczącej” lęk.

Chyba że woli ktoś brnąć w jeszcze głębszy fanatyzm i w ramach „przywracania praworządności” skandować nadal ulubione do niedawna hasło „oboza demokratycznego”: „będziesz-sie-dział!”. Z tym że teraz już do lustra.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

W krótkim planie – np. do wiosny 2026 r. – Tusk może się jeszcze jakoś utrzymać. Ale gdybym miał się zakładać, jego polityczną przyszłość liczyłbym raczej w miesiącach niż latach

Po spektakularnej porażce Trzaskowskiego klęska linii Tuska stała się oczywista. Jednak na razie lider Platformy opanował sytuację w koalicji i we własnej partii. Skończyło się tak jak zawsze. Krytycy tylko pomruczeli sobie po kątach. A jak „kierownik” zwołał operatywkę, to nieliczni śmiałkowicie nagle zapomnieli języka w gębie.

„Szef rządu nie zapowiedział ani rozliczeń, ani konsekwencji”. No pewnie. Niby czemu premier miałby karać siebie samego?

GDY WÓDZ ZAWODZI...

Taka jest już logika wyborów prezydenckich, że niewielka przewaga – o 1,78 p.p. – zdobytych głosów wystarcza, by wyrzucić polityczny świat do góry nogami. Najważniejsze, że w końcu z hukiem upadł mit niezwyciężonego Donalda Tuska.

Ten mit hodowany był od 2005 r. Najpierw jako antidotum na dotkliwą przegraną liberała z Gdańska w wyścigu z Lechem Kaczyńskim do prezydentury, a potem mit ten w kolejnych konstrukcjach propagandowych doprowadził go do słynnego powrotu na białym koniu w lipcu 2021 r. z Brukseli. Wehikułem, który pomógł liderowi PO utrzymać się na powierzchni polityki, z jednej strony był mechanizm nienawiści, który Tusk wykreował z udziałem pewnej pani psycholog jesienią 2005 r., a z drugiej strony było nim zaprzędanie duszy Brukseli, Berlinowi i Paryżowi. Jest zresztą chichotem historii, że objęcie opieką Rafała Trzaskowskiego przez tę samą panią psycholog zamieniło prezydenta Warszawy w zneurotyzowanego politycznego kameleona.

Problem Tuska polega dziś na tym, że nie pomyślał nawet o żadnym planie B. Tak bardzo był pewny, że uzyskane za

pomocą służb kompromaty muszą zadziałać na korzyść jego kandydata, iż jest teraz absolutnie bezradny wobec skali porażki. Postąpił jak gracz, który stawiał wszystko na jedną kartę. W głowie Tuska wygrana Trzaskowskiego miała zadziałać jak różdżka czarnoksiężnika. Za jej pomocą obecny premier miał ostatecznie spacyfikować wymiar sprawiedliwości, rozgonić Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, zlikwidować uważane przez siebie za nielegalne izby Sądu Najwyższego i cofnąć koncesję znienawidzonym telewizjom konserwatywnym.

Znamienne były słowa Romana Giertycha, który w ciągu zaczarowanych dwóch godzin w niedzielny wieczór, gdy PO uwierzyła w swoje zwycięstwo, już zapowiadał przyspieszenie rozli-

Czy była to próba wylansowania Radosława Sikorskiego na nowego premiera? Być może, ale pokazuje to, że padło ważne tabu. Po raz pierwszy od trzech lat zaczęto kwestionować przywództwo Tuska. Lider PO po oszołomieniu porażką w niedzielny wieczór milczał przez prawie 20 godzin. Ale szybko doszedł do siebie i zarządził sejmowe wotum zaufania dla swojej osoby.

W krótkim dystansie to dobre posunięcie, bo zamyka na pewien czas usta oponentom. Oczywiście pod warunkiem, że w środę 11 czerwca w Sejmie sklei się większość dla obrony stołka Tuska. Nie jest to takie oczywiste, bo np. posłowie partii Razem na czele z Adrianem Zandbergiem już zaznaczają, że nie poprą aktualnego premiera. Ale założmy, że Tusk

Ile wytrzyma koalicja Tuska?

czeń. A gdy dziennikarz pytał go, jak to konkretnie będzie wyglądać, mecenas z uśmiechem odpowiadał: „A to już zobaczy pan sam, panie redaktorze”. Przepchnięcie kandydata PO miało otworzyć drogę do uratowania budżetu kosztem bolesnych cięć świadczeń i do ostatecznej delegalizacji PiS.

SKOŃCZ, DONALD!

Dziś z tych planów nie zostało nic. Tusk po raz pierwszy zderza się z falą podskórnej niechęci we własnej partii i oskarżeniami o to, że osobiście położył kampanię. Nawet kibicujący Platformie prof. Antoni Dudek radził koalicji, by Donald Tusk odszedł. Głosy wzywające do dymisji premiera pojawiły się też w PSL. Jej heroldami są na razie tylko Marek Sawicki i Michał Kamiński. Ten pierwszy zabłysnął sentencją, że jeśli wóz nie jedzie, to trzeba zmienić konie. Z kolei słynny „Miś” bezlitośnie rozlicza Tuska z błędów ostatniego półtora roku.

uzyska akceptację Sejmu. Wtedy stanie przed o wiele ważniejszym problemem: powolnym gniciem koalicji.

NIC NIE BĘDZIE JUŻ TAKIE SAMO

I znów – teoretycznie – bardzo dużych powodów do niepokoju Tusk nie ma. Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz tuż po wyborach unikał bezpośredniej krytyki swojego szefa. Szymon Hołownia wyzłościł się we wtorek 3 czerwca, że porażka Trzaskowskiego to osobista klęska Tuska, a nie całej koalicji, ale też się zarzekał, że na razie tematu zmiany szefa rządu nie ma. A Włodzimierz Czarzasty, który ma pełną świadomość, że rząd dusz nad lewicą odbiera mu Adrian Zandberg, też siedzi cichutko jak mysz pod miotłą. Jedynym sukcesem koalicjantów była zgoda Tuska na tak nieśmiały postulat jak wprowadzenie rzecznika rządu. Niewiele. O żadnym faktycznym „resecie” koalicji 13 grudnia nie ma na razie mowy.

Owszem, w środę 4 czerwca lider PSL nieprzyjemnie zaskoczył Tuska nowym pomysłem. Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiedział, że PSL chce współpracować z prezydentem Karolem Nawrockim. Wśród pierwszych ustaw, które zdaniem ministra rząd powinien zaproponować prezydentowi, jest utrzymanie niskich cen prądu.

Zabrzmiało to wręcz jak propozycja, by Nawrocki był quasi-partnerem w inicjatywach koalicyjnych. Dla Tuska to propozycja wywracająca całą jego filozofię rządzenia po 13 grudnia 2023 r., opartą na wojnie totalnej z prezydentem Andrzejem Dudą. I to Tusk może zepsuć relacje z Pałacem Prezydenckim, kiedy tylko zechce.

Tusk poczekał, aż nastroje nieco się uspokoiły, i zaprowadza na nowo dyscyplinę wśród koalicjantów. Hołownię może szachować groźbą wyciągnięcia na jaw szczegółów dotyczących prób uzyskania „tylnymi drzwiami” magisterki na Collegium Humanum. A Kosiniak-Kamysz nigdy specjalną odwagą w starciu oko w oko z Tuskiem się nie odznaczał.

Tyle że z takim stadkiem koalicyjnych zastraszonych zajazdków niewiele da się też zrobić. Jak można się domyślić, doradcy Tuska będą mu teraz suflować efekciarską rekonstrukcję rządu. Ale kogo znaleźć w miejsce usuwanych ministrów? Ci naprawdę dobrzy nie będą po klęsce Trzaskowskiego chcieć pchać się do rządu z etykietką „przegrywów”.

Za tymczasowym przetrwaniem koalicji przemawia więc to, że nie ma kandydata do jakiegos buntu w koalicyjnych partiach. A Tusk będzie szantażował swoich podwładnych, przypominając im, że tyle razy złamali prawo, iż teraz pozostaje im już tylko walka do końca.

Jednak takie ściskanie sypiącej się koalicji żelazną obręczą strachu i egoizmu nie może trwać w nieskończoność. Pierwsze tąpnięcie może nastąpić już za parę miesięcy czy najdalej jesienią, kiedy to musi zebrać się kongres Polskiego Stronnictwa Ludowego. Na korzyść Tuska działa tu to, że oprócz tradycyjnego rywala WKK – Waldemara Pawlaka – nie widać jakichś inicjatorów rewolty w obozie ludowców. Jednakże ostatnie sondaże pokazują, że Trzecia Droga, czyli PSL + Polska 2050 Hołowni, a także Lewica Czarzastego miałyby problem

z dostaniem się do parlamentu. Presja na jakieś zmiany w przywództwie może zatem wyniknąć z czystego instynktu samozachowawczego ludowców.

Spekulacje o ewentualnym rzuceniu Tuskowi wyzwania przez Radosława Sikorskiego też nie mają zbyt solidnych podstaw. Obecny szef MSZ tradycyjnie może liczyć tylko na duet egzotyczny – Michał Kamiński i Roman Giertych – który w Platformie nie jest specjalnie popularny. Wspomniany już marszałek senior Marek Sawicki proponuje, by wymienić Tuska na Władysława Kosiniaka-Kamysza. Ale Tusk na to nigdy się nie zgodzi, no chyba że sytuacja na tyle się pogorszy, iż spryciarz z Gdańska zechce rządzić z tylnego siedzenia.

Wszystkie te spekulacje nie zmieniają jednego podstawowego faktu. Platforma i jej koalicjanci nie przyszli do rządów w grudniu 2023 r. z żadnym ciekawym programem oprócz żądzy odwetu na PiS. Gospodarką rządzić nie umieją, finanse rozłożyli na łopatki, a w polityce zagranicznej pozycję Warszawy symbolizuje legendarny już wagon drugiej klasy, w którym Tuska umieścili zgodnie liderzy zachodnioeuropejskiej trójki, z błogosławieństwem Wołodymyra Zełenskigo.

WYCZERPANIE FORMUŁY

Cofnijmy się do przełomu wieków XX i XXI. Donald Tusk był politykiem Unii Wolności. Ta niegdyś profesorsko-autorytetowa formacja przeżywała wówczas swój schyłek. Jej zgon nie wzruszał Adama Michnika, ówczesnego władcy dusz po Okrągłym Stole, snującego plany wielkiej partii, która połączyłaby postkomunistów i etosiarzy. Na prawicy z kolei po katastrofie projektu politycznego Akcja Wyborcza Solidarność na czoło zaczął się wysuwać Jarosław Kaczyński. I wtedy Donald Tusk wykonał efektowny manewr. Wszedł w demonstracyjny konflikt z Bronisławem Geremekiem i wyszedł z Unii Wolności, trzaskając drzwiami. Tak w 2001 r. powstała Platforma Obywatelska. Nowy projekt polityczny poparła spora część biznesu, która intuicyjnie wyczuwała, że trzeba postawić na coś nowego, bo zarówno obóz Kwaśniewskiego, jak i starzejąca się Unia Wolności to towar, który już za parę lat może przestać się sprzedawać na politycznym rynku. Koalicja weteranów



wojskowych służb, deweloperów, mniejszych i większych rekinów biznesowych zaopatrzyła Platformę w odpowiedni zasób pieniędzy.

Donald Tusk przez 20 lat lepiej lub gorzej spełniał oczekiwania swoich patronów. Tych z kraju i tych z Zachodu. Ale nic nie stoi w miejscu. Niezwykle ciekawą analizę ostatnich wyborów zaprezentowali eksperci od komunikacji internetowej z grupy Res Futura. W swoim raporcie postawili oni tezę, że PiS opracował nowy algorytm zwycięstwa, który wyrzucił do góry nogami wszystkie święte założenia, które dominowały w mentalności Platformy. Zacytujmy fragment: „Dzięki nowym narzędziom komunikacji sztabowi Nawrockiego udało się nie tyle skutecznie kontrolować narrację w sieci, ile zbudować system, w którym ona się odbywa. Jak wskazują eksperci, w tej nowej rzeczywistości sztab Trzaskowskiego się nie odnalazł. Nie wiedział, jakim mówić językiem, do kogo ani nawet co mówić. W komunikacji przeważały te same wypowiedzi, co w »klasycznej« telewizyjno-gazetowej kampanii. Długie i ogólne wypowiedzi, które nie wzbudzą emocji [...]. W efekcie sztab Trzaskowskiego nie był w stanie wyjść poza swoją grupę odbiorców. Chociaż zwiększał zaangażowanie wiernych wyborców, to nie zdobywał nowych. Z drugiej strony skuteczna i agresywna kampania Nawrockiego docierała do własnego elektoratu, wyborców innych kandydatów i także demobilizowała niezdecydowanych wyborców skłaniających się ku Trzaskowskiemu”.



Jak można się domyślić, doradcy Tuska będą teraz mu sufłować efekciarską rekonstrukcję rządu. Ale kogo znaleźć w miejsce usuwanych ministrów?

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Cały ten raport napisany przez fachowców sprzyjających szeroko rozumianej stronie liberalnej pokazuje, że w obozie PO pod rządami twardej ręki Tuska czas się zatrzymał w 2015 r. A wydawałoby się, że to właśnie środowisko Platformy powinno mieć lepszych speców od komunikacji. Ujawniona przez wybory gorzka prawda pokazuje, że lider PO wytrzebił swoją partię z jakichkolwiek indywidualności. Że załudnił ją tłumem politycznych pałkarzy w rodzaju Michała Szczęrbę, Dariusza Jońskiego, Krzysztofa Brejzy czy Marcina Kierwińskiego. Postaci wymarzonej wręcz do zarzucania mediów społecznościowych chamowatymi wpisami, ale niezdolnych do właściwego zanalizowania nowych procesów społecznych. Platforma straciła młodzież, a jednocześnie zraziła do siebie elektorat aborcyjno-feministyczny. Nie lepiej jest w Europie, gdzie Tuska nie szanują już główni liderzy. Dawno minęła epoka cioci Merkel, która głaskała po główce swojego „chłopczyka z Gdańska”.

Jeśli więc coś w najbliższym czasie grozi Tusкови, to reakcja tych, którzy dotąd przez długie lata na niego stawiali. W jakichś gabinetach w Brukseli czy Berlinie zbiorą się pewnie za jakiś czas ludzie, którzy stwierdzą ze smutkiem, że Tusk był kimś, na kogo warto było stawiać, ale obecnie to polityk na fali schodzącej. W innych gabinetach naradzać się będą z kolei co bardziej rozgarnięci sponsorzy Platformy, którzy zadać mogą brutalne pytanie: Co będzie, jeśli ekipa Tuska przez kolejne dwa lata będzie dryfowała ku totalnej klęsce w wyborach parlamentarnych w 2027 r.?

Ludzie, którzy walczą o naprawdę duże pieniądze, nie dadzą się oszukać żadnymi operetkowymi tyradami Szymona Hołowni o programie przyspieszenia rządu koalicji 13 grudnia. Tego typu gracze wiedzą, że dwa lata to i tak już niewiele czasu, by wznowić manewr z 2001 r. i powołać jakąś nową formację z nowym liderem, nowym szyldem i nową ideologią. Nie udało się z Tuskiem, nie udało się z Hołownią, to trzeba znaleźć kogoś innego. Bo inaczej za dwa lata wygrać może PiS i Konfederacja i ileś interesów zawiśnie w próżni.

I to jest dla Tuska prawdziwy koszmar, który ma prawo budzić go w środku nocy. Obecny premier tyle razy łamał prawo, że nie może nie brać pod uwagę odpowiedzialności tak politycznej, jak karnej. A na Zachodzie nikt już go nie chce. Nikt nad nim żadnego parasola trzymać nie będzie. Na dodatek Donald Trump, który będzie dyktował warunki przynajmniej przez najbliższe trzy lata, będzie dobrze pamiętał, kto wyzywał go od rosyjskich agentów. Dlatego w krótkim planie – np. do wiosny 2026 r. – Tusk może się jeszcze jakoś utrzymać. Ale gdybym miał się zakładać, jego polityczną przyszłość liczyłbym raczej w miesiącach niż w latach.

WAŚNIE NA PRAWICY JAK KROPLÓWKA DLA TUSKA

Tusk wie jeszcze jedno. Im więcej będzie nieufności i braku zdolności do rozmowy między PiS a Konfederacją, tym dłużej on sam będzie trwał. I dlatego przyszłość Tuska zależy od zdolności

komunikacyjnych na linii PiS – Konfederacja. Już pierwsza próba wzajemnych relacji po ogłoszeniu przez Jarosława Kaczyńskiego idei rządu technicznego pokazała, jak wielką trudność sprawia wykonanie zwykłych telefonów w obie strony. Nie odniosłem wrażenia, by Sławomir Mentzen został poinformowany o inicjatywie lidera PiS przed jej publicznym ogłoszeniem. Jednakże szef Konfederatów powinien wiedzieć, że proponowanie Kaczyńskiemu spotkania za pośrednictwem X zirytuje seniora polskiej prawicy. Skończyło się na faktycznym wyśmianiu przez Mentzena propozycji prezesa PiS.

Konfederaci są zachwyceni, że ich szef utarł nosa nie lubianemu „Kaczorowi”, a PiS musi przełknąć kolejny afront ze strony tych, którzy wierzą, że to do nich należy przyszłość.

PiS musi się zmienić, a Jarosław Kaczyński stanąć wobec długo odwlekane pytania, kiedy chce przekazać partię komuś młodszemu. I na to pytanie będzie musiał odpowiedzieć sobie w sytuacji, gdy nie widać jakiegось jednego naturalnego następcy. Przemysław Czarnka poprzez pewną część działaczy, inna będzie trwać w złudzeniach, że Mateusz Morawiecki jest w stanie zmyć z siebie złe emocje z czasów swoich rządów, a jeszcze inna – choćby partyjna gerontokracja – nie dopuszcza myśli, że wielkiego Jarosława mógłby zastąpić ktoś inny niż Mariusz Błaszczak.

Nie da się jednak długo nie zauważać, że polska polityka po prawej stronie znacznie się odmłodziła. W nowym czworokącie wpływów, gdzie jeden bok stanowić będzie Karol Nawrocki, drugi – Sławomir Mentzen, a trzeci Grzegorz Braun, 76 lat Jarosława Kaczyńskiego staje się problemem nie tylko generacyjnym, lecz także komunikacyjnym. A wszystkiemu temu przyglądać się będą media liberalne, które nagłośnią i rozedmą do niebywałych rozmiarów każdą animozję między Pałacem Prezydenckim, oboma Konfederacjami i PiS. Ale to już temat na osobny tekst.

Tymczasem diagnoza jest jasna: Tusk być może przetrwa aktualny kryzys, ale jego rządy będą gnić. Pytanie, czy prawica będzie przygotowana na moment, kiedy ten spróchniały szafas wreszcie ostatecznie się zawali.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Karol Nawrocki wraz z żoną i synami podczas wieczoru wyborczego, 1 czerwca 2025 r.

FOT. MARCIN OBARA/PAP



Łukasz Warzecha

Na podstawie skąpych sygnałów dotyczących Karola Nawrockiego można wysnuć wniosek, że będziemy mieli do czynienia już nie z prezydentem z PiS, ale z prezydentem szerokiego obozu konserwatywnego

Liczba 4 145 365 – tyle głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich dostali łącznie Grzegorz Braun i Sławomir Mentzen. Kandydat PiS dostał wtedy 5 790 804 głosy. W drugiej turze Karol Nawrocki otrzymał 10 606 877 głosów, z czego – uwaga – aż 45 proc. pochodziło od wyborców innych kandydatów w pierwszej turze. A więc aż ponad 4,7 mln głosów. Można założyć, że większość pochodziła od zwolenników Mentzena i Brauna. Pięć

Prawica przechodzi zmianę

lat wcześniej jedynie 19 proc. głosów oddanych na Andrzeja Dudę pochodziło spoza elektoratu PiS.

Całkiem też inaczej niż w 2020 r., gdy wyborcy Krzysztofa Bosaka podzielili się

niemal dokładnie pół na pół, tym razem w elektoracie Sławomira Mentzena przewaga głosujących 1 czerwca na kandydata PiS była miazdząca: ponad 88 proc. Drugiego kandydata wybrało niecałe

12 proc. Jeszcze większe poparcie zdobył Karol Nawrocki w elektoracie Grzegorza Brauna: 92,5 proc. Co prawda, te liczby nie uwzględniają tych, którzy nie zagłosowali w ogóle. Jeśli jednak spojrzeć na liczbę dodatkowych wyborców, którzy wsparli kandydata bloku konserwatywnego, to trzeba założyć, że absencje były względnie rzadkie.

Najzgrabniejszą frazą podsumowującą wybory prezydenckie, jaką widziałem, było: „Jedni nie rozumieją, dlaczego przegrali; drudzy nie rozumieją, dlaczego wygrali”. Tak właśnie jest. W kontekście przyszłej pozycji dwóch autentycznie prawicowych (w odróżnieniu od socjaldemokratycznego PiS) środowisk – Konfederacji i Korony – spojrzeć trzeba na reakcję przynajmniej części środowiska i zwolenników PiS.

Nietrudno było przewidzieć, że dotychczasowy hegemon tzw. prawej strony, zawsze obsesyjnie dbający, żeby nie wyrosła mu żadna prawdziwie prawicowa konkurencja, będzie się starał przedstawić zwycięstwo swojego kandydata jako wyłącznie własną zasługę. I w taki też ton bardzo szybko uderzył Jarosław Kaczyński, całkowicie ignorując owe 45 proc. wyborców innych kandydatów i nie odnosząc się do nich w żaden sposób. Mentzena, sygnalizującego początkowo chęć spotkania w sprawie „rządu technicznego”, prezes PiS pouczał zaś o wiekowym i politycznym starszeństwie.

Takie podejście nie zaskakuje – tak jak PiS nie był w stanie przepracować po październiku 2023 r. przyczyn swojej porażki, tak w tym stuporze pozostał, zgodnie z wytyczną wyrażoną w Przysusze w październiku ubiegłego roku przez prezesa: „Nie biadać, nie bić się w piersi, nie przeprowadzać ekspiacji – to nie ma dzisiaj żadnego sensu. To jest tylko działanie na korzyść naszych przeciwników”.

ASERTYWNOŚĆ WOBEC JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

Problem w tym, że po 1 czerwca oznacza to uparte trwanie w minionej politycznej epoce, podczas gdy warunki się zasadniczo zmieniły – PiS nie traci pozycji hegemonu po umownej prawej stronie, ale znacznie więcej: on już ją stracił, choć wciąż pozostaje partią najsilniejszą swoimi pieniędzmi (mimo

pozbawienia części dotacji i subwencji), strukturami i reprezentacją parlamentarną. Najsilniejszą nie znaczy jednak absolutnie dominującą. Wyborcy oczekujący bardziej zdecydowanego podejścia do Unii Europejskiej, odcięcia się od „dokonań” Mateusza Morawieckiego w dziedzinie Zielonego Ładu czy twardego postawienia spraw w relacjach z Ukrainą, nie są już skazani na partię, gdzie na kongresach w pierwszych rzędach nadal zobaczą zgranych, a często po prostu skompromitowanych towarzyszy partyjnych: Jacka Sasina, Joannę Lichocką, Mariusza Błaszczaka, Mariusza Kamińskiego, Marka Suskiego i całą tę starą gwardię. Mają nie jedną, ale dwie, a może nawet trzy alternatywne możliwości.

Tą trzecią możliwością jest nowo wybrany prezydent. Na razie o Karolu Nawrockim w tej roli cokolwiek możemy powiedzieć jedynie na podstawie skąpych sygnałów – tych oficjalnych i tych bardziej zakulisowych – jednak wiele z nich pokazuje, że będziemy mieli do czynienia już nie z prezydentem z PiS, ale z prezydentem obozu konserwatywnego, znacznie szerzej pojmowanego. Symboliczna była scena z wieczoru wyborczego. Prezydent elekt – nie wiedząc jeszcze, że zdobył prezydenturę – nie siedział z działaczami PiS w sali teatru Mała Warszawa na Pradze w stolicy po ogłoszeniu exit poll w oczekiwaniu na late poll, ale zwinął się dość szybko, oznajmiając, że chce dołączyć do rodziny i odpocząć. Był przy tym podobno dość pewny swoich słów o wygranej w nocy – co się potwierdziło.

Przedwyborcza rozmowa kandydata ze Sławomirem Mentzenem na jego kanale pokazała także, że Karol Nawrocki jest w stanie – co prawda, przymuszony okolicznościami – dość mocno zdystansować się wobec wspierającego go ugrupowania. Wywołało to nawet w PiS pomruki niezadowolenia, a z pewnością było sprzeczne z „doktryną z Przysuchy”.

Gdy zatem Jarosław Kaczyński wypowiada się w taki sposób, jakby był jedynym i wyłącznym autorem sukcesu Karola Nawrockiego – podczas gdy jego udział sprowadzał się do zaakceptowania podsunętej mu kandydatury – sam prezydent elekt wydaje się mieć świadomość, że zawdzięcza zwycięstwo nie tylko PiS. Wiadomo również, że w kształtowaniu składu swojej kancelarii okazuje

się bardziej asertywny, niż spodziewano się na Nowogrodzkiej. Pozostaje przyglądać się, czy i jakie osoby trafią do KPRP ze środowisk prawicy niepisowskiej, w szczególności bliskich Konfederacji.

Wszystkie sondaże od wielu miesięcy pokazują, że PiS samodzielnie nie będzie już w stanie rządzić. To oczywiste, skoro istnieje alternatywa epatująca świeżością i niemająca obciążeń wynikających ze sprawowania władzy. Na korzyść Konfederacji i Korony działa też całkowita niezdolność PiS do wewnętrznej reformy i przystosowania się do zmieniającej się sytuacji.

ŻYWA SKAMIELINA

Jeszcze w czerwcu miałyby się odbyć kongres wyborczy PiS, gdzie nie będzie niespodzianki: 75-ltni Jarosław Kaczyński (a może już 76-ltni – urodziny prezes partii ma 18 czerwca) pozostanie przy władzy, którą w partii sprawuje od 22 lat. Sam fakt, że ugrupowaniem ma wciąż kierować lider ten sam od ponad dwóch dekad lat, działa na korzyść prawicowych alternatyw. Kaczyński dla wyborców w wieku od 18 do 40 lat sprawia wrażenie żywej skamieliny, a PiS mający jego twarz coraz bardziej jawi się jako partia starych ludzi. Nie stworzono tam jednak nigdy normalnego mechanizmu przejmowania władzy.

Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen mogą jedynie zacierać ręce i nic nie muszą robić: PiS jest w obecnej sytuacji ugrupowaniem schodzącym. Bardzo, bardzo powoli, ale jednak. Czas działa na korzyść prawicowych alternatyw.

W tym tygodniu czeka na głosowanie nad wotum zaufania dla rządu. Teoretycznie może to oznaczać upadek gabinetu Donalda Tuska. Żeby uzyskać wotum zaufania w trakcie kadencji Sejmu, potrzebna jest zwykła większość. Całość koalicji taką większość posiada. Co prawda, gdyby wyłamały się albo PSL, albo Polska 2050 (nawet nie całe – oba kluby mają po 32 osoby), rząd by upadł – jest to jednak bardzo mało prawdopodobne.

Można założyć, że mimo otwartych już i chwilami skrajnie gwałtownych tarć w koalicji, a nawet sugestii niektórych jej polityków – takich jak Michał Kamiński czy Marek Sawicki – że Donald Tusk powinien stracić stanowisko premiera, przeważą ostatecznie dwa czynniki. Po

■ pierwsze – obawa przed konsekwencjami niektórych działań skierowanych przeciwko opozycji, gdyby ta miała przejąć władzę wskutek upadku obecnego rządu. Ta obawa nie dotyczy jedynie posłów, ale ogromnej części aparatu wykonawczego państwa, która podczepiła się pod obecną władzę i będzie wywierać presję, żeby rząd trwał. Po drugie – obalenie rządu to pożegnanie ze stanowiskami i synekurami, a w tej dziedzinie obecna władza utrzymała standard od dawna w Polsce panujący. Będzie więc dużo hamletyzowania, trochę grózb i wzajemnych pretensji, ale prawie na pewno wotum zaufania zostanie przegłosowane.

Przyspieszonych wyborów raczej nie będzie, bo też nie opłacają się one opozycji – chyba żeby działania obozu władzy stanowiły dla niej egzystencjalne zagrożenie, ale po wyborze Karola Nawrockiego tak się raczej nie stanie. Również dlatego, że część aparatu urzędniczego państwa coraz mniej gorliwie będzie wykonywać tego typu polecenia, mając już na uwadze prawdopodobną zmianę władzy. Zresztą skrócenie kadencji Sejmu nie jest takie łatwe. Mogłoby się to stać przez nieuchwalenie budżetu (prezydent nie może jednak wetować ustawy budżetowej, może ją jedynie skierować do Trybunału Konstytucyjnego), zagłosowanie za skróceniem kadencji – tu jednak potrzeba by aż dwóch trzecich ustawowej liczby posłów, czyli 307 głosów, a to nierealne – albo poprzez trzy kroki konstytucyjne, w ramach których nie udałooby się powołać nowego rządu.

Oznacza to gnicie obecnego układu przez kolejne ponad dwa lata przy prawdopodobnie asertywnym, aktywnym prezydencie. Ale oznacza to również trwanie PiS w dotychczasowej postaci – anachronicznej, mało atrakcyjnej dla młodszych wyborców, których kolejna grupa będzie mogła wziąć udział w głosowaniu w 2027 r. Taka sytuacja będzie korzystna dla Konfederacji i Korony. Do wyborów za ponad dwa lata PiS pójdzie z 78-letnim liderem, z przekonaniem o swojej wybitności oraz grupą starych, spragnionych władzy, aroganckich działaczy, nazywanych złośliwie przez Marcina Paladego „zamkniętym funduszem emerytalnym Porozumienia Centrum”.

Co prawda, od zakończenia rządów PiS będą nas wówczas dzielić cztery lata,

a więc pamięć sporej części wyborców zdąży się zresetować, ale konkurenci z prawej strony mogą intensywnie przypominać, jak wyglądała polityka covidowa, kto zrobił z Polski podwykonawcę ukraińskiej polityki czy podpisał konkluzje Rady Europejskiej zatwierdzające pakiet „Fit for 55” oraz mechanizm pieniądze za praworządność. Szczególnie ta ostatnia sprawa może mieć znaczenie, jeśli UE spełni swoje groźby i ponownie zacznie wstrzymywać pieniądze z nieszczęsnego KPO z powodu działań prezydenta Nawrockiego.

Mogą przypominać. Ale czy będą? To zależy, jak PiS będzie się zachowywał przez resztę X kadencji. Jeśli wzorcem miałyby być postępowanie tej partii

Przyspieszonych wyborów parlamentarnych raczej nie będzie

w drugiej kadencji swoich rządów, w latach 2019–2023, a już szczególnie przed wyborami z października, to prawicowa konkurencja na pewno zareaguje ostro. W tamtym okresie PiS przyjął wobec Konfederacji kurs skrajnej konfrontacji lub przemilczania (w państwowych mediach stanowiących tubę propagandową ówczesnej władzy – całkiem jak dzisiaj). Jarosław Kaczyński uznał, że nadal może powalczyć o samodzielne rządy, co okazało się rachubą mylną. Samodzielnej władzy PiS nie zdobył, a przydusił swojego potencjalnego koalicjanta. W efekcie władzę stracił.

OSTRA RYWALIZACJA

Teoretycznie jest możliwe, że w 2027 r. powtórzy się jednak sytuacja sprzed 1 czerwca, gdy wszystkie konserwatywne siły zgodnie grały do jednej bramki. Ale działania PiS z ostatnich dni każą być sceptycznym. Spodziewałbym się zatem ostrej rywalizacji.

Jak to jednak w polityce bywa, nawet mając świetną sytuację wyjściową, można sobie nie poradzić lub zmarnować okazję. W Konfederacji co jakiś czas pojawiają się napięcia – przed drugą turą ich źródłem było głośne wspólne wy-

picie piwa przez Sławomira Mentzena, Radosława Sikorskiego i Rafała Trzaskowskiego. Lider Nowej Nadziei swoich działań twardo bronił, krytykował je zaś drugi lider partii, Krzysztof Bosak. Nie po raz pierwszy widać było różnicę w podejściu do strategii. Mający wielkie ambicje Mentzen stara się przy każdej okazji zaznaczać, że Konfederacja nie będzie niczyją przybudówką i nikt nie może uznać, że ma zagwarantowaną jej przychylną w przyszłości. To bardziej emancypacyjny kurs niż w przypadku przywódcy Ruchu Narodowego, ale można uznać, że uzasadniony, jeżeli Konfederacja ma być naprawdę rozgrywającym. Takie ugrupowanie nie może tworzyć wrażenia, że z góry zakłada współpracę z jednymi, a nie z drugimi. Sławomir Mentzen powtarza tutaj – choć w znaczenie bardziej cywilizowanej wersji – frazę Janusza Korwina-Mikkego: że ważne jest tylko to, aby ewentualny koalicjant zagwarantował realizację postulatów programowych, a kto tym koalicjantem będzie, nie ma znaczenia.

Jeżeli jednak ktoś uważa – a taką tezę stawiał już wielokrotnie choćby prof. Antoni Dudek – że ten rozdzźwięk pomiędzy Mentzenem a Bosakiem doprowadzi do rozpadu projektu, to się myli. Konfederacja stojąca na dwóch nogach, narodowej i liberalnej, okazała się jednym z największych sukcesów politycznych III RP i to jest dla jej obu liderów potężna motywacja, aby współpracę kontynuować. Zwłaszcza wobec szansy, którą stwarza stetryczała, a zarazem pełen pychy i arogancji PiS.

Większą zagadką jest dalszy los Grzegorza Brauna. Małym sukcesem powyborczym Korony jest powstanie w Sejmie koła tego ugrupowania po przejściu z PiS posła Sławomira Zawislaka. Blisko milion głosów z pierwszej tury to wielki kapitał, ale Braun tradycyjnie balansuje pomiędzy poważną polityką a politycznym performansem. Patrząc jednak na wyniki jego i Mentzena, można uznać, że właśnie idąc osobno, te dwie siły – Konfederacja i Korona – mają szansę na zagospodarowanie sporej części rosnącej grupy wyborców o prawicowych zapatrywaniach. PiS znów jawi się tutaj jak dinozaur – wielki, wciąż groźny, ale mało mobilny, nieruchawy i niezdolny do dostosowania się. © © Wszelkie prawa zastrzeżone.



MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO



MAŁOPOLSKA

**NOWA WYSTAWA STAŁA
„Z WIATREM I POD WIATR. LOTNICTWO CYWILNE”
W MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO W KRAKOWIE**

Odkryj fascynującą historię polskiego lotnictwa od legendarnych pionierów do współczesności! Poznaj sukcesy polskich pilotów i konstruktorów, którzy przez lata budowali prestiż polskich skrzydeł!

- ponad 3000m² przestrzeni ekspozycyjnej w nowoczesnym hangarze lotniczym
- 40 unikatowych statków powietrznych
- symulatory VR (paralotni i szybowca)



24 sierpnia 2025 - przyjdź na Święto Lotnictwa Polskiego w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie i weź udział w otwarciu największej wystawy poświęconej lotnictwu cywilnemu!

więcej informacji na:



/muzeumlotnictwa.pl



/muzeumlotnictwa



/muzeumlotnictwapolskiego



Bez grama żenady



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska

Z nieba do piekła. Tak, w największym skrócie, można podsumować nastroje dziennikarzy i komentatorów sprzyjających Rafałowi Trzaskowskiemu w czasie nocy wyborczej



Tomasza Lisa mocno przybiła wygrana Karola Nawrockiego FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Wielki sukces Rafała Trzaskowskiego. Wielki sukces Donalda Tuska. Wielkie ukłony przed Radosławem Sikorskim. Pokazał patriotyzm, charakter i styl. Cała Polska naprzód – nie krył radości Tomasz Lis po ogłoszeniu wyników exit poll. Znaczący tematyki sondażowej zalecali powstrzymanie emocji, bo różnica między kandydatami mieściła się w granicach błędu statystycznego. Jednak Lis, który nie ukrywał w czasie całej kampanii, komu kibicuje, nie wytrzymał. Szedł spać jako zwycięzca, ale poranek okazał się dla niego trudny.

W poniedziałek na jego koncie na X pojawiła się seria pełnych rozczarowania wpisów. „Zero picia, a taki kac” – skomentował oficjalne wyniki PKW, jasno wskazujące na wygraną Karola Nawrockiego. Szczęście zamieniło się w prawdziwą rozpacz, a Lis opublikował swoje czarno-białe zdjęcie z wymownym podpisem: „No to nara. Bawcie się dobrze”. Sugestia była jasna – były redaktor naczelny „Newsweeka” odchodzi albo z portalu X, albo w ogóle emigruje z kraju, tak mocno przybiła go wygrana nieulubianego polityka. Po fali krytyki ze strony internautów niemożących pojąć,

jak największy zwolennik „rządu demokratów” mógł się tak szybko poddać, Lis wycofał się z „żałoby po Trzaskowskim”. „Serdeczne podziękowania i niskie ukłony dla wszystkich, którzy walczyli. Byliście dzielni. Walka ma sens, nawet jeśli kończy się porażką. Rozczarowanie, smutek i łzy są OK, ale opcji kapitulacja nie ma. I nigdy nie będzie. Można tylko, a nawet trzeba, trochę odpocząć. To akurat polecam” – napisał. I kolejny komentarz: „Kocham ten naród, bo to moi ludzie. Kocham także, a może przede wszystkim w chwilach takich jak teraz, jak kochamy dzieci, nawet gdy robią rzeczy wybitnie niemądre i same sobie szkoda. To dożywocie, które trzeba przyjąć z pokorą i pogodą ducha”. Tomasz Lis nie ustawał w wysiłku studzenia negatywnych emocji. „Wynik smutny. Ale od tego powszechnego »a nie mówiłam/a nie mówiłem« już się rzygać chce, jakby przegrali wszyscy poza autorami tych wpisów. To ja wołam »głowy do góry, to nie koniec świata, Polski ani nas«. Zwykły wpi...ol. Zdarza się w sporcie, zdarza się w życiu” – komentował. „Zorientowałem się, że opublikowanie mojego zdjęcia z podpisem »nara, bawcie się dobrze«, niektórzy odebrali jako znak zejścia

z pola bitwy i kapitulacji. Nic z tego – nie umiem się poddawać. Kilka razy próbowałem, ale nie wyszło. A »nara«, bo prostu muszę i chcę trochę odpocząć. A więc »dozoba«” – tak zakończył poniedziałkową serię postów na X.

KTO POŁOŻYŁ SIĘ SPAĆ?

Tomasz Lis to zdecydowanie najbardziej emocjonalny, ale niejedyny komentator, dla którego porażka „bonżura” była wydarzeniem wręcz traumatycznym. Prowadzący wieczór wyborczy w TVP Info również nie ukrywali, komu kibicują. – Spodziewa się pan powtórki z 1995 r., gdy Polska szkła spać z prezydentem Lechem Wałęsą, a wstawała z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim? Teraz też tak będzie, że Polska się kładzie spać z Trzaskowskim, a obudzi z Nawrockim? – pytał byłego premiera Mateusza Morawieckiego dziennikarz obecny w sztabie PiS. Ten odpowiedział krótko słowami: „Polska się dzisiaj nie położy spać”. Pewność Morawieckiego dotycząca zmiany wyników na korzyść Karola Nawrockiego wywołała poruszenie w studiu Marka Czyży (autora słynnego stwierdzenia, że informacje w „odzyskanej” TVP będą „czystą wodą”). – Pan premier mówi, że Polska dziś nie

położy się spać. W pewnej części na pewno nie. Ale niech pan będzie spokojny, panie premierze, jest taka część normalnej Polski, która pójdzie spać normalnie – zachnął się Czyż. Następnie rozgorzała dyskusja publicystów. Dało o sobie znać oburzenie Sławomira Sierakowskiego z Krytyki Politycznej. – To się w pale nie mieści, żeby w Polsce, w UE, prawdopodobnie były sutener, złodziej, kibol prawie wygrał te wybory albo w ogóle je wygrał. Druga rzecz to to, że 16 proc. wyborców Razem mogło rozstrzygnąć te wybory, ale zagłosowało na Nawrockiego, bo Adrian Zandberg – naprawdę ciekawy, inteligentny gość – nie mógł poprzeć Rafała Trzaskowskiego, z którym zgodność programów jest tak duża – oburzał się po exit poll. W podobnym tonie wypowiedziała się Joanna Solska z „Polityki”. Zwróciła uwagę na pogłębiającą się polaryzację. – Miałam wrażenie, że sami kandydaci są nieważni. Ważne jest to, który jest mój, a który wroga. Dlatego, przez tę bańkę, to, czegośmy się dowiedzieli o kandydacie Nawrockim, wydawałoby się, że jest absolutnie dyskwalifikujące go jako kandydata, ale to się nie przebiło do tamtej bańki, bo tamta bańka uznała, że kandydat jest „nasz”, to są kłamstwa. Tak naprawdę nie była zainteresowana, czy to kłamstwa czy prawda [...]. Jestem przerażona, że to będzie bardzo ciężko skleić – podkreślała komentorka. Wyrównana walka kandydatów KO i PiS wywołała przestrach także u Agaty Kondzińskiej z „Gazety Wyborczej”. – Jesteśmy na zakręcie. Te wyniki tak spłaszczono, pokazują, że PiS jest bardzo silną partią. Że to, co zrobił przez osiem lat rządów przy współpracy prezydenta Andrzeja Dudy [...], zawłaszczając media publiczne i robiąc brutalną propagandę, na tyle się zakorzeniło, zamieszcowało w wyborcach PiS, że oni się impregnowali na inną opowieść – grzmiała.

Gdy prowadząca rozmowę przekazała wyniki late poll, a więc ogłoszono „mijanek” na rzecz Nawrockiego, nastrój w studiu TVP Info stał się ewidentnie minorowy. – Mamy totalny paraliż podejmowania jakichkolwiek decyzji w państwie, bo prezydent Nawrocki będzie blokował wszystkie działania rządu jak prezydent Duda. Koalicja ma kolejną wymówkę, by zająć się sama sobą. W kraju nie wydarzy się nic przełomowego.

Fala wskazuje na to, że PiS ma szansę odzyskać władzę w 2027 r. – alarmował naczelny Onetu Bartosz Węglarczyk. Dariusz Ćwiklak z tygodnika „Newsweek” zwrócił uwagę na zagrożenie dla relacji z Brukselą. – To oznacza na wielu polach przekierowanie naszej ścieżki międzynarodowej. Nie ma co marzyć o reformach sądowych, żeby prezydent Nawrocki podpisał cokolwiek, co obiecaliśmy Unii Europejskiej. Jak to się będzie miało do pieniędzy, które dostaliśmy trochę „na ładne oczy”? [...] Na razie ten wynik nie daje powodów do optymizmu – komentował late poll.

Wyników late poll nie chcieli przyjąć do wiadomości dziennikarze komentujący noc wyborczą w Polskim Radiu. – Ja myślę sobie, zaskoczyło mnie to, że prezes stosunkowo łatwo się pogodził z tą porażką. Nie boję się tego stwierdzenia. Mówi, że czekamy do 11. A co innego prezes miał powiedzieć? Rozejdźmy się do domów? To jest typowe zawołanie: „Poczekajmy do rana, na oficjalne wyniki PKW”. Bo to jest polityczne kupowanie sobie czasu – mówił wyraźnie zadowolony po exit poll Roch Kowalski. Gdy okazało się, że górą jest Karol Nawrocki, dziennikarz mówił: „Ja nie zmienię zdania. Wszystko wskazywałoby na to, że Nawrocki przegrywa te wybory, jesteśmy w środku nocy wyborczej”. Renata Grochal również przekonywała, że nie ma co nadmiernie martwić się badaniem late poll. – Ja poczekam na oficjalne wyniki PKW [...]. No tutaj się jeszcze będzie dużo działo. Pewnie pozycje lidera mogą się zmieniać – twierdziła, a jej twierdzenia nie znalazły potwierdzenia w faktach.

Na to, że początkowe wyniki się utrzymają, liczyli też komentatorzy wieczoru wyborczego na kanale Tomasza i Marka Sekielskich. – No i teraz pytanie. Mam nadzieję, że się prześlizgnęliśmy, ale pytanie właśnie, czy się prześlizgnęliśmy czy jednak nie. Czy się okaże, że znów nie ma „Teleranka” – zastanawiała się Beata Grabarczyk. Marek Sekielski, podobnie jak Sławomir Sierakowski, nie mógł uwierzyć w to, że tak wielu Polaków w ogóle postawiło na kandydata PiS. – Ja w to nie wierzę, wciąż nie wierzę, że facet z taką przeszłością jak Nawrocki dostaje 10 mln głosów w naszej wspólnie ojczyźnie. Po prostu w to nie wierzę, pozwólcie, że w to nie wierzę

– podkreślał. Karolina Opolska, która jest jednocześnie prezenterką TVP Info, wskazywała na dużą sterowalność wyborców PiS. – Jak jest elektorat PiS, to nieważne, co takiego zrobi ich kandydat, pójdzie na niego zagłosować. I zawsze jakoś to sobie zrelatywizuje. Albo w to nie uwierzy, albo to wszystko okaże się atakiem służb specjalnych – kpiła. Mirosław Oczkoś (prowadzi w TVP Info program „Kwiatki polskie”) jako ekspert do spraw wizerunku analizował wygłoszone tuż po godz. 21 przez Jarosława Kaczyńskiego wystąpienie. Dziś wiemy, że prezes PiS miał informacje, iż late poll będzie niemal na pewno korzystny dla jego kandydata. Jednak Oczkoś tłumaczył spokój prezesa inaczej: – Widzimy, że ten entuzjazm trzeba pompować. Twarze miały w sztabie różne oblicza. Jakiejś takiej euforii nie widziałem. Jarosław Kaczyński smutną ma twarz. Jest też stara śpiewka, że siły ciemności przeciw tym drobnym, nieskazitelnym aniołom. Trzeba to grać. Bo co robić?

WYJĄTEK GODNY POCHWAŁY

Wśród przywołanych powyżej głosów dziennikarzy, którzy już dawno i bez grama żenady przestali choćby udawać obiektywizm, pojawił się jeden przypadek godny pochwały – Hanna Lis. Zamiast lamentować nad wynikiem wyborów, po prostu złożyła gratulacje. „Prezydentowi Karolowi Nawrockiemu gratuluję wygranej i życzę, aby miał chęć i determinację, by skleić nasz naród. Bo naród podzielony to naród słaby” – napisała na Instagramie.

Dla wielu obserwatorów Lis takie słowa były nie do przyjęcia. „Gratulacje? Przepraszam, ale nie wyobrażam sobie, że ktoś taki będzie mnie reprezentował w świecie” – pytała oburzona internautka, na co dziennikarka odpisała: „Nie musi sobie już pani wyobrażać. Będzie”. Ktoś inny skomentował: „Rozumiem, że dobrze jest łagodzić emocje, ale od razu gratulować? To jak przyklepanie tego, co pan Karol wykrzykiwał i reprezentował...”. Hanna Lis odpowiedziała: „Nie, niczego nie »przyklepuję«. Czy mi się to podoba czy nie – to jest prezydent mojego kraju. To, że mu gratuluję wygranej, nie oznacza, że nie mam wobec niego oczekiwań. Mam ogromne”.



Agnieszka Pawlik-Regulska podczas konferencji prasowej pod Ministerstwem Edukacji Narodowej, 25 lutego 2025 r.

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS



Z Agnieszką Pawlik-Regulską, prezes Stowarzyszenia Nauczycieli i Pracowników Oświaty „Nauczyciele dla Wolności” rozmawia Tomasz D. Kolanek

Zatrzymać szaleństwo MEN

TOMASZ D. KOLANEK: Czym jest i po co powstała Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły?

AGNIESZKA PAWLIK-REGULSKA: Koalicja na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, w skrócie KROPS, to zrzeszenie różnych organizacji i ruchów społecznych, którym leży na

sercu dobro polskiej szkoły. Wszyscy widzimy, że obecne reformy minister Nowackiej, które nazywam „deformami”, są bardzo szkodliwe zarówno dla szkoły jako instytucji, jak i dla uczniów.

Wszystko zaczęło się w momencie, kiedy minister Nowacka wprowadziła

tzew. zakaz prac domowych. Dla naszego środowiska nauczycielskiego decyzja ta była prawdziwym szokiem. Szefowa MEN zakwestionowała bowiem w ten sposób nasze kompetencje i nasz autorytet. W odpowiedzi zorganizowałam jako prezes Stowarzyszenia „Nauczyciele dla Wolności” w kwietniu 2024 r. spotkanie dla liderów różnych organizacji mających na celu dobro polskich dzieci i polskich szkół. Zwróciłam się do nich z apelem o konkretne działania, aby zatrzymać pseudoreformy Nowackiej.

Wtedy to pani Hanna Dobrowolska zaproponowała, żeby stworzyć wielką koalicję, żeby się połączyć i działać razem. I tak też się stało. Pod pierwszą petycją złożoną na biurku prezydenta Andrzeja Dudy podpisało się 47 organizacji. Pod kolejną, złożoną kilka tygodni później, już 64 organizacje. Obecnie KROPS zrzesza ich 84.

Czy w skład KROPS wchodzi tylko organizacje, stowarzyszenia, związki etc. nauczycieli i ludzi związanych z edukacją?

Do KROPS należą organizacje ściśle związane z edukacją, np. „Nauczyciela dla Wolności”, Stowarzyszenie Pedagogów NATAN, Stowarzyszenie Chrześcijańskich Dzieł Wychowania, Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców czy Rada Szkół Katolickich, a także stowarzyszenia rodzicielskie, m.in. Rodzice Chronią Dzieci, Centrum Życia i Rodziny, Fundacja Mamy i Taty, Polskie Forum Rodziców i Szczyński Klub Kobiet oraz organizacje lokalne, jak Śląski Porządek, Wolni Orzesze, Wolni Jasło, Odpowiedzialny Gdańsk czy również świeccy katolicy reprezentowani m.in. przez Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi oraz Centralną Diakonię Społeczną Ruchu „Światło-Życie”. Nie wszyscy zrzeszeni są blisko związani z Kościołem katolickim, w wielu kwestiach się różnimy, ale łączy nas dobro polskich dzieci i polskiej szkoły.

13 maja 2024 r. opublikowaliśmy deklarację ideową. Jej treść jest dostępna na stronie internetowej www.ratujmyszkole.pl. Każda organizacja, która chce przystąpić do Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, musi zaakceptować tę deklarację, w której informujemy, że chodzi nam m.in. o szkołę wolną od nacisków zewnętrznych czy międzynarodowych; o szkołę, w której szanuje się wkład chrześcijaństwa w polską kulturę; o szkołę promującą wyłącznie tradycyjny model rodziny, prawdę historyczną czy poszanowanie życia od poczęcia do naturalnej śmierci.

Największą „kontrowersją”, jeśli chodzi o rewolucję przygotowaną przez minister Nowacką, jest tzw. edukacja zdrowotna. Według wielu osób będzie to tak naprawdę edukacja seksualna. Co mogą zrobić rodzice, którzy nie życzą sobie, aby ich dzieci uczyły się na ten temat na razie nieobowiązkowy przedmiot? Co przedstawiciele KROPS radzą w tej sprawie rodzicom, którzy się do nich zgłaszają?

Przede wszystkim radzimy poszerzenie swojej własnej wiedzy. Kilka tygodni temu rozpoczęliśmy kampanię „TAK dla Edukacji”, w ramach której organizujemy w całej Polsce spotkania informacyjne poświęcone przede wszystkim tzw. edukacji zdrowotnej, ale nie tylko. Podczas jednego z takich spotkań mówiłam np. o edukacji włączającej i o Europejskim Obszarze Edukacji.

Zapraszamy na spotkania w ramach naszej kampanii, gdzie szczegółowo wyjaśniamy, o co tak naprawdę chodzi w rewolucji Nowackiej. Można napisać w tej sprawie na adres: kampania@takdlaedukacji.pl.

Mamy sporą grupę wolontariuszy, których szkolimy, którym dajemy materiały, aby mogli działać lokalnie. Publikujemy ulotki o tzw. edukacji seksualnej, które potem wielu rodziców drukuje i samodzielnie znosi na wywiadówki, do Rad Rodziców, do dyrektorów szkół i nauczycieli. Rodzice dzwonią i piszą do nas w sprawie organizowania spotkań w szkołach na temat tzw. edukacji zdrowotnej. Zawsze jesteśmy do ich dyspozycji.

To jednak nie wszystko. Wyjaśniamy również rodzicom, co mogą zrobić, żeby spróbować zatrzymać to szaleństwo, które przygotowuje MEN Barbary Nowackiej. W pierwszej kolejności rodzice muszą iść do samorządów, które mogą np. przegłosować specjalną uchwałę stanowiskową.

Tak się stało m.in. w powiecie nowotarskim czy w Zakopanem...

Tak jest! Są to uchwały, w których radni wyrażają swój sprzeciw wobec tzw. edukacji zdrowotnej będącej w rzeczywistości edukacją seksualną. Uchwałę w tej sprawie przyjął również Sejmik Województwa Podkarpackiego, a swoją negatywną opinię opublikował Związek Podhalań.

Żeby jednak tak się stało, musi się znaleźć kilka zaangażowanych, zdeterminowanych osób, które do tego doprowadzą. Tak się stało np. na Podhalu. Proszę sobie wyobrazić, że 1 grudnia, podczas manifestacji w obronie polskiej szkoły w Warszawie, poznały się dwie osoby – góral i góralka. W drodze powrotnej doszli wspólnie do wniosku, że muszą coś zrobić. Najpierw zorganizowali manifestacje w Rabce-Zdroju i w Nowym Targu, a następnie zaprosili naszych ekspertów do siebie na konferencję i dyskusje, co zaowocowało tym, że właśnie tam, w powiecie nowotarskim, w radzie miasta Zakopane i w kilku gminach powstały uchwały stanowiskowe. Włożono w to bardzo dużo pracy, odbyło się wiele spotkań i rozmów z radnymi. Ostatecznie jednak się udało, co pokazuje, że nie warto załamywać rąk, tylko trzeba działać.

Samorządy mogą finansować zajęcia, które byłyby alternatywą dla edukacji zdrowotnej, czyli np. coś na kształt wychowania do życia w rodzinie, przedmiotu zlikwidowanego przez MEN bez żadnej ewaluacji i mimo tego, że nauczanie tego przedmiotu przynosiło pozytywne efekty. Z badań Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej przeprowadzonych na 80 tys. uczniów, rodziców i nauczycieli wynika, że WDŻ był czynnikiem chroniącym przed upijaniem się, braniem narkotyków, wczesną inicjacją seksualną i zachęcał do posiadania potomstwa. To są wszystkie rzeczy niezmiernie ważne, szczególnie ta ostatnia. Jeżeli WDŻ zachęca do posiadania dzieci, to po co go likwidować, zwłaszcza jeśli mamy kryzys czy nawet katastrofę demograficzną?

Co jednak w sytuacji, kiedy samorząd nie przyjmie ustawy stanowiskowej? Czy rodzic może wówczas liczyć na pomoc dyrekcji bądź Rady Rodziców?

Rada Rodziców ma taką prerogatywę, że może występować do samorządu z różnymi wnioskami. Jeżeli udałoby się zatem przekonać Radę Rodziców, to ona też może naciskać na samorząd w tej sprawie, a samorząd musi się pochylić nad każdym złożonym przez nią wnioskiem. Poza tym istnieje obywatelska inicjatywa uchwałodawcza. Chodzi o to, że trzeba zebrać określoną liczbę podpisów, w zależności od wielkości danej gminy, i zgłosić się do samorządu, aby podjął odpowiednie kroki w sprawie.

Wzory inicjatyw uchwałodawczych są dostępne na stronie Instytutu Ordo Iuris, a już niedługo będą również dostępne na stronie www.ratujmyszkole.pl, skąd będzie można je pobrać.

I najważniejsze: na razie tzw. edukacja zdrowotna jest nieobowiązkowa, więc po prostu trzeba rozmawiać z rodzicami dzieci z danej klasy, z danej szkoły i przekonywać ich, żeby jak najmniej uczniów było na tych zajęciach. Nie chodzi o to, żeby dzieci miały wpisaną nieobecność. Chodzi o to, że trzeba wypisać dzieci z tych zajęć, czyli złożyć oficjalną rezygnację. Wzór pisma w tej sprawie również jest dostępny na stronie www.ratujmyszkole.pl, a także www.nauczycieleldlawolnosc.pl.

I to jest zadanie dla każdego rodzica, któremu leży na sercu dobro dzieci.

■ Jeśli nie uda załatwić wielkich rzeczy z samorządami, to trzeba rozmawiać z rodzicami w klasie swojego dziecka i przekonać ich, aby wypisywali swoje dzieci z tego przedmiotu. W ten sposób sprawi się, że tzw. edukacja zdrowotna w ogóle nie zaistnieje. To jest zadanie dla każdego rodzica.

A we wrześniu należy koniecznie zgłosić się do trójek klasowych i do szkolnej rady rodziców, która ma duże kompetencje, choć często nieznaną, i może realnie wpływać na szkołę, np. powinna ona w porozumieniu z radą pedagogiczną (art. 26 PrOśw) uchwalić program profilaktyczno-wychowawczy i zadbać, żeby był w niej np. zapis, zgodnie z którym „szkoła, realizując swoje cele i zadania wynikające z przepisów prawa, uwzględnia potrzebę kształtowania i wzmacniania u uczniów poczucia tożsamości narodowej (zob. art. 98 ust. 1 pkt 4 PrOśw), poszanowania dla chrześcijańskiego dziedzictwa Narodu (zob. preambuła Konstytucji RP oraz preambuła Prawa oświatowego) oraz tworzenie, w sposób adekwatny do wieku i rozwoju uczniów, środowiska przyjaznego wartościom wyrażonym w art. 18 Konstytucji RP, tj. małżeństwa, jako związku kobiety i mężczyzny, rodziny, macierzyństwa i rodzicielstwa”.

Czy to wystarczy, żeby powstrzymać rewolucję minister Nowackiej? Przypomina mi się bowiem sprawa, która miała miejsce za „pierwszego Tuska”, czyli obowiązek szkolny dla sześciolatków. Ogromne protesty, setki tysięcy osób podpisanych pod protestem w tej sprawie. I co? I władza nic sobie z tego nie zrobiła. Obowiązek szkolny dla sześciolatków został wprowadzony...

Odpowiem pytaniem: Czy obecnie obowiązuje obowiązek szkolny dla sześciolatków?

Nie, obecnie to rodzice decydują o posłaniu sześciolletniego dziecka do szkoły, jednak aby tak się stało, musiała się w Polsce zmienić władza.

Tak, ale gdyby nie było tych protestów, to prawdopodobnie nic by się nie zmieniło. Nie zawsze jest tak, że działania przynoszą natychmiastowy efekt. Czasami trzeba patrzeć na daną kwestię długofalowo.

Dla nas – zjednoczonych w KROPS – ważne jest budzenie świadomości. Dzięki temu, że dekadę temu tak wiele osób

zaangażowało się w protest przeciwko obowiązkowi szkolnemu sześciolatków, ludzie się obudzili. Znam rodziców, którzy wówczas chodzili na spotkania w parafiach, byli wśród nich kobiety w ciąży, i działali, protestowali oraz zbierali podpisy przeciwko tej ustawie i w sprawie referendum. Właśnie dlatego uważam, że najważniejsze w naszej działalności społecznej jest budzenie świadomości.

Nie mamy dostępu do mediów mainstreamowych, nikt nas tam nie zaprasza. Przepraszam, raz w listopadzie Polsat zaprosił mnie do programu „Lepsza Polska”, gdzie mogłam skonfrontować się z prof. Izdebskim. Układ polityczny jest jednak taki, jaki jest, i tylko opór społeczny jest w stanie cokolwiek zmienić.

Na razie tzw. edukacja zdrowotna nie będzie obowiązkowa. Powiedział o tym wprost wicepremier Kosiniak-Kamysz w Szczecinie, podkreślając, że „chce uspokoić protestujących”. Gdyby nie nasze protesty, gdyby nie to, że ludzie wyszli na ulice w bardzo wielu miejscowościach, gdyby nie nasza mobilizacja, to tzw. edukacja zdrowotna weszłaby do szkół jako obowiązkowy przedmiot i być może bez wielkich zmian w podstawach. Jesteśmy o tym przekonani i wiemy, że tylko nacisk tego typu jest w stanie cokolwiek zatrzymać lub zmienić.

Ale z drugiej strony też są naciski na minister Nowacką, że wszystko idzie za wolno...

To oczywiste, że są naciski z drugiej strony, ale one nie są moim zdaniem wielkim problemem. Wielkim problemem są pieniądze, które kryją się za tymi naciskami. Przykładem jest chociażby kwestia wprowadzenia edukacji włączającej, z czym jako Koalicja na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły również walczymy.

W połowie marca w Warszawie odbyła się konferencja „Let’s Inclusion Happen” w ramach polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej. Pani minister wskazała dwa priorytety edukacyjne polskiej prezydencji. Pierwszym była właśnie edukacja włączająca, a drugim wzmocnienie zaufania młodych ludzi do Unii Europejskiej. To chyba najlepiej pokazuje, jaką Barbara Nowacka ma wizję polskiej szkoły.

Dlaczego edukacja włączająca jest problemem?

Ponieważ jej wprowadzenie doprowadzi do stanu, że w szkołach nie będzie się dało już uczyć. Szkoły staną się bowiem placówkami opiekuńczymi. Jeżeli wrzucimy do jednej klasy dzieci ze wszystkimi dysfunkcjami, co ma na celu edukacja włączająca, łącznie np. z upośledzeniem w stopniu umiarkowanym i głębokim, to ja jako nauczyciel z ponad 20-letnią praktyką zapewniam, że w takiej klasie nie da się nauczyć niczego nawet na średnim poziomie. To jest celowe działanie, aby społeczeństwo młodych ludzi było łatwiej sterowalne.

Za edukacją włączającą idą ogromne pieniądze, m.in. z funduszy europejskich. Kiedy dyskutuje się na ten temat np. z urzędnikami Ministerstwa Edukacji Narodowej, to oni się zaśmiają, że to przecież nie są ich projekty, to są projekty unijne, a jeśli się ich nie zrealizuje, to nie będzie pieniędzy z Brukseli. I co? I mówiąc kolokwialnie, jest pozamiatane... A pieniądze są ogromne. Na mocy umowy partnerstwa z UE podpisanej 30 czerwca 2022 r. Polska otrzyma do 2027 r. 76 mld euro na edukację, głównie włączającą. Co gorsza, jest zapis, że nie można takich pieniędzy przeznaczyć na placówki, które są „segregujące”, czyli na szkoły specjalne. Dochodzimy więc do punktu, w którym szkoły specjalne będą zamykane, bo nie ma na nie pieniędzy z UE. Ktoś powie, że to absurd. Ja odpowiadam: to nie absurd, tylko celowe działanie i musimy się temu stanowczo przeciwstawiać. Raz jeszcze zapraszam do odwiedzenia strony www.ratuj-myszkole.pl i kontaktowania się z nami pod adresem koalicjars@nauczyciele-dlawolnosci.pl. Jesteśmy do dyspozycji i zawsze pomożemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Agnieszka Pawlik-Regulska – współzałożyciel i prezes Stowarzyszenia Nauczycieli i Pracowników Oświaty „Nauczyciele dla Wolności” oraz współzałożyciel i koordynator Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, nauczyciel dyplomowany języka polskiego i języka niemieckiego z ponad 20-letnim stażem pracy w gimnazjum, liceum i szkole podstawowej, egzaminator egzaminu ósmoklasisty z języka polskiego, stypendystka Fundacji Alfred Toepfer Stiftung na Uniwersytecie w Hamburgu.

RADOSŁAW WOJTAS: W 1919 r. skłusowano ostatniego żubra żyjącego w Puszczy Białowieskiej, w 1923 r. na całym świecie były tylko 54 żubry czystej krwi. Całkowite wymarcie gatunku było bliskie?

PROF. WANDA OLECH: Był to najtrudniejszy okres w historii gatunku. Liczebność żubrów na wolności spadła do zera, zostały tylko osobniki utrzymywane w ogrodach zoologicznych i zwierzyńcach. Groźba całkowitego zniknięcia żubra była realna. Po pierwsze dlatego, że tych zwierząt było tak mało, a po drugie dlatego, że królowało wówczas przekonanie, iż nie uratuje się żubra, jeśli nie będzie się go krzyżować z bizonem. Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubra założono w Niemczech w 1923 r. To wtedy zaczęto zwracać uwagę na czystość gatunku, choć nie zawsze się to udawało.

Ostatecznie się udało. Dziś na świecie żyje ok. 12 tys. osobników, w Polsce ponad 3 tys. A wszystkie one pochodzą od 12 osobników. Tytaniczna praca, w której duże zasługi mają Polacy.

Po drugiej wojnie światowej Europa przekazała odpowiedzialność za żubra dr. Janowi Żabińskiemu. Przed 1939 r. był on wiceprezesem Towarzystwa Ochrony Żubra, po wojnie był najlepszym specjalistą od żubrów. Pilnował żubrowych spraw aż do swojej śmierci. Kolejnym guru był prof. Zdzisław Pucek, od lat 70. do początku naszego wieku nasz główny żubrolog.

Wtedy – za czasów prof. Pucka – poszło z górki?

Nigdy nie było z górki. Dramatycznym momentem – w którym już uczestniczyłam, bo zajmuję się żubrami od połowy lat 80. – były lata 90. Bieda i brak stabilnej sytuacji w krajach po ZSRS pchnęły ludzi do kłusowania na żubry. Ich liczebność spadła może nie bardzo drastycznie, bo o ok. 500 osobników, ale pamiętam prof. Pucka, który był wówczas strasznie przejęty tym, co przyniesie przyszłość. W tamtym czasie otrzymał dofinansowanie od Large Herbivore Initiative na przygotowanie planu działania o wadze europejskiej, międzynarodowej, w którym miały być wskazane kierunki działania. Zbieranie danych trwało długo, potrzebne było mnóstwo spotkań, ale w 2002 r. dokument był gotowy, został zaprezentowany i bardzo ciepło przyjęty na posiedzeniu konwencji berneńskiej. Na tej bazie powstała polska strategia



Z prof. Wandą Olech, ekspertem zajmującym się od wielu lat ochroną żubra

rozmawia Radosław Wojtas

Martwię się o polskie żubry

zaakceptowana przez ministerstwo środowiska.

Co zakładała?

Żeby liczebność żubrów stale rosła, ale żeby była adekwatna do zajmowanego obszaru. Żubr to zwierzę, które wymaga odpowiedniej przestrzeni i zasobów pożywienia. Od początku założyliśmy, że chcemy mieć w Polsce nie pięć populacji – a tyle wówczas mieliśmy – ale 20, 30, a nawet 50. Zakładaliśmy też pilnowanie liczebności osobników w tych populacjach. Podjęliśmy współpracę z Lasami Państwowymi i zaczęliśmy szukać dla żubrów odpowiednich miejsc i tworzyć kolejne populacje. Ta koncepcja sprawdzała się przez lata. Aż w końcu wszystko się posypało.

Dlaczego?

Ponieważ ludzie mieszkający w rejonach, do których miały trafiać żubry, zaczęli protestować. Stwierdzili, że obecność

tych zwierząt jest zbyt problematyczna. A stwierdzili tak dlatego, że w miejscach, gdzie dotychczas były żubry, bardzo ograniczono nam możliwość prowadzenia selekcji i utrzymywania populacji na odpowiednim poziomie. Zagęszczenie żubrów się zwiększało, szkody rosły.

Czyli zakazano strzelać do żubrów?

Nie tylko. Populację reguluje się częściowo przez zabijanie wyselekcjonowanych osobników, częściowo przez odławianie. W latach 70. eliminowano w Puszczy Białowieskiej niekiedy 40 żubrów rocznie przy stanie ok. 300 osobników. Teraz eliminuje się pięć. Oczywiście taka eliminacja prowadzona jest zawsze w kierunku dobra populacji. W pierwszej kolejności eliminuje się osobniki chore. To jest bezdyskusyjne. W drugiej – osobniki, które w jakiś sposób odstają, np. mają zmieniony behavior lub są natarczywe, pojawia-

■ ją się w jednym miejscu, w którym robią szkody. Odstrzwały wykonuje się też czasem po to, by przepłoszyć zwierzęta z danego obszaru. One się uczą, żeby nie zapuszczać się tam, gdzie strzelają. To wszystko działało.

Kiedy zatem zmieniono zasady i dlaczego?

Zaczęło się w 2016 r. od raportu Greenpeace, który rozkręcił aferę, że w Polsce strzela się do żubrów. Zaczęły się protesty. Niektóre śmieszne. Na przykład w Warszawie była taka ustawka młodych ludzi z tarczami, na których narysowane były bizona amerykańskie, ale protestujący wrzeszczeli, żeby nie zabijać żubrów. Ludzie z tego protestu pewnie w życiu nie widzieli żubra na żywo, nie mieli pojęcia o jego ochronie, ale samo słowo „zabijanie” budzi dziś takie kontrowersje, że nic innego się nie liczy. A przecież w zasadzie każdy człowiek zabija. Może nie własnymi rękoma, ale zabija. Nawet jeśli ktoś nie je produktów mięsnych, to jego pies je mięso. Albo jego dziecko będzie jeść produkty zwierzęce. Każdy człowiek w jakimś stopniu uczestniczy w procesie zabijania, na tym polega nasza cywilizacja. Takie są prawa natury – wszystko nawzajem się zabija. Bambinizm wdarł się tak głęboko w umysły ludzi, że to zaczyna być niebezpieczne. Życie człowieka przestaje mieć jakąkolwiek wartość, a życie zwierzęcia zyskuje wartość ogromną.

Politycy wystraszyli się protestów i związali wam ręce?

Tak, a dodatkowo organizacje pozarządowe zalewały pismami, pytaniami wszystkie możliwe instytucje, nadleśnictwa, które musiały tracić mnóstwo czasu na przygotowywanie odpowiedzi. Wszyscy mieli ich już serdecznie dość. Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska zaczęła wydawać pozwolenia na odstrzał z takimi obostrzeniami, że wykonanie tych decyzji było praktycznie niemożliwe. I tak jest do tej pory. Na komisjach posłanki pokroju pani Jachiry wrzeszczą, że przecież jest możliwość zabijania żubrów czy wilków, że więcej derogacji się wydaje, niż wykonuje, tylko że jeśli tam jest napisane, iż można zabić zwierzę tylko danego dnia, strzelając tylko w kierunku wschodnim i tylko wtedy, kiedy po prawej stronie stoi lekarz weterynarii,

Profesor Wanda Olech przy żubrze
uśpionym do badań FOT. ARCHIWUM WANDY OLECH



a po lewej naukowiec, to stawia się warunki niemożliwe do spełnienia.

Awantura o zabijanie żubrów dotyczyła nie tylko tego, że zwierzęta giną. Niektóre środowiska i media oburzają się na to, że myśliwy może zapłacić, zastrzelić żubra i powiesić sobie jego łeb nad kominkiem. Że „przyjeżdżają Niemcy z portfelami pełnymi euro i strzelają do polskich żubrów”.

No i co z tego, że Niemcy? Strzelali też Polacy, Rosjanie, strzelał król Hiszpanii... Kiedy trzeba było wyeliminować żubra, robiło się to na warunkach komercyjnych: myśliwy płacił niemałe pieniądze za możliwość oddania strzału. Zawsze towarzyszył mu dubler, który strzelał równocześnie, by zwierzę na pewno zginęło szybko. Myśliwy mógł zabrać trofeum. Ja sobie głowy żubra w domu nie powieszę, to nie moja estetyka, ale nie mam nic przeciwko temu. Polowanie trofeowe zostało zaakceptowane przez Międzynarodową Unię Ochrony Przyrody jako narzędzie ochrony gatunków w stosunku do gatunków dużych, czyli głównie fauny afrykańskiej. Ochrona takich zwierząt kosztuje. Nie ma niczego złego w tym, że osobnik, który został wyselekcjonowany do eliminacji, zginie z ręki myśliwego, który wesprze finansowo ochronę pozostałych zwierząt. Oczywiście nie ma w Polsce gospodarowania gatunkiem, czyli nie zarabia się np. na sprzedaży mięsa, bo przecież „pomnika zjadać nie można”.

Wspomniała pani, że dziś eliminuje się kilka żubrów rocznie.

Selekcja w tej chwili jest zminimalizowana. To są powypadkowe zwierzęta albo takie, po których bardzo wyraźnie widać, że są chore.

Gdybyśmy się tu pokusili na antropomorfizację i spojrzeli na naszą rozmowę okiem żubra, to wszystko, co pani dotychczas powiedziała, z jego punktu widzenia wygląda dobrze. Zresztą żubrów przybywa, wydaje się, że strategia „nie strzelamy do pomnika” działa.

Pozornie i do czasu. Liczba żubrów stale i niekontrolowanie rośnie, co nie byłoby tak kłopotliwe, gdyby były to zwierzęta, które zajmują nowe tereny. Ale żubr nie ma tendencji do migracji. Pierwsze wyjścia z Puszczy Białowieskiej odnotowano 20 lat temu i w tym czasie żubry oddaliły się zaledwie o 20 km. To oznacza ciągle zagęszczanie populacji. Jakie są tego konsekwencje? Po pierwsze, większe wykorzystanie zasobów pokarmowych i większe szkody. Po drugie, większe zanieczyszczenie środowiska poprzez większą ilość odchodów, a więcej odchodów to więcej pasożytów. Po trzecie, bardziej zestresowane zwierzęta, które w większych stadach wciąż ustwiają relacje między sobą i robią to nerwowo. Po czwarte, jeśli w przegęszczonym stadzie pojawi się wirusowa lub



Jak to? Żubr to symbol Puszczy Białowieskiej.

Symbol, który się wykorzystuje, kiedy jest to wygodne, ale o którym się nie pamięta, gdy robi się awanturę o wycinanie drzew. Normalne gospodarowanie lasem, odsłanianie go jest dobre dla żubra. A Puszcza Białowieska staje się dziś miejscem dla uschniętych, powalonych świerków, których nie można usunąć. Tam są łąki przygotowane z myślą o żubrach. Ale trzeba je kosić, rekultywować, tymczasem puszcza stała się święta i nietykalna. Przez gruzowiska drzew, których nie można usunąć, przez zakrzaczenie nie można dojechać do tych pastwisk, nawet żubry mają problem, by do nich dojść. Mimo że liczba żubrów rośnie, w samej puszczy maleje. Zawsze uważaliśmy, że jeśli będzie ich poniżej 300, to będzie to tragiczny wynik. W ubiegłym roku naliczyliśmy 232 sztuki. Ale wcale mnie to nie dziwi. Prowadzenie gospodarki leśnej sprzyja roślinożercom. Kiedy słyszę, że ma być zrąb, to już widzę ten odrost, który przez parę lat będzie idealnym źródłem pożywienia dla roślinożerców. Kiedy dopuszcza się światło, to natychmiast pojawia się roślinność zielna, idealna dla roślinożerców. W Puszczy Białowieskiej, w ścisłym rezerwacie, żubrów nie ma. Bo po co?

Czy jesteśmy w punkcie, w którym martwi się pani o polskie żubry?

Oczywiście. Martwię się i czarno to widzę. Wspomniałam o chorobie błękitnego języka. Niedawno mierzyli się z nią Niemcy. Tam śmiertelność żubrów dochodziła do kilkunastu procent. Wspominałam o telazjozie. Walka z nią u dzikich zwierząt polega na usuwaniu pierwszych chorych zwierząt, kiedy jest ich jeszcze mało. Jeśli nie likwidujemy źródła od razu, to bardzo dużo ryzykujemy. Uważam, że stan ochrony żubra jest niewłaściwy. Ten gatunek powinien być użytkowany i rozprzestrzeniany. Jest nierozprzestrzeniany, nieużytkowany i w dodatku będzie cierpieć. Ekolodzy chcą, by żubry zdychały ze starości, ale nie mówią o tym, jak ta śmierć wygląda. Przeżuwalce zdychają z głodu, bo w pewnym wieku nie mają już zębów, by pozyskiwać pokarm.

Kiedy rozmawiałem z prof. Andrzejem Grzywaczem o gospodarce leśnej, powiedział, że dziś politycy nie słuchają specjalistów z tytułami na-

ukowymi, doświadczeniem i dorobkiem, słuchają ekologów. Czy w przypadku ochrony żubra też tak jest? Aktywiści biorą górę?

Nie od dziś. W 2012 r. jako kierownik projektu finansowanego ze środków unijnych złożyłam do Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska sześć planów ochrony dla sześciu gatunków: wilka, niedźwiedzia, wydry, rysia, kormorana i żurawia. Myśli pan, że nad którymkolwiek z nich zaczęto pracować? Nad żadnym. Nie było nawet dyskusji. W 2016 r. na ręce głównego konserwatora przyrody złożyliśmy aktualizację planu ochrony żubra. Nie dostaliśmy nawet odpowiedzi. W 2023 r., także do głównego konserwatora przyrody, wysłaliśmy propozycję planu działania dla całej Unii Europejskiej. Pojawił się bowiem nowy problem, czyli wojna Rosji z Ukrainą, i uznaliśmy, że UE powinna wziąć większą odpowiedzialność za żubra. I co? I nic. Te dokumenty gdzieś tam sobie leżą, nikt się nimi nie zainteresował, nikt nie podjął dyskusji. Według mnie nie tak powinno wyglądać zarządzanie przyrodą. Bo problem mamy w Polsce nie tylko z żubrem, lecz także z niedźwiedziem, wilkiem, żurawiem, kormoranem i innymi gatunkami. Potrzebujemy odważnych decyzji i jakiejś strategii.

Jakaś strategia chyba obowiązuje i można ją określić prosto – nie zabijać, bo zabijanie zwierząt jest złe, a myśliwi to bandyci mający krew na rękach.

Rozumiem takie podejście z punktu widzenia różnych organizacji pozarządowych. One manipulują opinią publiczną, bo na tym wygrywają finansowo. Ale co kieruje kierownictwem Ministerstwa Środowiska, że wygłasza tezy, które nie mają żadnego poparcia w faktach i robi to w tak propagandowym tonie? Leśnicy śmieją się przez łzy, że o decyzjach ministerstwa dowiadują się z Facebooka. Chyba już dosięgnęliśmy dna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przekroczyła?

Trzeba zacząć od tego, że Puszcza Białowieska przestaje być miejscem dla żubra.

prof. dr hab. Wanda Olech – profesor nauk rolniczych, Katedra Genetyki i Ochrony Zwierząt Instytutu Nauk o Zwierzętach Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, prezes Stowarzyszenia Miłośników Żubrów. Od lat 80. zajmuje się naukową ochroną żubra.

Rok niebezpiecznego życia



Pierre-Antoine Demachy, „Święto Jedności i Zjednoczenia na placu Rewolucji”, ok. 1793 r. FOT. MUSÉE CARNAVALET



Wiesław Chelminiak

Sztandary rewolucji wyblakły. Nikt już nie tańczy karmanioli. Francuzi z przyzwyczajenia świętują upadek Bastylli, lecz w głębi duszy są konserwatystami alergicznie reagującymi na jakiegokolwiek zmiany

Bez wielkich fanfar, z poślizgiem spowodowanym igrzyskami, Musée Carnavalet pokazało wystawę „Paris 1793–1794. Une année révolutionnaire”. Brzmi niewinnie dopóty, dopóki nie przypomnimy sobie, że mowa o roku, w którym najpotężniej-

szym wówczas państwem Europy rządziła ekipa doktrynerów zamierzająca na gruzach Kościoła i monarchii stworzyć nowy, wspaniały świat. Efektem był permanentny kryzys, który próbowano zażegnać masowym terrorem. Myśl Diderota, że narody regenerują się wyłącznie w kąpieli z krwi, okazała się prorocza.

Z MŁOTEM NA KATEDRĘ

Unieważnić historię, wcielić w życie polityczną, ba, cywilizacyjną utopię, wojując jednocześnie z wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym – oto wyzwanie godne tytanów. Robespierre i spółka mu nie sprostali, lecz apologetci jakobinizmu twierdzą, że i tak było warto. Rewolucja zunifikowała kraj, przekształciła Luwr w ogólnodostępne muzeum, zniosła niewolnictwo w koloniach (osiem lat później Napoleon je przywrócił) i zalegalizowała

rozwoły. Małżeństwo stało się umową cywilną. Państwo przejęło od Kościoła funkcje opiekuńcze, szpitale i przytułki, troszczyło się o najbiedniejszych.

Jednocześnie pogłębiała się przepaść między głoszonymi hasłami a praktyką. Problem stronnictwa wolnej prasy rozwiązano, oddając w ręce kata redaktorów najpopularniejszych tytułów. Rozkwit teatrów skończył się ich upaństwowieniem i żądaniem, by wystawiały wyłącznie repertuar „patriotyczny”. Rewolucja, która zaczęła się od uwalniania więźniów reżimu, zapełniła więzienia w stopniu dotąd niespotykanym. Trybunały działały sprawnie, w myśl zasady, że lepiej skazać na śmierć 100 niewinnych, niż pozwolić, by jeden winny uszedł z życiem.

Trzymać z ofiarami represji czy raczej z gawiedzią fetującą obalenie monarchii

konstytucyjnej? Twórcy ekspozycji wybrnęli z kłopotu dyplomatyczną formułą, wedle której był to czas „równie niebezpieczny, co pełen nadziei”. Z głośników dyskretnie sączyły się bojowe pieśni, na czele z „Marsylianką”. Dla tych, którzy nie uważali w szkole, przygotowano animację objaśniającą, kim był i jak się nosił sankiulota. Z nadzieją dotarcia do młodszej części elektoratu muzealnicy nawiązali współpracę z autorami komiksowego cyklu „Rewolucja”. Ich rysunki sąsiadują z obwieszczeniami i dekretami, obficie produkowanymi przez republikańskie instytucje. Chętni mogli też pobrać darmowy multimedialny przewodnik po miejscach związanych z epoką jakobinów.

W rewolucyjnym Paryżu, obwołanym miastem odrodzenia, trudno było się nudzić. Władza dbała o rozrywkę dla mas. Obywatele świętowali pierwszą rocznicę zniesienia monarchii, uchwalenie nowej konstytucji (która nigdy nie weszła w życie) tudzież konfiskatę majątku kościołów i klasztorów. Pochodem i tańcami uczczono Święto Rozumu. Robespierre mimo to sądził, że lud potrzebuje religii. 8 czerwca 1794 r. zainaugurował więc kult Najwyższej Istoty, publicznie podpalając figury symbolizujące ateizm, egoizm i niezgodę. W ich miejsce pojawiła się Statua Mądrości.

Dechrystianizacji towarzyszyła demolka. Rozmiary „wandalizmu” (właśnie wtedy ów termin wszedł do użycia) przeraziły nawet szczerych republikańców, co w przyszłości miało poskutkować wzięciem zabytków pod ochronę państwa. W Musée Carnavalet skwitowano ten epizod historii oficjalnej manifestacją rzeźb odnalezionych dopiero pod koniec XX w. Co tu kryć, głowa starotestamentowego króla, wyrębana z fasady Notre Dame, straciła wiele na urodzie po zderzeniu z paryskim brukiem.

SZTUKA I PROPAGANDA

Kuratorzy wystawy sporo uwagi poświęcili twórcom rewolucyjnej estetyki. Najwięcej malarzowi, który organizował uroczyste pogrzeby Woltera i Rousseau, święta Natury, Konstytucji oraz Najwyższej Istoty.

Jacques-Louis David (bo o nim mowa), artysta znany i dobrze sytuowany, gdy burzono Bastylię, miał już na karku

czterdziestkę, lecz rzucił się w wir polityki z animuszem godnym nastolatka. Został członkiem Klubu Jakobinów, naczelnym propagandystą i dyktatorem mody. Wymyślił kostiumy dla urzędników i „reprezentantów narodu”. Elewów Ecole de Mars, która miała zastąpić wojskową szkołę królewską, odział w cudaczne mundury będące kompilacją stroju rzymskiego, szkockiego i... polskiego. Na ramionach zamiast epoletów przyszli wojacy nosili imitacje jaskółczych gniazd.

David stworzył również słynny wizerunek „męczennika rewolucji” – dziennikarza Marata, zaszytowanego przez młodą rojalistkę, gdy zażywał kąpieli. Wcześniej podobną przysługę wyświadczył deputowanemu, który głosował za straceniem Ludwika XVI i zapłacił za to życiem. Obraz, przedstawiający markiza Lepeletiera na łożu śmierci, nie przetrwał. Kupiła go i zniszczyła córka „męczennika”, w przekonaniu, że tato zhańbił rodzinę, zadając się z królobójcami.

**Dechrystianizacji
towarzyszyła demolka.
Rozmiary „wandalizmu”
przeraziły nawet szczerych
republikańców**

U szczytu kariery David udzielał się w niesławnym Komitecie Bezpieczeństwa Publicznego, planował przebudowę francuskich miast i wznoszenie w nich pomników ku czci narodu. Paryski monument miał zawierać fragment portalu przeznaczonej do wyburzenia katedry Notre Dame. Po upadku Robespierre’a klasyk rewolucyjnego designu na chwilę trafił do więzienia, lecz Napoleon uczynił Davida swym nadwornym malarzem. Być może w powrocie do łask pomogły prezentowane na wystawie wulgarnie, antyangielskie karykatury.

Mistrz miał pojętych uczniów. Jeden z nich, Jean-Baptiste Wicar, wymyślił nowe godło Francji: kobietę z włócznią podobną do greckiej Ateny. Tablica z prawami człowieka i obywatela dziwnie przypominała 10 przykazań. Rewolucyjnie imaginariusz oryginalnością nie grzeszyło.

Od czapek frygijskich i różg liktorskich do krótkich mieczy, w które wyposażył elewów David – wzorów dostarczał antyczny Rzym. Neoklasycyzm w architekturze i sztukach plastycznych przetrwał Bonapartego, powrót monarchii, a nawet ekscesy XX-wiecznej awangardy. To jednak temat na osobną opowieść.

Artyści, którzy oddali swoje talenty w służbę ancien régime’u, w większości wyemigrowali. Hubert Robert, zwany „malarzem ruin”, został w Paryżu i wyszedł na tym średnio. Melancholia bowiem słabo się rymuje z walką o wolność, równość i braterstwo. Muzycznym odpowiednikiem Davida był François-Joseph Gossec. Okrzyknięty „Tyrteuszem rewolucji” bez wytchnienia komponował utwory wykonywane podczas republikańskich spędów. „Hymn do Najwyższej Istoty” nie przetrwał jednak próby czasu, w przeciwieństwie do symfonicznej mszy żałobnej, którą Gossec stworzył jeszcze za panowania Ludwika XV.

PIKA, NÓŻ, GILOTYNA

Na obaleniu monarchii najwięcej zyskali producenci papieru i właściciele drukarni. Francję zasypała bowiem istna lawina obwieszczeń, plakatów, gazetek i banknotów. Nie są to eksponaty przyciągające uwagę, więc zwiedzający wystawę zaledwie omiatali wzrokiem gablotę, w której umieszczono asygnaty. Szkoda, bo historia rewolucyjnej waluty jest wielce pouczająca. Miała wyciągnąć kraj z długów, ale uszczęśliwiła przede wszystkim spekulantów wykupujących dobra pokościelne. Asygnata wciąż traciła na wartości, więc ich kredyty z każdym rokiem taniały. Zanim wycyfano ją z obiegu (co uczczono paleniem banknotów i pras do ich drukowania na placu Vendôme), siła papierowego pieniądza spadła do 3 proc. wartości pierwotnej.

Finansowe problemy obywateli Pierwszej Republiki odeszły w zapomnienie. Rządy jakobinów kojarzą się przede wszystkim z terrorem. Ludowym, którego symbolem są piki (na które nadziewano głowy wywiezionych z aresztów prawdziwych i rzekomych beneficjentów ancien régime’u), oraz państwowym, kojarzonym z gilotyną. Nowy wynalazek zdążył zatwierdzić Ludwik XVI, nie spodziewając się, że będzie jednym z pierwszych straconych „w humanitarny sposób”. W drodze

■ na szafot wyprzedził go redaktor gazety krytykującej samosady.

„Rewolucja była krwawym i brutalnym okresem” – przyznają twórcy wystawy. Drzwi do więzienia Saint-Lazare zwanego „poczekalnią do gilotyny”, maska pośmiertna i fragment szczęki Marata, fragmenty tapety zdobiącej salę, w której zbierał się na tajnych naradach Komitet Ocalenia Publicznego, teczka na papier Robespierre’a, stół, będący niemyym świadkiem zbrodni Trybunału Rewolucyjnego, nóż, który wbił sobie w serce jeden z żyrondistów, uprzedzając kata – takie rzeczy działają na wyobraźnię. Pod warunkiem, że coś się o tych czasach wie.



Jeanne-Louise, znana jako Nanine, „Wolność”, 1794 r. FOT. MUSÉE DE LA RÉVOLUTION FRANÇAISE

Polowanie na arystokratów, księży i cudzoziemców od biedy można uznać za konsekwencję wojen toczonych przez republikę. Trudniej pojąć, dlaczego rewolucja zaczęła zjadać własne dzieci. Po żyrondistach przyszła bowiem kolej na bożyszcze tłumów – Dantona, który chciał złagodzić kurs i zaniechać masowych represji. Oskarżony o spisek, agenturalność i korupcję (w tym punkcie coś było na rzeczy) liczył, że pokona Robespierre’a krasomówczym popisem. Niestety, trybunał zastosował tryb doraźny. Pozbawianie podsądnych prawa do obrony stało się odtąd regułą.

Upadek Dantona, choć spektakularny, nie był odosobniony. Tego samego dnia z „narodową brzytwą” spotkał się jego sekretarz, autor nazw miesięcy w ewolucyjnym kalendarzu. Był go szefa

dyplomacji, który szturmował Bastylię i redagował konstytucję roku I, zgubiło szlacheckie pochodzenie. Chemika Lavoisiera – praca poborcy podatkowego w czasach monarchii. André Chénier usłyszał od oskarżyciela, że „republika nie potrzebuje poetów”. Czekał cztery miesiące na egzekucję, zdążył jeszcze wiele napisać. Mało brakowało, by jego los podzielił Pierre Choderlos de Laclos, twórca „Niebezpiecznych związków” marnujący talent w służbie księcia Orleańskiego.

ŁOWCY SKÓR

Rewolucja francuska była męskim projektem. Nawet w marszu „głodujących paryżanek” na Wersal brylowali panowie przebrani w damskie fatałaszkę. W ramach zadośćuczynienia Musée Carnavalet udostępniło zwiedzającym dossier kilku kobiet, ofiar zbrodni sądowych.

Królowa Maria Antonina, zabójczyni Marata Charlotte Corday czy feministka Olympe de Gouges (która miała czelność krytykować jakobinów) dziś przewyższa ją sławą swych oprawców.

Postęp wymaga poświęceń. Historycy obliczyli, że w imię utrwalenia nowego ładu zgilotnowano 35 tys. ludzi. Szacunki dotyczące wszystkich ofiar terroru tudzież wojen wewnętrznych i zewnętrznych są rozbieżne – od 100 tys. do 1 mln. Jak na ironię, gdy republika kończyła swój burzliwy żywot, biedacy – którzy mieli najbardziej skorzystać na zmianie ustroju – byli jeszcze biedniejsi. Oczywiście życie toczyło się nadal, manufaktura w Sèvres nieustannie wytwarzała porcelanowe cacka, tyle że królewskie herby zastąpiło symbolami rewolucji. Na dachu Luwru pojawił się zaś telegraf optyczny, zwiastun epoki nowoczesnej.

Jednym z ostatnich, łatwym do przegapienia eksponatem wystawy była mała książka. Z opisu wynikało, że to egzemplarz jakobińskiej konstytucji, oprawiony w skórę „wroga wolności”. Okładki nie poddano ekspertyzie, nikt też nie zweryfikował plotek o garbarni w zamku Meudon produkującej makabryczne memorabilia. Louis Saint-Just, apologeta terroru, ponoć chwalił się kamizelką (według innej wersji spodniami) z ludzkiej skóry. Może to i bajki, ale bestialstwa, których dopuszczali się republikanie w Paryżu czy Wandei, są dobrze udokumentowane. I pomyśleć,

że rewolucja zaczęła się pod hasłami humanitaryzmu...

ŚWIECKA WERSJA ZBAWIEŃ

Polacy długo czerpali wiedzę o francuskim eksperymencie z książek historyków marksistów. Upadek ZSRS, który mienił się ideowym spadkobiercą XVIII-wiecznych radykałów, zaowocował publicystyką koncentrującą się na zbrodniach jakobińskiego reżimu. Ostatnio z dziedzictwem rewolucji zmierzył się Stephen Clarke. Absolwent Oksfordu, opromieniony sukcesem cyklu „Merde!”, o historii wypowiada się w poważniejszym tonie niż o teraźniejszości. Zaczniemy od tego, że gilotynę wymyślili Anglicy, i to już w średniowieczu. Wystarczyło im jednak rozsądku, by używać jej sporadycznie.

„Rewolucja francuska... i co poszło nie tak” – tytuł mówi sam za siebie. Clarke bez ogródek stwierdza, że republika zamiast obiecanej demokracji zafundowała ludziom „tyranię, megalomanię i bratobójstwo”, do rządów zaś dorwały się „bestie i wykolejńcy”. Gdyby Francja zatrzymała się na etapie monarchii konstytucyjnej, oszczędziłaby sobie politycznych wstrząsów wtórnych, które targały nią przez następne stulecie. Zdaniem wyspiarza sąsiedzi, zabijając Ludwika XVI, sami sobie zrobili krzywdę, pozbawiając się bezcennej historycznej podbudowy w stylu brytyjskim.

Czy rzeczywiście „w głębi francuskich serc nadal mocno płonie tęsknota za królestwem”? Teza, że Piąta Republika hipokryzją stoi, nie jest nowa. Triada: *liberté, égalité, fraternité* pozostaje narodowym mottem, ale społeczeństwo podziały są również głębokie, jak w XVIII w. Monarsze pozostają przybierane przez kolejnych prezydentów bywają przedmiotem żartów, jednak nie szkodzą ich notowaniom. Clarke idzie dalej. Zarzuca politykom znad Sekwany nadmierną skłonność do luksusu, niegdyś kojarzoną z błękitnokrwistymi lokatorami Wersalu.

Ze wszystkich jakobińskich reform przetrwały tylko zmiany własnościowe. Robespierre i spółka wierzyli, że świat można naprawić dekretemi. Przeznaczeniem politycznych fantastów jest klęska, lecz bez marzeń życie byłoby nudne. Wiara w magiczną moc świstka papieru, opatrzonego pieczęcią i podpisem, odradza się więc nieustannie, będąc najtrwalszym dziedzictwem francuskiej rewolucji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Dwóch gości – polityków z różnych ugrupowań. Trzy rundy z konkretnymi pytaniami naszych dziennikarzy. Czwarta runda na wzajemne pytania gości. I na koniec runda z pytaniami od Widzów Republiki z #bitwapolityczna. Szybka wymiana zdań. Krótki czas na odpowiedź. To jest bitwa na słowa – innowacyjny format telewizyjny w Polsce.



CODZIENNIE

14:10

w Republice

Zapraszają

Monika Borkowska i Michał Jelonek

 www.radiotvrepublika.pl

 [Telewizja Republika](#)

 [@RepublikaTV](#)

 [RepublikaTV](#)

 [@RepublikaTV](#)

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multiplexie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multiplex dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multiplexach z Ormontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.



SKANUJ KOD QR
**WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA**

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jak to możliwe, że syn oficera Wojska Polskiego i wnuk powstańca wielkopolskiego służył w Hitlerjugend?

BEATA GUCZALSKA: Ten fakt świetnie pokazuje zarówno zawiłość i paradoksy historii, jak i bezradność wobec niej pojedynczego człowieka. Jeden wybór, podjęty w odruchu obrony własnych interesów, skutkuje lawiną nieprzewidzianych wydarzeń. Ojciec reżysera, płk Karol Swinarski, zmarł w roku 1935, a matka, Ślązaczka urodzona w niemieckim wówczas Wrocławiu, coraz silniej wiązała się z własną rodziną – siostrą i bratem, którzy osiedli w Berlinie. Odwiedzała ich z synami i po wybuchu wojny deklaracja przynależności do narodowości niemieckiej wydawała się jej zapewne czymś korzystnym. (W Generalnym Gubernatorstwie, gdzie mieszkała, te decyzja miała charakter bardziej dobrowolny niż na terenach wcielonych do Rzeszy, tam wpisywano na volkslistę przymusowo). Jako volksdeutschka, a później reichsdeutschka musiała wysłać swoich synów do niemieckiego gimnazjum w Krakowie. A młodzież, na mocy rozporządzenia nazistowskich władz, miała obowiązkowo należeć do Hitlerjugend. Nie była to w przypadku Swinarskiego jakaś czynna służba, lecz raczej akces formalny. Na pewno nie identyfikował się z tą formacją ani z kolegami z gimnazjum. Najbliżsi przyjaciele z czasów wojny pochodzili z Wieliczki – gdzie mieszkał z matką – i byli Polakami. Jeden z nich, najsilniej związany z braćmi Swinarskimi, należał do AK. Zresztą Irmgarda Swinarska często pomagała swoim polskim sąsiadom. Nie była Niemką w sensie ideologicznym, lecz osobą bardzo pragmatyczną – podejmowała decyzje, które wydawały jej się opłacalne.

Niewiele brakowało, aby za nie swoje winy zapłacił życiem.

Rzeczywiście, w lutym 1945 r. oboje z matką zostali aresztowani w Katowicach i osadzeni w obozie karnym w Mysłowicach (później zamienionym na obóz pracy) na podstawie dekretu PKWN „O środkach zabezpieczających dla zdrajców Narodu”. Konrada, jako niepełnoletniego, zwolniono – z pewnością wskutek interwencji wuja, Mieczysława Cybińskiego, znanego śląskiego fotografa. Matkę skazano na niesprecyzo-



Z Beatą Guczalską, teatrolog
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Konrada Swinarskiego lęk przed życiem



FOT. ZIGMUNT JANUSZEWSKI/PAF/TVP/IST NEWS

wany okres przebywania w obozie, lecz już w październiku roku 1945 zmarła, najprawdopodobniej na tyfus. Starszy z braci, Henryk, zginął pod Raciborzem w wieku 17 lat, służąc w Waffen-SS. Osierocony Konrad znalazł schronienie w domu Anety i Mieczysława Cybińskich.

Hunwejbini w czerwonych krawatach nie odkryli haków w jego życiorysie?

W czasach studiów Swinarskiego – zarówno plastycznych w Łodzi, jak i reżyserskich w szkole teatralnej w Warszawie – na uczelniach rządził praktycznie Związek Młodzieży Polskiej, terroryzując niejednokrotnie również profesorów. Konrad do ZMP nie wstąpił, ale i tak czepiano się go z różnych powodów – choćby dlatego, że zawiesił w pokoju reprodukcje obrazów impresjonistów (to była burżuazyjna, zatem potępiona wówczas sztuka). Aktywiści zetempowscy istotnie dokopali się do jakichś danych o jego przeszłości, o czym donosili dziekanowi, Bohdanowi Korzeniewskiemu. Ale ten im się przeciwstawił, odpowiadając, że interesuje go wyłącznie Swinarski pełnoletni, odpowiadający samodzielnie za swe wybory.

Mentorem teatralnym bohatera książki był Bertolt Brecht?

Może najważniejszym, lecz było ich kilku – najpierw sławny malarz, Władysław Strzemiński w Łodzi, a w Warszawie Erwin Axer i Leon Schiller. Do Berliner Ensemble, zespołu teatralnego Brechta, Konrad wyjechał jesienią 1955 r., już po ukończeniu studiów reżyserskich. Przebywał tam półtora roku, również po nagłej śmierci dramaturga. Od niego nauczył się przede wszystkim myślenia dialektycznego: trzeba patrzeć na wszystkie zjawiska z różnych stron i dopiero połączenie albo skrzyżowanie tych przeciwstawnych nieraz perspektyw daje jakiś obraz przybliżony do prawdy. A prawda nigdy nie jest jedno-wymiarowa. Każda warstwa czy grupa społeczna ma inne cele, każdy patrzy przez pryzmat własnych korzyści. I trudno powiedzieć, że jest jedna wartość uniwersalna, obowiązująca dla wszystkich.

Z pani książki można wysnuć wniosek, że najbliższym przyjacielem reżysera został... oficer MSW.

Swinarski nauczył się w swoim życiu nie patrzeć na ludzi poprzez pryzmat ideologii ani przynależności do różnych stronnictw i organizacji. W końcu we wczesnej młodości wmawiano mu, że kwiat narodu to chłopcy z Hitlerjugend, a parę lat później, że najlepsza młodzież to chłopcy i dziewczyny z ZMP, walczący o lepszą przyszłość dla świata. W swoich relacjach umiał zawsze dostrzegać przede wszystkim człowieka w jego indywidualnym wymiarze, jakoś wpłatać go w los i historię.

Ów „esbek”, czyli Grzegorz Witkowski, oficer Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zapewne pomógł mu wypłacać się z jakichś relacji ze Służbą Bezpieczeństwa, może dzięki niemu reżyser uniknął konieczności współpracy. I tak, jak on zobaczył w Konradzie człowieka, wrażliwego artystę, tak później Konrad postrzegał

We wczesnej młodości wmawiano mu, że kwiat narodu to chłopcy z Hitlerjugend, a parę lat później, że najlepsza młodzież to zetempowcy, walczący o lepszą przyszłość dla świata

w nim kogoś, kto nie sprowadza się do swojej politycznej funkcji. Zresztą ten funkcjonariusz w 1972 r. odszedł z MSW – trudno powiedzieć, z jakich konkretnie powodów. Być może nie pasował towarzyszącemu do tego, co zamierzali przeprowadzić, być może sam nie mógł dłużej zaakceptować swej pracy.

Jednak niewątpliwie Swinarski znalazł się pod lupą PRL-owskich tajnych służb. Z jakich powodów?

Każdy artysta, który w Polsce Ludowej wyjeżdżał za granicę, stawał się obiektem ich zainteresowania, nierzadko składano mu „propozycję” współpracy. Zgoda na nią była często warunkiem sine qua non otrzymania paszportu. Czasami twórcy przystawali na to, wiedząc, że w inny sposób nie uda się zaprezentować

dokonań na scenach świata. W różny sposób próbowano się później z tego wypłacać, choćby składając raporty dotyczące spraw nieistotnych.

Służba Bezpieczeństwa mogła szantażować zwłaszcza tych, którzy mieli w życiorysie jakieś haki (oczywiście z punktu widzenia ówczesnej władzy), np. nieujawniona przynależność do AK albo niewłaściwe pochodzenie, jak w przypadku Swinarskiego. Jednak reżyser, który bardzo dużo pracował na Zachodzie, zwłaszcza w Niemczech Zachodnich, wywikłał się z konieczności współpracy.

A miał świadomość związku z SB swej małżonki?

Barbara Witek-Swinarska współpracowała ze Służbą Bezpieczeństwa w latach 1963–1969 i Swinarski bez wątpienia o tym wiedział. Byli małżeństwem dziwnym, ale w pewnych sprawach bardzo sobie bliskim. Może istniał tu jakiś rodzaj układu, może Swinarskiemu dawano spokój, ponieważ donosiła żona? Trudno dziś to wszystko rozwikłać z całkowitą pewnością, nie dysponując odpowiednimi dowodami. A w tych sprawach należy zachowywać ostrożność, by zbyt mocno sformułowaną hipotezę nie zatrzeć prawdy ani nikogo nie skrzywdzić.

Po alkohol sięgał ze strachu?

Początkowo usiłował nim stłumić lęki i rozmaite problemy psychiczne. Trzeba pamiętać, że między 1945 a 1948 r. ludzie tacy jak on często stawiali się ofiarami samosądów i zabójstw, których właściwie nie karano – nienawiść do Niemców była powszechna. Również z tego powodu przenosił się stale z miejsca na miejsce, miał różne mieszkania, lecz żadne nie zostało jego prawdziwym domem. Za takowy uważał chyba wyłącznie ten w Wieliczce, gdzie spędził dziewięć lat dzieciństwa, a który został po wojnie skonfiskowany przez władze.

Później cierpiał na chorobę alkoholową. W połączeniu z innymi zaburzeniami – przede wszystkim z depresją ze skłonnościami samobójczymi – nawiedzały go też ataki paniki. Mimo podjętego w 1972 r. leczenia nie udało mu się całkowicie

■ wyjść na prostą. Niewątpliwie odczuwał lęk przed życiem – czasem uciekał nawet od sukcesów. Kiedy po wielkim triumfie przedstawił zrealizowanych w Berlinie Zachodnim w 1964 r. proponowano mu różne bardzo prestiżowe projekty, nie podjął żadnego z nich, wyjechał do Polski i zaszył się w Kazimierzu Dolnym.

Burzy pani profesor mit, że odnosił wyłącznie sceniczne sukcesy...

Naturalnie zdarzały się i niepowodzenia, a nawet klęski, zwłaszcza na Zachodzie, gdzie krytyka i publiczność są bardziej surowe w osądach. Parę razy źle oceniono spektakle, lecz bardziej dotkliwym rodzajem porażki wydaje się załamanie psychiczne podczas prób i zerwanie procesu przygotowań do premiery. Kilukrotnie uciekał z prób – z Berlina, z Wiednia, z Zurychu, gdyż nie był w stanie znieść presji oczekiwań.

Kusił go też film.

Tak było właściwie od początku artystycznej drogi – dostał się nawet do szkoły filmowej w Łodzi i nie wiadomo, z jakich przyczyn nie podjął w niej nauki. Zaczął studiować plastykę, a potem scenografię w łódzkiej uczelni plastycznej. Ale do filmu cały czas się przymierzał. W 1960 r. miał razem z Andrzejem Wajdą adaptować „Pierwszy dzień wolności”, dramat Leona Kruczkowskiego. Do realizacji nie doszło, a po pewnym czasie sztukę na język kina przełożył Aleksander Ford. Swinarski wyreżyserował właściwie tylko jeden film, „Sędziów”, według dramatu Stanisława Wyspiańskiego, w roku 1974. W wywiadach mówił, że marzy o ekranizacji „Snu nocy letniej” Williama Szekspira, chciał sfilmować wersję swojego przedstawienia ze Starego Teatru w Krakowie z roku 1970 – było to wspaniałe widowisko, budzące powszechny zachwyty. Kiedy zginął w katastrofie lotniczej w 1975 r., znajdował się w trakcie przygotowań do filmu „Fantazy”, według dramatu Juliusza Słowackiego, i obrazu łączącego sceny z innych romantycznych dramatów polskich. Kto wie, czy gdyby dane mu było dłuższe życie, nie porzuciłby Melpomeny dla filmu.

Stary Teatr stał się dlań miejscem na ziemi?

Można tak powiedzieć nie tylko dlatego, że zrealizował tam swe najważniejsze dla polskiej publiczności spektakle, lecz także z tej przyczyny, że znalazł wielkie porozumienie z zespołem scenicznym. Funkcjonowali właściwie na zasadach rodzinnych.

W Starym Teatrze zatrudnił go w 1964 r. ówczesny dyrektor, Zygmunt Hübner, rówieśnik i kolega z warszawskiej PWST. Po rezygnacji Hübnera – w proteście wobec ingerencji władz w repertuar – Swinarski również odszedł, ale po paru miesiącach wrócił, namówiony przez następnego szefa placówki, Jana Pawła Gawlika. Trzeba przyznać, że przyczynił się on do sukcesów Swinarskiego w latach 70., oddając mu do dyspozycji wszystko, czego twórca potrzebował.

W krakowskim teatrze reżyser pracował najdłużej, zrealizował 11 przedstawień – właściwie każde z nich było artystycznym sukcesem, choć z początku niektóre nie podobały się publiczności i krytyce, przyzwyczajonej do innego stylu i estetyki. Pierwszych inscenizacji Swinarskiego nie doceniano, budziły dezorientację – reżyser łączył różnorodne konwencje, poziomy narracji i style. „Tragedia pana Ardena”, „Nie-Boska komedia” Zygmunta Krasińskiego, „Woyzeck” Georga Büchnera, „Pokojówki” Jeana Geneta często przechodziły bez większego echa. Dopiero gdy wystawiono je w Warszawie, gdzie wywołały wielki entuzjazm, krakowska publiczność trochę inaczej na nie spojrzała.

„Dziady” Mickiewicza (1973) i „Wyzwolenie” Wyspiańskiego (1974) przeszły do legendy, nie tylko teatralnej. Były grane jeszcze długo po śmierci reżysera. Na szczęście dokonano ich telewizyjnego zapisu. Daje to pewne wyobrażenie o tym, co się na scenie działo, choć oczywiście nie jest ekwiwalentem żywego spektaklu.

Przez cały sezon 1974/1975 Swinarski pracował równocześnie nad dwiema inscenizacjami: „Pluskwy” Włodzimierza Majakowskiego w Teatrze Narodowym i „Hamleta” Szekspira w Starym Teatrze. O tym drugim przedstawieniu krążyły legendy, przestrzeń gry miała wykraczać poza teatr – na placu Szczepańskim przewidziano stacjonowanie wojska.

Imponowała obsada: Hamlet – Jerzy Radziwiłowicz, Klaudiusz – Jerzy Trela, Gertruda – Anna Polony, Ofelia – Anna Dymna, Horacy – Jerzy Stuhr. Premiera miała się odbyć w październiku 1975 r., Swinarski zginął 19 sierpnia. Mimo prób, aby przedstawienie dokończyć, do premiery nie doszło.

„Dziady”, grane przez dekadę, powstały na zlecenie partii?!

Nie, tak na pewno nie można powiedzieć. Swinarski był człowiekiem duchowo i mentalnie niezależnym, oczywiście podlegał ograniczeniom wynikającym z polityki, jak wszyscy wówczas, ale z pewnością nie wykonałby niczego na zamówienie. W tym sensie był absolutnie niekonunkturalny, robił to, do czego miał absolutne przekonanie.

W tamtych czasach repertuar teatralny musiał uzyskać aprobatę Wydziału Kultury odnośnej rady narodowej, a ta zasięgała opinii komitetu partii. W tym sensie można zatem stwierdzić, że władza zgodziła się na ten pomysł, może nawet było jej to na rękę, żeby pokazać, że nie boi się Mickiewiczowskiego arcydramatu, a jedynie wersja Dejmka z 1967 r., którą zdjęto, okazała się niewłaściwa.

Co nie zmienia faktu, że decyzja Swinarskiego o tej realizacji wypłynęła z jego zainteresowania dramatem w tamtej chwili.

Śmierć twórcy w katastrofie lotniczej skutkowałą procesem...

Wdowa po Swinarskim zaskarżyła ČSA (Československé Aerolinie) i z pomocą adwokatów wywalczyła przed sądem spore odszkodowanie. Ale rozprawa ciągnęła się przez parę lat.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Beata Guzalaska – badaczka teatru, profesor krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego. Współpracowniczka „Didaskaliów”, „Dialogu”, „Teatru” i innych periodyków scenicznych. Autorka książek: „Jerzy Jarocki. Artysta teatru”, „Aktorstwo polskie. Generacje”, „Trela” i najnowszej – „Konrad Swinarski. Biografia ukryta”.



Krzysztof Masłowski

Polska usłyszała o niej za sprawą Przeglądu Piosenki Prawdziwej w Gdańsku w 1981 r., w szczytowym momencie Karnawału Solidarności. W hali Olivii zaśpiewała wtedy m.in. „Przesłanie Pana Cogito” Zbigniewa Herberta; w jej repertuarze znajdzie się także inny jego wiersz – „Węgrom”:

*Stoimy na granicy wyciągamy ręce
I wielki sznur z powietrza wiążemy
bracia dla was*

*Z krzyku załamane go
z zaciśniętych pięści*

*Odełwa się dzwon i serce milczące
na trwogę*

*Proszą ranne kamienie prosi
woda zabita*

*Stoimy na granicy stoimy na
granicy*

*Stoimy na granicy nazwanej
rozśądkiem*

*I w przyszłość patrzymy i śmierć
podziwiamy.*

Przypominała twórczość za-mordowanego w lipcu 1943 r. przez Ukraińców na Wołyniu Zygmunta Jana Rumla („Za-jazd”), za Sewerynem Goszczynskim zachęcała: „Sądzmy, przyjacielu, różę”, ale największe znaczenie miała chyba popularyzacja przez Antoninę Krzysztóż songów czeskiego barda Praskiej Wiosny, Karela Kryla. Takich jak „Motyl”:

*Pod czerwonymi jarzębinami
Zaginął motyl między karabinami
Zdeptał go butem dowódca tyłów
I zginął motyl tak jak nasza
miłość.*

W stanie wojennym i pierwszym po nim okresie z konieczności występowała w mieszkaniach prywatnych, salach katechetycznych kościołów, koncertowała także w Muzeum Archidiecezji w Warszawie. Z tamtego czasu pozostała jej odporność na wszelką komer-

cję, świadomość zagrożeń, jakie ona niesie ze sobą. Swoją publiczność, wcale niemając, zdobyła na koncertach, a stała z nią kontakt podtrzymywała, nagrywając płyty, których w sumie było ok. 20. Ale też legenda artystki niezależnej, niejako podziemnej, potrafiła działać na jej korzyść. Tak się zdarzyło z jedną z najbardziej znanych piosenek – „Perłowa łódź”, która w 1983 r. stała się omalże radiowym przebojem:

*Kiedy przypłył perłowa łódź,
jak o tym śpiewa serce,*

ja Cię zawołam na cały głos:

– Nie, nie opuszczaj mnie więcej.

Rok 1983 stanowił ważną cezurę w jej życiu artystycznym. Wygrała wtedy Festiwal Piosenki Studenckiej, nagrodzono ją również na Famie. Odtąd występowała na bardzo wielu przeglądach, festiwalach i koncertach piosenek poetyckiej i – uważa! – religijnej. Śpiewała i nagrywała psalmy, pieśni postne, kołędy, a jak było trzeba, to przy akompaniamencie gitary odmawiała słowa pacierza („Ojcie nasz”).

I właśnie modlitewny charakter ma wiele z jej autorskich

piosenek, często dziękczynnych, takich jak m.in. „Dziękuję za słońce”:

*Potrafię Ci śpiewać, choć łzy
sercem płyną.*

*Dziękuję, Panie, dziękuję za
miłość.*

*Potrafię się cieszyć, choć łzy
sercem płyną.*

*Dziękuję, Panie, dziękuję za
miłość.*

Jest Antonina Krzysztóż córką Jerzego Krzysztonia i Barbary Mikołajskiej, siostry znakomitej aktorki Haliny Mikołajskiej. To w domu tej artystki, swojej ciotki, i pisarza Mariana Brandysa spędziła dzieciństwo i lata młodości, po śmierci ojca w 1958 r.

– Kiedy miałam cztery lata, zmarł mój ojciec – mówiła w wywiadzie. – Wtedy z moją mamą i siostrą zamieszkaliśmy z wujkami. Nie powiedziała-bym, że mnie wychowywali, lecz raczej że mieli wpływ na moje wychowanie. To była bardzo szczególna rodzina. Jestem im wdzięczna za to, że znalazło się u nich dla nas miejsce w tak trudnej i krytycznej sytuacji.

Antonina Krzysztóż komponuje, pisze teksty, gra na gitarze



Medalion z Matką Boską

i śpiewa, stale współpracując z tymi samymi muzykami: Marcinem Majerczykiem, Marcinem Lanchem i Manolo. W tym samym wywiadzie, udzielonym Dariuszowi Matusiakowi, opowiadała: – Któregoś roku wybrałam się na pielgrzymkę do Częstochowy na Jasną Górę i choć szłam w tłumie ludzi, to czułam się totalnie osamotniona. Nie nawiązywałam żadnych kontaktów i idąc, cały czas płakałam. Całe szczęście, że nikt tego nie mógł zobaczyć. Była to dla mnie bardzo trudna wędrówka, ale z perspektywy czasu okazała się najbardziej owocna. I to jest ilustracja tego, co spotyka nas w życiu. Pewne rzeczy

trzeba po prostu przetrwać. To jest dar, który otrzymałam od mojej przyjaciółki. Miała ona tragiczne życie. Jej pradziadek, więzień sowieckich łagrów, uciekł z katongi i piechotą wrócił do Polski. Kiedy wszedł do domu, na progu rozebrano go z zawszonej odzieży, a on w zaciśniętej dłoni coś trzymał. Przez trzy dni nie mógł rozluźnić palców, aż w końcu uścisk puścił i z dłoni wysunął się medalion z Matką Boską. I moja przyjaciółka otrzymała od swojego pradziadka jako dar słowo „Przetrwać”. A ja to otrzymałam od niej. Tym się trzeba dzielić, bo uważam, że słowa mają wielką moc i mogą w pewnych sytuacjach pomóc. Bo życie ma sens.

A w życiu tym lubiła chodzić po górach. I to samotnie. Takie było to jej – jak śpiewała – wędrowanie. Tę górską samotność postrzegała jak „czytanie listu od Boga. Wszelkimi zmysłami, duchem i ciałem”. Zresztą „Życie jest listem”:

Życie jest listem – czytaj go

Życie jest światłem – zobacz to

Życie jest prawdą – zobacz to

Życie jest z Boga – pocuj to

W sercu głęboko, w sercu głęboko

W sercu głęboko. © ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Widok ze szczytu



★★★★★
REŻ. JESSE
ARMSTRONG
„MOUNTAINHEAD”
USA 2025

wyst. Steve Carell,
Jason Schwartzman,
Ramsey Youssef

Czworo przyjaciół spotyka się na pokera w posiadłości Mountainhead należącej do najbiedniejszego z nich.

„Najbiedniejszy” to pojęcie względne, wszyscy należą do najbogatszych ludzi na świecie. Jesse Armstrong, twórca „Sukcesji”, tworząc te postacie, kpi z różnych Bezosów i Gatesów, a przede wszystkim z Elona Muska, którego wprost parodiuje Cory Michael Smith. Rzecz reklamowana jest jako dystopia, bo rozgrywa się w nieodległej przyszłości, kiedy świat stanie w płomieniach za sprawą sztucznej inteligencji wypuszczonej do mediów społecznościowych i umożliwiającej tworzenie i rozpowszechnianie deep fake’ów. A deep fake newsy prowadzą do strzelanin, zamachów, zamieszek itd.

Bohaterowie „Mountainhead” obserwują ów chaos na ekranach smartfonów i dyskutują o tym, jakby tu zarobić jeszcze więcej pieniędzy. Carell gra postać najciekawszą – krezusa, który nie chce przyjąć do wiadomości, że nawet gigantyczne bogactwo nie uchroni go przed śmiercią. Marzy o przepisaniu swej osobowości do chmury. Każdy z gości ma własne cele i plany, każdy przyjechał z nowym pomysłem na biznes. W pierwszej połowie oglądamy więc grupę antypatycznych bogaczy docinających sobie na różne sposoby, ale zarazem szykujących grunt pod własne propozycje. Druga część zamienia się w czarną komedię, która byłaby tarantinowska, gdyby nie fakt, że goście, którzy bez mrugnięcia okiem niszczą rządy jednym klik-

nięciem, są strasznymi fajtlapami, gdy trzeba pobrudzić sobie ręce osobiście.

Łatwo zaklasyfikować „Mountainhead” do modnego obecnie gatunku filmowych i telewizyjnych szyderstw z bogaczy, niektórych widzów razić może zbytnia dosłowność tej filmowej metafory (tudzież aktualność na siłę). Ogląda się to jednak bardzo dobrze, głównie dzięki świetnej robocie aktorskiej – trochę, jakbyśmy oglądali zaginiony odcinek „Sukcesji”. Jest to oczywiście także kpina z ideologii wychwalających biznesowego nadczłowieka (tytuł „Mountainhead” to nawiązanie do „Fountainhead”, czyli powieści „Źródło” Ayn Rand). Ale gdy obejrzymy finał, okazuje się, że jest to przypowieść poważniejsza, o naturze władzy, która pozbawiona jest moralności: każdy sojusz jest tymczasowy, każde porozumienie można odwrócić, wczorajszy wróg jest dzisiejszym przyjacielem i odwrotnie, a jak będzie jutro – zobaczymy. To nie filmowa fikcja, to polityka realna. ©©

GRA TYGODNIA: „DAYS GONE REMASTERED”

Ta gra zasługiwała na drugą szansę. Mimo ciekawej fabuły, pełnokrwistych postaci, świetnych dialogów i specyficznego klimatu niektóre rozwiązania, a zwłaszcza błędy sprawiły, że po premierze w 2019 r. ex PS4 nie spotkał się z takim przyjęciem, na jakie zasłu-

giwał. Łatanie pomogło, ale pierwsze wrażenie robi się tylko raz. Remaster powraca na PS5 oraz PC i próbuje zrobić „drugie” pierwsze wrażenie. Ulepszona grafika, usprawnienie rozgrywki, nowy tryb – dobra okazja, by wskoczyć na motocykl i poznać losy



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

łowcy przygód w postapokaliptycznej Ameryce Północnej. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** akcji, postapo, TPP
- **Platforma:** PS5, PC
- **Producent, dystrybutor:** Bend Studio; Sony

Klasyka awangardy

arte

Negowali autorytety i tradycyjne pojęcie piękna, zanim stało się to modne. Ich orężem buntowników były pędzel, kredka, młotek, maszyna do pisania tudzież aparat fotograficzny. „Awanturnikom sztuki nowoczesnej” (w polskim tłumaczeniu zamienionym na „bohaterów”) odwagi nie brakowało. Z premiedytacją szli pod prąd oczekiwani publiki, łamiąc uświęcone zasady. No cóż, byli młodzi. Francuska krytyka odsądzała cyganerię z Bateau-Lavoir

i La Roche od czci i wiary. Dopiero inwazja bogatych snobów z Ameryki przechyliła szalę. Niestety, sukces okazał się zabójczy dla przyjaźni zawartych przy kieliszku absyntu, zakąszanego czerstwą bagietką. Eksperymenty i skandale modernistów dziś nie robią już wrażenia, lecz sześć niespełna godzinnych odcinków to mało, jeśli chce się ogarnąć okres od początku XX w. do końca drugiej wojny światowej. Nawet zainteresowanych tematem przytłoczyłyby kalejdoskop postaci i zjawisk. Scenarzysta zredukował więc liczbę wątków, a chcąc uczynić wykład atrakcyjniejszym, zajął się życiem towarzyskim i uczuciowym apostołów estetycznej rewolucji.



★★★★★

REŻ. AMÉLIE HARRAULT, PAULINE GAILLARD, VALÉRIE LOISELEUX
„BOHATEROWIE SZTUKI NOWOCZESNEJ”
FRANCJA 2015

Seans umiła muzyka Pierre’a Adenota, sprawdziła się też hybrydowa formuła polegająca na łączeniu zdjęć, filmów oraz animacji.

Treść jest zaskakująco konserwatywna. Szanuje hierarchie, utrwała legendę Montmartre’u, Montparnassu i Saint-Germain. Picasso jako jedyny bryluje we wszystkich odcinkach. Paryżocentryzm nie toleruje wyjątków: nawet jeśli któremuś z protagonistów zdarzy się wyjechać, to zawsze wraca nad Sekwanę, gdyż tu jest centrum świata. Twórcy cyklu nie unikają kwestii politycznego

uwikłania, czyli romansu awangardy z komunizmem. Adwersarzem fanatycznego stalinisty Louisa Aragona uczynili André Gide’a, który nie dał sobie zamydląć oczu, chociaż Sowietci obficie karmili go propagandą i kawiozem.

Tropicieli polskich wątków informują, że na ekranie pojawiają się Mojżesz Kisling (bo pozowała mu Kiki, niekoronowana królowa bohemy) i Leopold Zborowski (jako marszand Modiglianego). Bohaterem przez duże B jest za to poeta Apollinaire-Kostrowicki. Wiersz „Żegnaj” zwiastuje świt epoki, w której stolica Francji będzie odcinać kupony od minionej sławy. ©

LASO I MACZETA

KINO

Zaprawdę powiadam wam: nie ma piękniejszego widoku w świecie niż gaucho na koniu. Nawet bez tła w postaci majestatycznych gór czy porośniętej kolczastymi krzakami równiny, bez muzycznego podkładu rodem z włoskiej opery lub latynoskich list przebojów pop to ucztą dla oka. Kto zna „Truflarzy”, zaskoczony nie będzie. Duet Dwerk-Kershaw popiełnił kolejny (tym razem monochromatyczny) hymn na cześć ludzi egzystujących na marginesie naszej, zdominowanej przez technologie cywilizacji. Kowboje z północno-zachodniego zakątka Argentyny wiodą proste życie. Czczą matkę ziemię, z rewerencją traktują konie, krowy i kobiety, martwią się o przyszłość. Udają, że nie widzą kamery. Guada, zawzięta amazonka, kontestuje szkolny dress code. Stada kondorów czyhają na cielaki. Jeździec omija wrak samochodu. Sic transit gloria mundi. ©



★★★★★

REŻ. MICHAEL DWECK, GREGORY KERSHAW
„GAUCHO”
ARGENTYNA/USA
2024



RADOSŁAW
WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Rubens na Śląsku

Wystawa „Rubens na Śląsku” jest prezentacją fascynacji artystów ze Śląska twórczością Petera Paula Rubensa. Ta fascynacja zaczęła się jeszcze za życia genialnego malarza flamandzkiego epoki baroku. Wrocławski malarz Johann Liechtenstein w czasie swojej europejskiej podróży w 1636 r. odwiedził antweperski warsztat Rubensa. Jeszcze wcześniej, bo na początku roku 1635, zrobili to



FOT. ARKADIUSZ POSTAWKA

dwaj inni mistrzowie wrocławskiego cechu malarskiego: Martin Fest i Georg Scholtz (starszy).

A już „w XVIII w. prawie we wszystkich największych prywatnych kolekcjach na Śląsku znajdowały się dzieła, które właściciele uznawali za prace Rubensa” – zauważa dr hab. Piotr Oszczanowski, dyrektor Muzeum Narodowego we Wrocławiu i kurator wystawy.

Na wystawie zgromadzono 200 eksponatów, wśród nich dzieła samego Rubensa i jego warsztatu, które wypożyczone zostały z polskich i zagranicznych kolekcji. ©

GDZIE? Muzeum Narodowe we Wrocławiu
KIEDY?
do 30 listopada



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

„Uzdrowisko” Terezin

Szesnaście lat temu opublikowano pierwszy tom „Europy według Auschwitz”, projektu powstałego w Laboratorium Reportażu Instytutu Dziennikarstwa UW pod kierunkiem Marka Millera. Teraz w ręce czytelników dociera tom kolejny. Tamten pierwszy przedstawiał dzieje getta w Litzmannstadt (Łodzi), obecny opowiada ustami więźniów o getcie w Terezynie, w północnych Czechach, i o transportach stamtąd do obozu Auschwitz-Birkenau.

Wyjątkowość projektu polega na tym, że w opowieści tej dziennikarzy są w gruncie rzeczy nieobecni. Rekonstrukcję przedstawianych wydarzeń przeprowadzają wyłącznie ich uczestnicy. Do nielicznych Marek Miller i jego współpracownicy zdążyli jeszcze dotrzeć, głównie jednak bazowali na dokumentach, w tym na trzech tysiącach relacji więźniów KL Auschwitz spoczywających w obozowym archiwum. W całości nigdy wcześniej nie zostały przestudiowane. Do tej pory...

Przez Theresienstadt przeszło 130 tys. ludzi. Liczba ofiar oscyluje między 35 a 60 tys. Resztę Niemcy wywieźli do obozów zagłady, nie tylko do Auschwitz-Birkenau. Zgromadzeni w Terezynie Żydzi stanowili mieszaninę narodowości, a – o dziwo – i wyznań. Zdaniem Benjamina Murmelsteina np.: „W Terezynie nie można było wykluczyć z góry żadnego absurdu – nawet takiego jak antysemityzm w getcie. Reprezentowali go ludzie uznani za Żydów lub osoby pochodzenia żydowskiego przez pomyłkę, z przekory lub wskutek błędnej interpretacji przepisów przez niemieckie władze zajmujące się kwestiami rasowymi (Rassenbehörden). »Parzywy Żydzie...«, »Proszę wybaczyć, ale jestem Niemcem i nie mogę się badać u lekarza Izraelity...«, »Wódz

podarował Terezin nam, niemieckim Żydom, dla innych wystarczyłoby przecież getto w Polsce«. Dla tych ludzi żydostwo stanowiło obsesję; stało się koszmarem, przed którym chcieli uciec”.

Żydom z Austrii i Niemiec Terezin przedstawiany był jako uzdrowisko. Za pobyt tam dawali duże pieniądze. Toman Brod w wywiadzie przeprowadzonym w 2006 r. powiedział Markowi Millerowi i Małgorzacie Preuss: „Wyobraźali sobie, że tu będą parki, jeziora. Kiedy przyjechali do Terezina i zobaczyli, jak to wygląda, chcieli popełnić samobójstwo”. A 24 sierpnia 1943 r. trafił się w Terezynie transport wyjątkowy, bo ze wschodu, dokładnie z Białegostoku. Przywiezionych zostało 1220 żydowskich dzieci, po stłumieniu powstania w tamtejszym getcie. Dorosłych, powyżej 14. roku życia, Niemcy wymordowali: jednych zastrzelili na miejscu, innych wywieźli do Treblinki. Odnosnie do dzieci plany się zmieniały; najprawdopodobniej chciano je wykorzystać do większej międzynarodowej wymiany. Po dwóch miesiącach odesłano je jednak do KL Auschwitz. Razem z 53 osobami z getta terezińskiego, m.in. z siostrą Franza Kafki.

W getcie panowały terror i głód, przy zachowaniu pozorów „normalnego” życia. Była nawet opieka zdrowotna, dość swoista, bo np. aborcje w tym miejscu były obowiązkowe, co warto zaakcentować w kontekście dzisiejszych utarczek o rzekome prawa przysługujące kobietom. W czerwcu 1944 r. szwajcarski i duński Czerwony Krzyż dokonały inspekcji obozu i getta w Terezynie za zgodą Niemców, którzy się do inspekcji tej naleźycie przygotowali... Helga Gibianova opowiadała potem: „Szczególnie tresowane były dzieci. Zaczęły dostawać bardzo dobre jedzenie i uczyły się o tym mówić.

Otrzymywały sardynki, od Duńskiego Czerwonego Krzyża przychodziła czekolada. Musiały nauczyć się mówić: »Schon wieder Schokolade, Onkel Rahm?« (znowu czekolada, wujku Rahmie?). Miały obejmować na ulicy komendanta Rahma i prosić go: »Wujku, pobaw się z nami«, na co odpowiadał: »Nie, dzieci, dziś nie mam czasu, ale jutro na pewno« i wyciągał z kieszeni puszkę sardynek. Wtedy dzieci jęczały: »Znowu sardynki!«. Nic dziwnego, że w raporcie dr. Maurice’a Rossela można było przeczytać: „Od chwili wejścia na teren getta mogliśmy się przekonać, że ludność tutejsza nie cierpi z powodu niedożywienia [...], przestronne jadalnie sprawiają bardzo przyjemne wrażenie. Każdy udający się w celu spożycia posiłku do takiego lokalu obsługiwany jest natychmiast przez młode dziewczęta w fartuszkach i nakrochmalonych czepkach jak w zwykłej restauracji”.

Ostatni komendant getta w Terezynie, Karl Rahm, skazany został na śmierć i stracony w roku 1947, podobnie jak pierwszy komendant – dr Siegfried Seidl, który w zeznaniach opowiadał, że nic mu nie było wiadomo o celu transportów do Auschwitz. Ponoć kiedy zapytał Adolfa Eichmanna, czy to prawda, że jeden z tych transportów „został przechwycony i zagazowany”, ten mu dał „słowo honoru, że coś takiego w ogóle nie wchodzi w rachubę”. Trzeci z komendantów, Anton Burger („był prawdziwym bydlęciem”, „bił, znęcał się i dawał najcięższe kary za niewielkie przewinienia” – zeznał dr Ernest Feldberg), pod fałszywymi nazwiskami, mimo ciążyącego na nim wyroku, dożył jednak 1991 r. Jak większość oficerów SS, którzy pełnili służbę w Terezynie – pisze we wstępie docent Vojtěch Blodig – uniknął odpowiedzialności za swoje czyny. ©



★★★★★

**MARK MILLER,
MAŁGORZATA
PREUSS-ZŁOM-
SKA, ZBIGNIEW
ZBIKOWSKI
„THERESIEN-
STADT GHETTO”
AGENCJA
WYDAWNICZA CB,
WARSZAWA 2024**



POCZYTANKI

Witaj, przygodo!

Rekomenduję najciekawsze powieści graficzne w osobnym miejscu (państwo wiedzą gdzie – na tej samej stronie, jako „Komiks tygodnia”), ale czasem w me ręce trafiają pozycje tak ciekawe, że chciałoby się napisać o nich więcej. Tak jest z albumem „Antananarywa”, który wyróżnił się nawet na najbardziej wymagającym – czyli francuskim – rynku komiksowym na świecie. Stworzył go Sylvain Vallée, nie bez powodu zwany „odnowicielem czystej kreski w rysunku”. Historię napisał zaś Mark Eacersall, scenarzysta nie tylko komiksowy, bo pracujący też dla kina i telewizji. Trzymam kciuki, by jego „Antananarywa” kiedyś zamieniła się w film – niekoniecznie animowany.

Opowieść jest prosta i niezmiernie zarazem urocza: starzejący się notariusz, typowy prowincjusz bez właściwości, staje przed wymagającym zadaniem. Zmarł jego przyjaciel z sąsiedniego domu, wieloletni towarzysz wieczornych pogawędek; człowiek, który cały świat zwiedził, wszystko widział, cudem wychodził z największych niebezpieczeństw. Nie zostawił testamentu, krążą jednak wieści o tym, że miał syna. Gdzie, z kim – nie wiadomo. Nie wiadomo więc także, jak i komu doręczyć

wiadomość o śmierci oraz o oczekującym spadku.

Wymarzone zadanie dla emerytowanego notariusza, tyle że bohater opowieści w życiu nie wyściubił nosa poza rodzinne miasteczko, w dodatku mocno słabuje na zdrowiu. Śledztwo jednak zostanie podjęte i przyniesie bardzo nieoczekiwane efekty. „Antananarywa” zamienia się w zabawną wariację na temat „ciekawe rzeczy przydarzają się tylko tym, którzy ciekawie o nich opowiadają”. Potem głęboko wzrusza, gdy główny bohater tropiący sekrety rodzinne zmarłego przyjaciela staje oko w oko z własną traumą, ukrywaną gdzieś głęboko pod powierzchnią codziennych rozmów o niczym. Jest wreszcie ta historia hołdem dla rozbudzających wyobraźnię komiksów (trzeba je tylko przeczytać w odpowiednim wieku). Ważną rolę odgrywają bowiem w fabule stare albumy o przygodach Pinpina – postaci, która jest pastiszem Tintina,

uwiellbianego bohatera komiksów Hergé’a.

W czasach, gdy obrazkowa rozrywka coraz częściej staje się bezsensownie transgresywna, brutalna lub zatopiona w niekończących się sequelach, oryginalna, ciepła i mądra opowieść o marzeniach i przyjaźni jest prawdziwą rzadkością. Miło mi donieść, że mamy do czynienia z jedną z nich. ©



★★★★★
**SYLVAIN VALLÉE,
MARK EACERSALL**
„ANTANANARYWA”
WYDAWNICTWO
KURC 2025

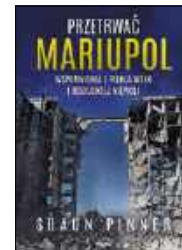
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwszy tom dwuczęściowego dzieła brytyjskiego historyka, współtwórcy szkoły Cambridge, badacza dzieł Hobbessa i Machiavellego. W Polsce znamy już jego trzytomowe „Wizje polityki” oraz pracę „Wolność przed liberalizmem”.



QUENTIN SKINNER
„PODSTAWY NOWOŻYTNEJ MYŚLI POLITYCZNEJ. RENESANS”
OMP

Poruszająca historia prawdziwa: autor to był brytyjski żołnierz mieszkający w Mariupolu. Po rosyjskiej inwazji z bronią w ręku walczył w obronie nowej ojczyzny i rodziny. Pół roku więziony i torturowany przez FSB w Doniecku.



SHAUN PINNER
„PRZETRWAĆ MARIUPOL”
REPLIKA

Wznowienie drugiej powieści w dorobku autora „Drogi”. Jedna z najbardziej wstrząsających wizji świata w literaturze XX w. Mało kto znał najciemniejsze zakamarki ludzkiej duszy tak dobrze jak McCarthy.



CORMAC MCCARTHY
„W CIEMNOŚĆ”
ZNAK

Klasyk literatury koreańskiej. Zafascynowany prozą Czechowa i Tomasza Manna, mistrz krótkiej formy porównywany do D.H. Lawrence’a. Tytułowy tekst to jego najbardziej znany utwór. Zmarł przedwcześnie w wieku 35 lat.

recenzuje Piotr Gociek



YI HYOSŎK
„GDY DOJRZEWA GRYKA”
PIW

KOMIKS TYGODNIA: PLANETA ŚMIERCI

Krótki rejs luksusowego statku pasażerskiego zamienia się w koszmar – zahibernowani pasażerowie trafiają na odległą planetę, której ekosystem zwalcza intruzów niczym organizmy Pandory w powieści „Planeta śmierci” Harry’ego Harrisona. Kilka pokoleń później potomkowie rozbitków walczą nie tylko



**CEDRIC SIMON,
ERIC STALNER**
„EXILIUM”
SCREAM COMICS
2025

o przetrwanie, lecz także o rozwiązanie zagadki: dlaczego doszło do tragedii i kto odpowiada za katastrofę.

Piotr Gociek

Nie dajmy się wciągnąć w plan



Anna Mandrela

Wśród zwolenników obecnego prezydenta USA liczną grupę stanowią ludzie, którzy uważają, że pomoc w odtworzeniu państwa żydowskiego w jego religijnym wymiarze jest obowiązkiem chrześcijan

pierwsza polska edycja tego wydarzenia, które od 1973 r. regularnie organizowane jest w Stanach Zjednoczonych. Konferencje CPAC odbywały się też w Argentynie, Australii, Brazylii i na Węgrzech. Do Jasienki przyjechali m.in. Kristi Noem, sekretarz bezpieczeństwa krajowego Stanów Zjednoczonych, oraz George Simion z Rumunii. Jednak najwięcej kontrowersji wywołała postać charyzmatycznego rabina, którego zdjęcie z Karolem Nawrockim obiegło Internet. Może się wydawać, że jego wizerunek przykrył inne aspekty tej konferencji. Spróbujmy zatem to przeanalizować w szerszym kontekście.

KIM JEST RABIN SHMULEY BOTEACH?

Shmuley Boteach w wieku 13 lat wstąpił do wspólnoty Chabad Lubawicz.

Rok później zaczął szkolić się na rabina, którym został mianowany w 1988 r. Zaraz potem ówczesny lider Chabad Lubawicz, Menachem Mendel Schneerson, wysłał go do Oksfordu, gdzie pełnił funkcję rabina dla studentów. W 1994 r., po śmierci Schneersona, Boteach został wyrzucony z Chabad Lubawicz. Powodem miały być jego decyzje o włączeniu do L'Chaim Society (stowarzyszenia, które prowadził przy Uniwersytecie w Oksfordzie) studentów nieżydowskich. Od tego czasu rabin Boteach działa na własną rękę, a w kolejnych latach pojawiło się jeszcze więcej różnic pomiędzy nim a Chabad Lubawicz. Chodzi tu przede wszystkim o kontrowersyjne zachowania i poglądy Boteacha – takie jak popieranie społeczności LGBT, publikację książki „Koszerny sex” czy

Kilka dni przed drugą turą wyborów prezydenckich, 27 maja 2025 r., odbyła się konferencja CPAC w Jasience na Podkarpaciu. Była to



Rabin Shmuley Boteach podczas konferencji CPAC w Jasionce, 27 maja 2025 r. FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

też prowadzenie sklepu z koszernymi erotycznymi gadżetami.

Rabini z Chabad Lubawicz skrytykowali też książkę „Koszerny Jezus”, którą Boteach napisał w 2012 r. Zwolennicy doktryny Chabadu twierdzą, że ta książka zagraża tożsamości żydowskiej. Jednak Boteach przedstawia w niej jedynie stanowisko, które jest popularne w niektórych kręgach kabalistycznych: uważa, że Jezus Chrystus był ciekawą postacią, ale nie uważa Go za Boga ani Mesjasza. Zdaniem Boteacha chrześcijaństwo, a zwłaszcza św. Paweł, zafałszowali historię Jezusa, przekształcili jego postać w mesjańsko-boskiego Zbawiciela. Jednocześnie rabinowi nie przeszkadza kult, który wytworzył się wokół postaci jego mentora, Schneersona. Boteach nadal uważa się za wyznawcę doktryny Chabad

Lubawicz i twierdzi, że wychowuje swoje dzieci według jej założeń, mimo że oficjalnie nie należy już do tego ruchu.

Warto dodać, że chociaż podczas swojego przemówienia na CPAC Boteach podkreślał, że winę za zbrodnie dokonane podczas drugiej wojny światowej ponoszą Niemcy, to nie wspominał o tym, że w 2018 r. sam lobbował przeciwko ustawie o IPN! Na swoim facebookowym koncie rabin napisał wtedy: „Miałem dziś wieczorem (koszerną) kolację z polskim premierem Mateuszem Morawieckim – łaskawie wysłuchał moich obiekcji co do polskiej ustawy o Holokauście i przedstawił własne spojrzenie na kwestie polskiego cierpienia doznanego od nazistów. Jest to człowiek inteligentny i ciepły, który głęboko zna historię i którego dzieci uczęszczają do szkół żydowskich”. Przypomnijmy, że w 2018 r. uchylono art. 55 ustawy o IPN, zgodnie z którym za przypisywanie polskiemu narodowi lub państwu odpowiedzialności m.in. za zbrodnie III Rzeszy Niemieckiej groziła kara grzywny lub trzech lat więzienia. W działaniach rabina Boteacha widać hipokryzję – dziś promuje treści, przeciwko którym sam kilka lat temu lobbował. Jednocześnie w swoich przemówieniach Boteach wspomina jedynie o żydowskich ofiarach drugiej wojny światowej, nie mówiąc nic o ludobójstwie dokonanym przez Niemców na Polakach.

Z pewnością nie jest to przypadkowa postać. W 2024 r. Boteach znalazł się w rankingu 50 najbardziej wpływowych rabinów na świecie. Chociaż wielu Polaków po raz pierwszy usłyszało o nim w maju 2025 r., to o kontrowersyjnym rabinie było w Polsce głośno już w styczniu tego roku, gdy pojawił się na obchodach wyzwolenia obozu KL Auschwitz. Pojawił się wtedy na zdjęciach z prezydentem Andrzejem Dudą i jego żoną Agatą oraz z kard. Grzegorzem Rysiem i bp. Romanem Pindelem.

LUDOBÓJSTWO W STREFIE GAZY

Spośród tych sensacyjnych historii wokół rabina łatwo zgubić sedno aktualnych wydarzeń. Boteach, podobnie jak inne osoby z administracji Trumpa, jest nastawiony prosyjonistycznie i wspiera ataki Izraela na Strefę Gazy. W ostatnim czasie w polskich mediach dominował temat wyborów prezydenckich i wą-

tek konfliktu palestyńsko-izraelskiego praktycznie nie był podnoszony, a to zagadnienie nie pojawiło się w ani jednej z debat prezydenckich.

Warto zatem przypomnieć, że od 19 stycznia do 18 marca trwało zawieszenie broni, a potem doszło do wielkiej ofensywy Izraela. Premier Benjamin Netanjahu stwierdził, że realizacja planu Trumpa jest celem działań prowadzonych przez Izrael. Dowiedzieliśmy się, że ów projekt polega na wygnaniu wszystkich Palestyńczyków ze Strefy Gazy i zamienieniu tego regionu w kurort z administracją amerykańską.

W maju 2025 r. sytuacja cywili w Strefie Gazy była tragiczna, dziennie umierało ok. 100 osób. Od początku marca żadna pomoc humanitarna nie mogła wjechać na ten teren. Izrael systematycznie burzy Strefę Gazy, chcąc całkowicie zrównać ten teren z ziemią. Światowa Organizacja Żywnościowa rozróżnia pięć stadiów kryzysu żywnościowego. Pół miliona ludzi w Strefie Gazy jest teraz w piątym, czyli najbardziej krytycznym stadium. Eksperci mówią wprost: „Celem Izraela jest czystka etniczna”. Marek Matusiak z Ośrodka Studiów Wschodnich stwierdził, że to, co robi Izrael, wyczerpuje znamiona ludobójstwa.

Izraelska społeczność, która tak bardzo podkreśla zbrodnie Holokautu, zdaje się całkiem niewrażliwa na cierpienia cywili w Strefie Gazy. Z ust proizraelskich publicystów i polityków często pada twierdzenie, że Palestyńczycy są sami sobie winni, bo wspierali ataki Hamasu z 7 października 2023 r. Według tej narracji żaden Palestyńczyk nie jest niewinny, nawet noworodki, wszyscy mają być rzekomo obarczeni winą za popieranie terroryzmu!

CHRZEŚCJAŃSKI SYJONIZM

Podobna narracja, podkreślająca jedynie ataki Hamasu bez wspomnienia o zbrodniach dokonywanych przez stronę izraelską, pojawiła się podczas międzyreligijnego spotkania modlitewnego, zorganizowanego 1 maja 2025 r. przez Donalda Trumpa w ogrodach Białego Domu. W tym Narodowym Dniu Modlitwy (National Day of Prayer) brali udział przedstawiciele różnych religii. Na scenie pojawili się: ewangelicy (Kościoł Boży, Południowi Baptyści, wspólnoty

niedenominacyjne), katolicy (przedstawiciel diecezji Winona-Rochester), muzułmański kapelan sił powietrznych USA oraz rabin z Chabad Lubawicz. Po zaproszeniu wszystkich na scenę przez Trumpa to właśnie rabin przemawiał jako pierwszy, a inni zdawali się mu przytakiwać.

Chociaż w Kościele katolickim coraz częściej mamy do czynienia z takimi międzyreligijnymi spotkaniami, a katolicy w Polsce są namawiani do brania udziału w Dniach Judaizmu, to wydarzenia organizowane przez Trumpa mogą zaskakiwać nawet postępowych katolików. Pod koniec spotkania śpiewano pieśni „Great Are You, Lord” oraz „Amazing Grace”, przy czym Trump siedział, a przywódcy wspólnot ewangelickich trzymali ręce nad jego głową, co jest charakterystyczne dla grup charyzmatycznych. Można jednak odnieść wrażenie, jakby zgromadzeni zamiast modlić się do Boga, ubóstwiali prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Przede wszystkim należy zadać pytanie: Dlaczego to wydarzenie modlitewne było związane ze wsparciem polityki Izraela? Otóż w środowisku chrześcijan ewangelikalnych, popierających Donalda Trumpa, liczną grupę stanowią chrześcijańscy syjoniści, którzy na swój sposób interpretują Pismo Święte. Według tej interpretacji pomoc w odtworzeniu państwa żydowskiego w jego religijnym wymiarze jest religijnym obowiązkiem chrześcijan. Zdaniem chrześcijańskich syjonistów Apokalipsa głosi, że ponowne przyjście Jezusa ma nastąpić po powrocie ludu żydowskiego na biblijne ziemie Izraela.

Przedstawiciel syjonistycznych chrześcijan Mike Huckabee został nominowany przez Trumpa na urząd ambasadora USA w Izraelu, a Pete Hegseth został sekretarzem obrony. Ten drugi kilka lat temu podczas wizyty w Jerozolimie powiedział: „Nie ma powodu, dla którego cud odbudowy świątyni na Wzgórzu Świątynnym nie miały się wydarzyć”. Ich poglądy przejawiają się w używaniu nazw „Judea” i „Samaritania”, zamiast mówienia o Zachodnim Brzegu, a przede wszystkim w bezkrytycznym popieraniu Izraela w konflikcie z Palestyńczykami. Polacy wychwalający konserwatyzm środowiska Trumpa są zupełnie nieświadomi tych idei. Kristi Noem była oklaskiwana podczas konferencji w Jasionce za

to, że podkreśliła swoją wiarę w Boga. Warto jednak zadać pytanie: W co właściwie wierzy sekretarz bezpieczeństwa krajowego Stanów Zjednoczonych? Kristi Noem jest chrześcijanką ewangelikalną, związaną z nurtem zielonoświątkowym, wśród którego chrześcijański syjonizm jest bardzo popularny. W jednym z artykułów, który w 2024 r. został opublikowany na oficjalnej stronie stanu Dakota Południowa, Noem napisała: „Kiedy dorastałam, mój tata zawsze zbierał naszą rodzinę razem i modliliśmy się za Izrael. Od najmłodszych lat wpajano mi, że Żydzi są narodem wybranym przez Boga, że Izrael to Ziemia Święta i że zawsze powinniśmy się za nich modlić”.

Jako katolicy musimy zdać sobie sprawę, że w USA konserwatyzm środowisk wspierających zbrodnie Izraela nie ma nic wspólnego z chrześcijańską nauką o miłości bliźniego

Warto zaznaczyć, że Kristi Noem, która w Jasionce mówiła o wolności, w 2024 r. podpisała w Dakocie Południowej ustawę HB 1076, która wprowadza definicję antysemityzmu opracowaną przez Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście (IHRA) do stanowowego prawa antydyskryminacyjnego. Celem ustawy jest ułatwienie identyfikacji i ścigania przypadków dyskryminacji motywowanej antysemityzmem. Krytycy ustawy wyrazili obawy, że może ona prowadzić do ograniczenia wolności słowa, zwłaszcza w kontekście obecnej polityki Izraela.

CO NA TO PAPIEŻ LEON XIV?

Po tym, jak dowiedzieliśmy się, że nowym papieżem został Amerykanin, niektórzy komentatorzy się obawiali, iż będzie on mówił tym samym językiem, co Donald Trump. W mediach społecznościowych wciąż obserwuję tego typu komentarze. Warto zatem dodać, że wybór kard. Roberta Prevosta na papieża został skrytykowany przez niektórych

sojuszników Trumpa. Na przykład aktywistka popierająca Trumpa, Laura Loomer, nazwała nowego papieża „anty-Trumpem”. Steve Bannon, były doradca Trumpa, określił wybór Leona XIV jako „szokujący”, zwracając uwagę na jego dawne wpisy krytykujące czołowych amerykańskich polityków.

W swoim pierwszym przemówieniu Leon XIV wezwał do natychmiastowego zawieszenia broni w Strefie Gazy. Papież ponowił swój apel podczas audyencji generalnej 21 maja: „Sytuacja w Strefie Gazy staje się coraz bardziej niepokojąca i bolesna. Ponawiam mój usilny apel o umożliwienie dostarczenia godziwej pomocy humanitarnej i o zakończenie działań zbrojnych, których okrutną cenę płacą dzieci, starsi i osoby chore”. A 28 maja papież znów zabrał w tej sprawie głos: „Ze Strefy Gazy wznosi się płacz matek i ojców, tułących martwe dzieci i zmuszanych do nieustannego poszukiwania jedzenia i schronienia. Ponawiam apel do odpowiedzialnych: wstrzymajcie ogień, uwolnijcie zakładników, niech będzie przestrzegane prawo humanitarne”. Polacy zaaferowani wyborami prezydenckimi w większości nie zwrócili uwagi na informację, że Francja, Kanada i Wielka Brytania wydały oświadczenie potępiające izraelskie działania wojskowe w Strefie Gazy.

Akurat w dniu wyborów w Polsce, 1 czerwca, siły izraelskie otworzyły ogień do Palestyńczyków, którzy kierowali się w kierunku centrum dystrybucji pomocy. W wyniku ataku zginęło co najmniej 26 osób, a wiele z nich było rannych. Jako katolicy musimy zdać sobie sprawę, że konserwatyzm środowisk chrześcijańskich syjonistów wspierających te zbrodnie nie ma nic wspólnego z chrześcijańską nauką o miłości bliźniego. Oczywiście nie oznacza to, że mamy przestać rozmawiać ze Stanami Zjednoczonymi, ale nie możemy patrzeć bezkrytycznie na ich działania. Wybory prezydenckie w Polsce wygrał kandydat popierany przez Donalda Trumpa i choć USA od wielu lat jest sojusznikiem Polski, to nie możemy dać się sprowadzić do roli, którą chciałoby dla nas zaplanować chrześcijański syjonizm. Nie dajmy się wciągnąć w plan Trumpa, którym jest eksterminacja ludności i stworzenie riwieri ze Strefy Gazy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Nowa, finalna data zapisów
na akcje Do Rzeczy S.A.
do 13 czerwca.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

**Inwestuj
w przyszłość!
Kup akcje
Do Rzeczy S.A.**

Karol Gac
SZEFE PORTALU DORZECZY.PL
ORAZ PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
- LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA NEW/CONNECT (GPW)



Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.



Filip Memches

Mentalność sowiecka daje o sobie znać na różnych polach izraelskiego życia politycznego i społecznego. W oczach Polaków szczególnie bulwersująca jest taryfa ulgowa, z jaką Izrael traktuje ZSRS

W powszechnej opinii Żydzi są narodem przynależącym do Zachodu. Nie dziwi zatem przekonanie, że Izrael jest przyczółkiem cywilizacji zachodniej na Bliskim Wschodzie. Bądź co bądź państwo to zostało utworzone przez przybyłych z Europy świeckich Żydów, którzy nacjonalizm żydowski (syjonizm) łączyli z takimi zachodnimi wartościami, jak nowoczesność i postęp. W tym kontekście nie można też pominąć silnych, wręcz strategicznych więzi łączących Izrael z USA.

Jednocześnie społeczeństwo izraelskie bardzo zmienił masowy napływ imigrantów z Rosji i innych byłych republik sowieckich. A zaczęło się to wszystko jeszcze za czasów ZSRS. Po drugiej wojnie światowej Żydzi w Związku Sowieckim byli w różny sposób przez władze dyskryminowani – choćby poprzez ograniczanie im możliwości awansu społecznego. Oczywiście takie praktyki stosowano nieformalnie, bo oficjalna doktryna państwa sowieckiego zakładała równość wszystkich grup etnicznych.

Skąd się więc brała ta wrogość komunistów sowieckich do Żydów? Powody były rozmaite, ale przede wszystkim warto wskazać to, że ludność żydowską podejrzewano o sympatie proizraelskie. Tymczasem ZSRS w kolejnych konfliktach bliskowschodnich popierał państwa arabskie, Izrael zaś oskarżał o brutalną politykę imperialną i wysługiwanie się Ameryce. Jednocześnie w Związku Sowieckim wielu Żydów rzeczywiście chciało wyemigrować do ziemi swoich przodków. Władze jednak długo odmawiały im na to pozwolenia. Wypuszczać ich zaczęto na początku lat 70., choć i tak nie obywało się bez mnóstwa przeszkód. Tempo emigracji przyspieszyło wraz z rozpadem ZSRS.



Weterani wielkiej wojny ojczyźnianej podczas dorocznej parady z okazji Dnia Zwycięstwa, Jerozolima 9 maja 2010 r.

FOT. RONEN ZVULUN/REUTERS/FORUM

Żydzi i Rosjanie

– razem przeciw Zachodowi?

Przed rewolucją październikową również carat był wrogo nastawiony do Żydów. Rosjanie postrzegali ich jako szkodliwy obcy element. Padali oni ofiarą pogromów. Od końca XVIII w. państwo rosyjskie pozwalało im mieszkać wyłącznie na wyznaczonych przez nie obszarach (tzw. strefa osiedlenia). Wydawało się zatem, że sytuacja Żydów w Rosji zmieni się wraz z przewrotem bolszewików. Zwłaszcza że w ruchu komunistycznym była nadreprezentacja osób narodowości żydowskiej lub pochodzenia żydowskiego. Jednak w Związku Sowieckim za dyktatury Józefa Stalina nie mała część tych ludzi pochłonął wielki terror. Ostatecznie nastąpiła rusyfikacja systemu sowieckiego (w sensie podporządkowania ideologii komunistycznej odwiecznym państwowym interesom Rosji): internacjonalizm proletariacki pozostał tylko teorią.

ZROZUMIEĆ ANTYSEMITYZM

Czy to oznacza, że Żydów i Rosjan dzieli wiekiasty antagonizm? Być może te relacje

były i są dużo bardziej skomplikowane, niż się wydaje – można je określić niemieckim terminem „Hassliebe” („miłość-nienawiść”). Tak je widział choćby Michaił Agurski. Ten myśliciel o wykształceniu technicznym, syn pochodzącego z Grodna komunisty o rodowodzie żydowskim, ofiary stalinowskich represji, należał w ZSRS do podziemnego ruchu syjonistycznego, a zarazem współpracował z takimi rosyjskimi dysydentami, jak pisarz Aleksander Sołżenicyn, któremu do dziś zarzuca się antysemityzm. W roku 1975 wyemigrował do Izraela. Gdy jeszcze przebywał w Kraju Rad, udzielił wypowiedzi gazecie „Jerusalem Post”. Padły tam następujące słowa: „Opuszczam Rosję, będąc jej [...] szczerem przyjacielem [...]. Starałem się zrobić wszystko dla współpracy Rosjan z żydowskimi ruchami narodowymi. Te wysiłki okazały się widocznie na tyle sukcesem, że pozwalają żywić nadzieję na przyszłą przyjaźń Izraela z odrodzoną Rosją”. W roku 1991 Agurski przybył do Związku Sowieckiego, który zastał w stanie rozkładu.

du. Był świadkiem puczu moskiewskiego – inicjatywy „twardogłowych” aparatczyków reżimu sowieckiego chcących zawrócić bieg dziejów. Przerażony dramatycznymi wydarzeniami dostał zawału serca i zmarł w jednym z moskiewskich szpitali.

Intrygujące jest podejście, jakie Agurski miał do antysemityzmu. Myśliciele szedł pod prąd rytualnemu filosemityzmowi, który nakazuje traktować Żydów w sposób uprzywilejowany. Nie potępiał odruchowo przejawów antysemityzmu wśród Rosjan, ale próbował to zjawisko zrozumieć. Taką strategię przyjął, choćby zastanawiając się nad tymi wątkami w pisarstwie Fiodora Dostojewskiego, w których Żydzi byli przedstawiani w niekorzystnym świetle.

Agurski podjął też kwestię zaangażowania osób wywodzących się z ludności żydowskiej w bolszewizm. Podkreślał, że radykalna część zasymilowanej inteligencji żydowskiej pragnęła tak naprawdę nie tyle unicestwienia Rosji, ile unicestwienia przedrewolucyjnego społeczeństwa rosyjskiego, które blokowało tym ludziom całkowite zlanie się z nim. Konsekwencją tego – twierdził Agurski – było to, że pewna grupa Żydów po rewolucji październikowej, uzasadniając swoje zerwanie z własnymi etnicznymi, religijnymi i kulturowymi korzeniami, stawiała się – rzecz jasna skrycie – nihilistami, a zarazem – paradoksalnie – „czerwonymi patriotami” Rosji.

Kimś takim był Isaj Leżniew. Życiorys tego publicysty stanowił dla Agurskiego przypadek instruktywny. Leżniew długo łączył nihilizm z pochwałą dzikich, irracjonalnych sił kłębiących się w rosyjskich warstwach ludowych. Ten ludomaniński lewicowy radykalizm nie mieścił się w ramach oficjalnej doktryny państwa sowieckiego. Jednak w latach 30. Leżniew przeszedł jawnie na pozycję marksizmu-leninizmu, by wysługiwać się dyktaturze Stalina, lecz w duchu narodowym. Kiedy – w okresie czystek w partii bolszewickiej – toczył się proces jej działaczy – Jurija Piatakowa i Karola Radka – publicysta zarzucał im, że są wrogami głównie narodu rosyjskiego.

Rozważania Agurskiego skłaniają do wniosku, że Leżniew był przykładem na to, iż sowiecki komunizm okazał się dla Żydów zamieszkujących Rosję narzędziem ich etnicznej i kulturowej rusyfikacji. Tyle

Być może stosunki żydowsko-rosyjskie można określić niemieckim terminem „Hassliebe” („miłość-nienawiść”)

że mimo przyjęcia przez nich tożsamości rosyjskiej potem masowo emigrowali oni do Izraela. To sprawiło, że na początku lat 90. stanowili od 15 do 20 proc. żydowskiej ludności tego państwa.

W rezultacie nastąpił też do Izraela eksport mentalności sowieckiej. Daje ona o sobie znać na różnych polach życia politycznego i społecznego. W oczach Polaków szczególnie bulwersująca jest taryfa ulgowa, z jaką Izrael traktuje system sowiecki. W lansowanej na gruncie izraelskiej polityki historycznej wizji przeszłości ZSRS to nie jest agresywne państwo totalitarne (w dodatku przecież praktykujące antysemityzm), ale dzielny pogromca zła, czyli III Rzeszy, którego żołnierze wyzwala- li Żydów z niemieckich obozów koncentracyjnych. Nic zatem dziwnego, że przybyli z terytorium dawnego Związku Sowieckiego obywatele Izraela będący weteranami wielkiej wojny ojczyźnianej uzyskali w tym państwie uprawnienia kombatanckie, nawet jeśli niegdyś splamili swoje ręce zbrodniami, służąc w NKWD.

EURAZJANIZM W IZRAELU?

Przy czym nie można mówić, że imigranci z Rosji i innych byłych republik sowieckich tworzą jednolity elektorat polityczny. Są w tej grupie obywatele Izraela ludzie o poglądach liberalnych i prozachodnich. Emblematyczną postacią, która je wyraża, jest choćby polityk Natan Szaranski (w ZSRS był opozycjonistą prześladowanym za działalność na rzecz praw obywatelskich). Ale warto zwrócić uwagę też na osoby o zupełnie innej orientacji politycznej. Wśród nich jest Awigdor Eskin.

To prawicowy (jego oponenci dodaliby: „skrajnie”) aktywista polityczny, który wyemigrował z ZSRS w roku 1979. Jest wyznawcą judaizmu ortodoksyjnego i orędownikiem religijnej wersji syjonizmu. Optuje za bezwzględny, twardym kursem Izraela wobec Palestyńczyków.

Z powodu swoich mocno prowokacyjnych wystąpień antyarabskich popadł w konflikt z izraelskim wymiarem sprawiedliwości (przesiedział nawet dwa lata w więzieniu).

Po krachu Związku Sowieckiego Eskin opowiedział się za politycznym zbliżeniem Izraela z Rosją. Jako wspólną płaszczyznę dla obu państw wskazał tradycjonalizm (chodzi o przywiązywanie wagi do oddziaływania religii na życie publiczne czy pochwalać wartości rodzinnych) przeciwstawiany globalizmowi oraz zachodniej liberalnej demokracji. Przez jakiś czas współpracował z rosyjskim myślicielem Aleksandrem Duginem i tym samym był pod wpływem idei mających źródło w eurasjanizmie. Koncepcja ta zakłada cywilizacyjną odrębność Rosji wobec Zachodu. Ponadto Eskin był stałym gościem prokremlowskich propagandowych programów rosyjskiej telewizji państwowej. Wyrażał w nich poparcie dla napaści Rosji na Ukrainę, upatrując w „specjalnej operacji wojskowej” akcji o charakterze „denazyfikacyjnym” (czyli wymierzonej w oddawanie czci banderowcom).

Swoje przekonania Eskin rewidował, lecz ich rdzeń się nie zmienił. Mimo że dziś Izraelczyk nie szczędzi Duginowi obraźliwych słów (uważa, że ten stoczył się do poziomu kłoszarda), to jednak można postawić tezę, że jeśli chodzi o geopolitykę – ale już nie o sprawy ideowe – to dyskurs eurasjanizmu pozostaje mu bliski. Eskin chce nadal, żeby Izrael i Rosja występowały razem przeciw hegemonii USA w świecie.

Czy wypływające z eurasjanizmu idee mają szansę zdobyć za pośrednictwem imigrantów z terytorium dawnego ZSRS umysły izraelskich nacjonalistów? Dziś wydaje się to nieprawdopodobne. Istotna jest bowiem pomoc, której udziela Ameryka Izraelowi – niezależnie od tego, kto zasiada w Białym Domu.

Problemem są jednak próby wymuszania na izraelskiej klasie politycznej przez lewicowo-liberalne środowiska Zachodu decyzji zgodnych z ich agendą urzędzenia świata. W Izraelu przecież też toczą się konflikty kulturowe. I dotyczą one nie tylko stosunków między Żydami a Arabami, lecz także choćby zderzenia ortodoksyjnego judaizmu z progresizmem obyczajowym. A polityczna polaryzacja, której podłożem są te konflikty, sprzyja takim ludziom jak Eskin.

Pierwszy miesiąc Leona XIV



Paweł Chmielewski

Kiedy w czwartek 8 maja nowy papież ukazał się na balkonie bazyliki św. Piotra w tradycyjnym stroju, wielu katolików pomyślało: wraca normalność, to koniec z ekstrawagancją papieża Franciszka. Pod pewnymi względami mieli rację, choć zarazem głęboko się pomylili



FOT. ALESSIA GULLIANI/PA/ABACA/EAST NEWS

Leon rzeczywiście nie chce kontynuować postawy manifestacyjnego „ogółania” papiestwa z różnych jego symboli i widzialnych atrybutów. Nosi się inaczej niż Franciszek, przykładą też nieco większą wagę do piękna liturgii, choć bynajmniej nie tak dużą, jak choćby Benedykt XVI. Mieszka w Pałacu Apostolskim, chętnie śpiewa razem z wiernymi, wypowiada się w sposób znacznie mniej spontaniczny i bardziej przemyślany. Nie pozwala sobie na luźne wtrącenia, które za pontyfikatu Jorge Maria Bergoglia powodowały tak wiele chaosu i zamieszania. Pod tym względem już pierwszy miesiąc rządów Leona ukazał wyraźną zmianę. Tak naprawdę nikogo nie powinno to dziwić: to raczej pontyfikat Franciszka był wyjątkiem w historii papiestwa. Do zrobienia jest po nim naprawdę dużo.

Powrót do normalności dotyczy również relacji z Kurią Rzymską. Franciszek kurialistów bardzo nie lubił, żeby nie powiedzieć po prostu: nie znosił. Po niespełna dwóch latach od rozpoczęcia pontyfi-

katu miał o nich tak fatalne zdanie, że nie wahał się publicznie zbesztać we wprost nieprawdopodobny sposób. W głośnym przemówieniu z grudnia 2014 r. wymienił aż 15 „chorób kurialnych”, zarzucając pracownikom Watykanu takie grzechy jak brak wiary, podwójne życie, dążenie do władzy, karierowiczostwo, oziębłość duchową, brak miłosierdzia czy wręcz – jak się barwnie wyraził – „duchowego alzheimera”, a więc zapomnienie o łaskach, których doświadczyli od Boga. Jak mówił, tak działał – z kurią nie chciał mieć zbyt wiele wspólnego. Dlatego wiele kluczowych decyzji podejmował w gronie najbliższych doradców, nie konsultując ich wcale na normalnej drodze z aparatem kurialnym.

PAPIEŻE PRZEMIJAJĄ, KURIA TRWA

Ktoś mógłby powiedzieć, że w obliczu faktycznych i dobrze znanych problemów Kurii Rzymskiej – a należą do nich także malwersacje finansowe czy poważne ekscesy natury obyczajowej – było to wszystko bardzo słuszne. A jednak odcinając się

od kurii, Franciszek nieustannie wprowadzał Kościół na miny. Prowokował liczne skandale, publikując nieprzemyślane i źle opracowane dokumenty, takie jak „Amoris laetitia”, „Laudate Deum” czy „Fiducia supplicans”. Gdyby dał popracować nad nimi nielubianym przez siebie kurialistom, najpewniej zyskałyby wiele na rzetelności – a może nawet na poprawności doktrynalnej. Franciszek tymczasem tego nie konsultował. Nie pytał o zdanie również kardynałów. Nie organizował ich spotkań, ignorując formalny status Kolegium Kardynalskiego jako papieskiego ciała doradczego.

Leon XIV chce działać inaczej. Kardynałom zapowiedział gotowość do bliskiej współpracy od razu dzień po wyborze na papieża, co według wielu relacji przyjęto z naprawdę dużym zadowoleniem. Pod koniec maja nowy papież spotkał się też z pracownikami Kurii Rzymskiej. Zupełnie inaczej niż Franciszek, bynajmniej nie po to, by ich zwyzywać. Owszem, delikatnie zasugerował konieczność budowy dobrej atmosfery pracy, wolnej od wzajemnej

niechęci, ale w przemówieniu zawarł przede wszystkim jedną, bardzo pochlebną dla kurialistów myśl: Kuria Rzymska jest aparatem, który zapewnia Stolicy Apostolskiej trwałość, ciągłość i stabilność. Jak powiedział, papież przemijają, a kuria trwa. To prawda, dlatego Leon przyjmuje zwykły tryb papieskiej pracy, w porozumieniu ze wszystkimi podległymi mu dykasteriami kurialnymi i administracją Watykanu.

Zmiany mogą dotyczyć również tzw. synodalności. Przyszłość globalnego Procesu Synodalnego stoi pod wielkim znakiem zapytania. Franciszek w 2021 r. wprowadził Kościół katolicki na drogę „synodalnej transformacji”. Nakazał zorganizowanie całej masy spotkań na wszelkich możliwych szczeblach życia kościelnego, ale nigdy nie przedstawił definicji tego, co tak naprawdę rozumie pod hasłem synodalności. W marcu tego roku, ciężko chory w szpitalu, podpisał znienacka decyzję o przedłużeniu procesu synodalnego do roku 2028. Dokumenty przyniósł mu kard. Mario Grech, sekretarz Synodu Biskupów. W ten sposób zostawił w spadku Leonowi naprawdę poważny bałagan organizacyjny oraz ideowy. Nowy papież z kard. Grechem już się spotkał i rozmawiał. Na razie, jak zauważają dość zgodnie wszyscy komentatorzy, w swoich wystąpieniach nie odnosi się zbyt często do synodalności. Wspominał o tym procesie kilka razy, ale nie przedstawia synodalizacji Kościoła jako najważniejszego zadania stojącego przed katolicyzmem. Daje to nadzieję, że Leon nada synodalności bardziej ograniczony kształt i obejmie ją rygorami prawa kanonicznego. Na tym przecież dobrze się zna.

POTRZEBA UZDROWIENIA

To wszystko daje szansę na pewne uspokojenie wewnątrzkościelnej sytuacji. Problem w tym, że katolicyzm potrzebuje dziś nie tyle uspokojenia, ile raczej głębokiego uzdrowienia. Piszę o tym szeroko w książce „Leon XIV. Nowy papież”, która wyszła właśnie nakładem wydawnictwa Esprit. Przedstawiam w tej pracy sylwetkę Leona oraz to, co wiemy na temat konklawe, które doprowadziło do jego wyboru. Przede wszystkim maluję jednak mapę zadań, które stoją przed papieżem. Chaos doktrynalny, moralny i dyscyplinarny szerzy się od kilkudziesięciu lat z coraz większym natężeniem. Leon, jeżeli doko-

na tylko pewnej bardzo ogólnej i poniekąd symbolicznej normalizacji po pontyfikacie Franciszka, w żaden sposób nie dotknie najgłębszych źródeł problemów. Tymczasem Leon w dwóch bardzo istotnych sprawach pokazał, że popiera kierunek przyjęty przez swojego poprzednika.

POWAŻNY PROBLEM TEOLOGICZNY

Pierwszą z tego rodzaju decyzji było obświecenie siostry zakonnej w roli sekretarza ważnego urzędu kurialnego, Dykasterii do spraw Zakonów. Została nim s. Tiziana Merletti, w przeszłości przełożona generalna Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Ubogich. To druga kobieta w Watykanie, która piastuje stanowisko tej rangi. Wcześniej s. Alessandra Smerilli została sekretarzem Dykasterii do spraw Integralnego Rozwoju Człowieka. Dykasteria do spraw Zakonów jest teraz kierowana głównie przez kobiety, bo w styczniu 2025 r. Franciszek uczynił przełożoną tego urzędu inną zakonnicę, s. Simonę Brambillę. Decyzje Franciszka – a dziś również Leona – wywołują wśród niemałej liczby kardynałów i biskupów negatywne reakcje. Można byłoby w tym dopatrywać się po prostu jakiejś klerykalnej mizoginii, ale problem jest głębszy – i nie dotyczy wcale kobiet. Zakonnice to osoby konsekrowane, ale nie mają święceń kapłańskich. Tymczasem zgodnie z dotychczasowym rozumieniem natury władzy w Kościele jest ona powiązana z sakramentem święceń. Jasno nauczał o tym jeszcze Sobór Watykański II. Franciszek zdecydował się tę koncepcję odrzucić, uznając, że wszyscy urzędnicy kurialni pełnią swoje zadania z jego mandatu, więc sakrament święceń nie ma tu nic do rzeczy. To poważny problem teologiczny, bo osoby bez święceń sprawują dziś władzę nad tymi, które święcenia mają, to znaczy zakonnice rozkazują biskupom. Jeszcze podczas spotkań poprzedzających konklawe toczyły się wokół tej sprawy ostre spory. Jest oczywiście możliwe, że w przyszłości Leon XIV dokona jakiejś korekty. Na razie jednak nic na to nie wskazuje.

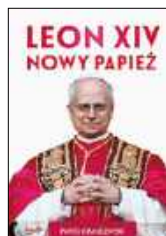
Druga sprawa dotyczy obsady dwóch ważnych watykańskich instytucji: Papieskiej Akademii Życia oraz Papieskiego Instytutu Jana Pawła II dla Studiów nad

Małżeństwem i Rodziną. Obie zostały powołane do obrony katolickiego nauczania moralnego, zwłaszcza w obszarze bioetyki. W 2016 r. Franciszek powierzył je nadzorowi skandalizującego biskupa Vincenza Paglia. Paglia głęboko zmienił profil obu jednostek. Powyrzucał starych pracowników, którzy rozwijali myśl św. Jana Pawła II. Na ich miejsce przyjął osoby, które reprezentowały bardzo różne nurty – niektórzy popierali nawet aborcję czy in vitro. Pod jego nadzorem poważnie zastanawiano się też nad odejściem od nauczania św. Pawła VI dotyczącym antykoncepcji. 20 kwietnia tego roku Paglia skończył 80 lat i w związku z tym przeszedł na emeryturę. Leon XIV nie zdobył się jednak na próbę „odbicia” akademii oraz instytutu z rąk środowiska niechętnego wobec myśli Karola Wojtyły. Szefem tej pierwszej uczynił ks. Renna Pegorara, dotychczas „prawą rękę” Vincenza Paglia.

Nadzór nad drugą oddał w ręce wikariusza generalnego Rzymu, kard. Baldassare’a Reiny, który z kolei zatwierdził na kolejną kadencję aktualnego przewodniczącego, Philippe’a Bordeyne’a. Innymi słowy, papież Prevost postanowił kontynuować linię wprowadzoną do obu instytucji przez Franciszka.

Pierwszy miesiąc pontyfikatu Leona XIV pozwolił odetchnąć wszystkim tym, którzy mieli serdecznie dość chaosu informacyjnego i symbolicznego, którym cechował się czas rządów

Franciszka. Stolica Apostolska pod władzą nowego papieża wydaje się na powrót miejscem stabilnym i przewidywalnym. Nie oznacza to jednak, że czeka nas rzeczywista kontrrewolucja, to znaczy próba wyciągnięcia katolicyzmu z głębokiej zapasności doktrynalnej. Chociaż strój papieski oraz sposób funkcjonowania Kurii Rzymskiej to kwestie istotne, to najważniejsza pozostaje przecież teologia. Jak dotąd nic nie wskazuje na zmiany w tym obszarze. Można mówić raczej o spokojnej kontynuacji i gruntowaniu tego, co przedsięwziął papież Jorge Mario Bergoglio. Czy tak będzie już cały czas? Oby nie, bo przed Leonem piętrzą się ogromne wyzwania. Jakże? O tym piszę w książce.



PAWEŁ CHMIELEWSKI
„LEON XIV. NOWY PAPIEŻ”
ESPRESSO 2025

Jak Krzyżacy zniewolili Prusy



Jacek Komuda

Zaproszenie nad Wisłę Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny jest wymieniane jako jedno z większych nieszczęść, które spadły na średniowieczną Polskę. Warto jednak poznać sposoby, jakimi Krzyżacy zdołali podbić i zniewolić obcą, pogańską ziemię Prusów

Zakon krzyżacki nie cieszy się sympatią Polaków, i to pomimo tego, że co pewien czas pojawiają się próby nowego spojrzenia na tę wspólnotę, jak choćby prace Hartmuta Boockmanna czy Sławomira Leśniewskiego. Nie należy zapominać, że to właśnie w starciu z wiarołomstwem Krzyżaków ukształtował się w XV w. polski obyczaj rycerski, przywiązanie do honoru i gestów, które w późniejszych wiekach stały się fundamentem polskiej kultury. Jednak historia zakonu pełna jest niejasności i mitów.

Zacznijmy od fundamentalnej kwestii sprowadzenia Krzyżaków. W świadomości historycznej obwiniany jest za to książę Konrad Mazowiecki. Jednak w rzeczywistości został do tego zmuszony przez brutalne najazdy pruskie na Mazowsze i Kujawy. Mało kto wie, że Konrad podjął kilka prób rozwiązania problemu, zanim sięgnął po kartę krzyżacką, a decyzję podejmował razem z biskupem misyjnym Chrystianem. Najpierw powołali do walki z poganami zakon rycerski w Dobrzyniu, który jednak nie uzyskał żadnego wsparcia rycerstwa polskiego. Wówczas książę i biskup zwrócili uwagę na „braci szpitala niemieckiego”, którzy po wypędzeniu z Węgier poszukiwali siedziby i zajęcia w Europie. Książę jednak odwołał się do opinii swoich wasali. Jak pisze autor krzyżackiego „Sprawozdania”: „Prosił wszystkich biskupów, którzy byli mu podlegli, a także swoich żupanów, którzy byli pod nim rycerzami, aby mu poradzili, jak ma postąpić. A wtedy przemówili oni jednym głosem, że on sam znalazł najlep-

„Wielki mistrz Siegfried von Feuchtwangen wkracza do zamku w Malborku, 1309 r.” Obraz K.W. Kolbego z 1825 r. FOT. NATIONAL GALLERY BERLIN

szą decyzję, i wszyscy wypowiedzieli się za tym, aby wysłał on swoich posłów do braci ze szpitala niemieckiego”.

Jak zatem widać, decyzja podjęta została na wiecu lub zjeździe możnych kujawskich i mazowieckich, zgodnie z tradycjami polskiej wolności, w duchu średniowiecznego parlamentaryzmu. Dopiero później, kiedy okazała się fatalna, został z nią, jak z klęską – sierotą – sam tylko Konrad książę Mazowsza.

W 1228 r. ofiarował Krzyżakom ziemię chełmińską, jednak nie wieczyście. Jak pisze Marian Biskup, zastrzegł, że pełne nadanie może nastąpić tylko za zgodą pozostałych książąt polskich, więc oskarżenia, że lekką ręką oddał zakonowi część ziem Polski, są – przynajmniej częściowo – bezpodstawne. Zresztą nadań tych było kilka; Krzyżacy otrzymali ziemię chełmińską dwukrotnie – prawdopodobnie książę ponowił nadanie na początku roku 1230. Wówczas również zakon otrzymał wieś Orłowo koło Inowrocławia, a potem gród w Nieszawie.

OFENSYWA PRAWNA ZAKONU

Jeszcze zanim wyciągnięto z pochw miecze, Krzyżacy rozpoczęli ofensywę dyplomatyczną, aby uzyskać dodatkowe przywileje i akty prawne, potwierdzające nadanie ziemi chełmińskiej. Pamiętajmy, że w średniowieczu każde części księstwa albo włości prywatne – wsie, klasztory, młyny, grody – mogły pozostawać w zależności nie tylko od swego seniora, lecz także od innych panów feudalnych i dostojników Kościoła, którzy mieli osobne prawa np. do pobierania podatków, dziesięciny, ceł, co osłabiało władzę księcia suwerena. Krzyżacy uznali także – skąd my to dziś znamy?! – wyższość prawa i władzy papieskiej oraz cesarskiej nad książęcą. Dlatego 18 stycznia 1230 r. papież Grzegorz IX potwierdził bullą darowizny Konrada. Wkrótce zaś biskup płocki Gunter nadał Krzyżakom wszystkie wsie i dziesięciny z ziemi chełmińskiej, a biskup



Konrad I Mazowiecki został zmuszony do sprowadzenia zakonu krzyżackiego na ziemię polskie FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

misyjny Chrystian – dziesięciny z reszty dóbr kościelnych pozostających w dyspozycji księcia. „Układając się z kolejnymi kontrahentami posiadającymi już to uprawnienia polityczne, już to prywatne i majątkowe, [Krzyżacy] potrafili zgromadzić wszystkie przywileje torujące im drogę do władztwa terytorialnego na ziemi chełmińskiej” – pisał o tym Gerard Labuda.

Pokazuje to, że wbrew woli Konrada przygotowywali się do pełnego przejęcia kontroli nad nadanym im lennem. Co ważne, książę mazowiecki nie dał im żadnych nadań w Prusach, jedynie ziemię chełmińską. Dopiero w przywileju kruszwickim z czerwca 1230 r. ponowił tę darowiznę, dodając enigmatyczne stwierdzenie, że otrzymają także wszystko, co „zdobędą” na Saracenach. Kłopot w tym, że przywilej kruszwicki został sfalszowany przez Krzyżaków prawdopodobnie w 1234 r. Zakonnicy bowiem próbowali na podstawie różnych pism przekonać papieża do nadania im ziem

Prusów. Papież zaś dwukrotnie potwierdził w 1230 r. tylko nadanie Chełmna i nieokreślonych grodów na terytorium Prus, ofiarowanych rzekomo także przez księcia Konrada. Dopiero 3 sierpnia 1234 r. Ojciec Święty zatwierdził ostatecznie nadanie ziemi chełmińskiej. Jednocześnie przyjął do wiadomości,

że Krzyżacy zajęli już część Prus, zatem przekazał tę część pod jurysdykcję św. Piotra i oddał zakonowi.

Wkrótce Krzyżacy dokonali kolejnej wolty – połączyli się z zakonem Rycerzy Chrystusowych z Dobrzynia i przejęli ich ziemię dobrzyńską. Doszło do konfliktu z księciem Konradem, który uważał, że po rozwiązaniu dobrzyńców ich włości powinny wrócić do niego. Wówczas Krzyżacy z poparciem legata papieskiego doprowadzili do ugody – ziemia dobrzyńska została oddana księciu, jednak kosztem osłabienia jego władzy na ziemi chełmińskiej za cenę ponownego potwierdzenia jej nadania i obietnicy wykupienia wszystkich przywilejów. Ostatecznie dopiero w 1243 r. papież Innocenty III nadał wielkiemu mistrzowi Gerhardowi von Malbergowi Prusy jako lenno. Wcześniej zaś Herman von Salza otrzymał także potwierdzenie władztwa w Prusach wydane przez cesarza Fryderyka II. Tak zwaną złotą bullę, gwarantującą zakonowi przywileje równe książętom Rzeszy nie tylko na terenie ziemi chełmińskiej, lecz także na podbitych terenach. Dokument wystawiony w 1235 r. i antydatowany na rok 1226 wzbudza do dziś ogromne kontrowersje i jest różnie interpretowany.

Dlaczego jednak Konrad Mazowiecki sam nie zorganizował sił do obrony granicy przed Prusami lub nie próbował podbić ziem pruskich i ograniczył się do wspierania Krzyżaków? Cóż, zaangażowany był w tym czasie w walkę o władzę nad pozostałymi dzielnicami. W 1227 r. w Gąsawie zabito princepsa Leszka Białego. Wśród książąt zaczął się bój o spadek – dzielnice sandomierską i Małopolskę z Krakowem. Władysław Laskonogi, Henryk Brodaty i Konrad Mazowiecki rozpoczęli bratobójczą walkę o władzę i wpływy. Konrad „patrzył zatem przychylnym wzrokiem, jak Krzyżacy, poczynawszy od roku 1230, zaczęli się urządzać w ziemi chełmińskiej i wznosić pierwsze grody i wyrwać z rąk Prusów inne” – pisał Gerard Labuda.

Pamiętajmy też, że na razie żadne doświadczenia ze sprowadzonymi do Polski joannitami i templariuszami ani z Zakonem Rycerzy Chrystusowych z Dobrzynia nie dawały powodów do niepokoju. Wydawało się, że Krzyżacy opanują Prusy i staną się powolnym



Szeląg Winrycha von Kniprodego (wielkiego mistrza; 1351–1382) z mennicy toruńskiej FOT. MNW

narzędziem w rękach Konrada i innych książąt polskich.

PRUSOWIE UPRZEDZAJĄ UDERZENIE

Pierwsza grupa Krzyżaków licząca zaledwie trzech rycerzy pod przewodnictwem Filipa z Halle przybyła w roku 1228, zajmując pierwszy krzyżacki gródek Vogelsang, leżący naprzeciwko dzisiejszego Starego Miasta w Toruniu, w którego okolicy mieścił się gród Postolsko. Prawdopodobnie polską nazwą osady – jak podaje Jan Powierski – było Okole. „Dla ucha niemieckiego, zwłaszcza z nadechowym »W«, częstym w ustach słowiańskich (a więc jako Wokole) mogła ta nazwa upodobnić się do rodzimego wyrazu Vogel i skłonić postów krzyżackich, przez przypomnienie nazwy ze stron rodzinnych (Vogelsang – Vogelgesang), w skojarzeniu z sąsiedztwem lasów i z rzeczywistością być może tęsknotą do stron ojczystych do nazwania nowo zbudowanego grodu Vogelsangiem” – pisze. Oznaczała tyle co „śpiew ptaków”.

Dwa lata później przybyło kolejnych kilku rycerzy pod dowództwem mistrza krajowego Hermana von Balka. Krzyżacki kronikarz Piotr z Dusburga podaje, że było ich w sumie siedmiu; ponieważ Vogelsang nie mógł pomieścić tak licznej drużyny, książę mazowiecki oddał im drugi, większy gród w Nieszawie.

Na początku owych siedmiu Krzyżaków reprezentowało skromną siłę liczącą ok. 30–35 konnych. Pamiętajmy bowiem, że każdy z nich stał na czele kopii, jednostki składającej się z rycerza, co najmniej jednego giermka i dwóch strzelców – pachołków. Rycerzom towarzyszyła również czeladź, opiekująca się obozem, a także biorąca udział w walce, dlatego liczebność tego pierwszego oddziału mogła wynosić ok. 70 zbrojnych – zarówno konnych, jak i pieszych. W porównaniu z siłą, którą dysponowali książęta polscy, nie była to potęga, wszak kilka lat później książę Henryk Brodaty miał na samym tylko Śląsku Opolskim 32 rycerzy, co dawało siłę przynajmniej 128 zbrojnych, przy czym liczbę tę należy uznać na znacznie zaniżoną.

Jednak krzyżaccy rycerze zakonni różnili się tym od polskich, że o ile rycerstwo wychodziło w pole tylko na wyprawę, niechętnie prowadząc walkę



Pojmanie Pipina przez Krzyżaków

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w czasie siewu czy żniw, o tyle zakonnicy pełnili służbę cały rok, bez przerwy, nieobarczeni rodzinami, własnymi majątkami ziemskimi i w początkowym okresie urzędami. Była to siła mogąca stać się stałymi załogami zdobytych i zbudowanych w Prusach grodów.

Zakonnicy pełnili służbę cały rok, bez przerwy, nieobarczeni rodzinami, własnymi majątkami ziemskimi i w początkowym okresie urzędami

Pierwszy okres budowy państwa zakonu w Prusach jest mało znany, częściowo oparty na hipotezach i przypuszczeniach, a także najciekawszy – wtedy bowiem Krzyżacy pokazali nie tyle swoją siłę militarną, ile organizacyjną – poprzez organizowanie kolejnych krucjat. I dyplomatyczną – poprzez skłócanie i wykorzystywanie słabych stron przeciwników, wybór odpowiednich kierunków ekspansji. Na razie jednak wszystkoomal nie skończyło się ich klęską. Prusowie zaatakowali posiadłości Krzyżaków, a ci okazali się za słabi do zapewnienia obrony ziemi chełmińskiej, nie zdołali nawet obsadzić Chełmna, gdy najeźdźcy zablokowali ich w Starym Toruniu. Zakon uzyskał więc od księcia tereny, których nie potrafił obronić!

Podbój Prus rozpoczął się w 1231 r., kiedy Krzyżacy rozpoczęli swoistą rekonkwistę – przekroczyli Wisłę pod

Nieszawą i zajęli znajdujący się tutaj gródek z ogromnym dębem pośrodku. Ta mała twierdza stała się na kilka lat ich głównym oparciem. Tomasz z Zajączkowa cytowany przez Jana Powierskiego podaje dokładniejsze informacje o ich umocnieniu się na prawym brzegu Wisły. Mieli oni najpierw zbudować wieżę na dębie o milę od Torunia, a u jej stóp dwór. Po zniszczeniu tego umocnienia przez Prusów na uzyskanej od księcia łące zbudowali nowy dwór i obok niego wystawili gród. Obie te budowle znajdowały się na terenie obecnego Starego Torunia, który potem został przeniesiony na wschód, dając początek dzisiejszemu Toruniowi.

Prusowie okupowali już grody w Rogowie i Starogrodzie. Niejaki Pipin, jeden z ich wodzów, zbudował dodatkowo osiek nad jeziorem nazwany od jego imienia. Krzyżacy, zapewne wykorzystując posiłki księcia Konrada, najpierw pobili załogę Rogowa, zajęli gród, potem przy pomocy jego dowódcy opanowali Starogród. Prawdopodobnie odbyło się to w taki sposób: wspomniany Prus zdradził i udał się do grodu jako szpieg, a następnie, dowiedziawszy się o przygotowywanej uczcie, dał znać Krzyżakom, którzy uderzyli, kiedy załoga była pijana. To ważny szczegół, gdyż zakonnicy doskonale potrafili korumpować i przeciągać na swoją stronę przedstawicieli pruskich możnych. Na koniec Krzyżacy schwytali samego Pipina i zabili go, być może w Pigży, gdzie też mógł znajdować się wybudowany przez niego osiek.

Wszystkie te działania miały na celu przygotowanie bazy pod przyszłą krucjatę. Krzyżacy – jak pisze Powierski – zaczęli organizować ją w styczniu i lutym 1232 r. Tymczasem umocnili Starogród

i opanowali Chełmno, główny gród tej ziemi. Wezwanie do krucjaty nie skutkowało od razu, czasem mijał rok, zanim rycerstwo z krajów Zachodu zebrało się na taką wyprawę. Bliżej mieli jednak do Prus książęta polscy, którzy pierwsi odpowiedzieli. Jak podaje Gerard Labuda, krucjata ta rozpoczęła się pod koniec 1234 r. i wzięli w niej udział: Konrad Mazowiecki, Kazimierz Kujawski, Henryk Brodaty, Władysław Odonic i Świętopełk gdański. Prusowie przeciwstawili się w wielkiej sile, zostali jednak pobici nad rzeką Dzierzgonią w styczniu 1235 r., dzięki manewrowi księcia Świętopełka, który zaatakował ich od tyłu. Krzyżowcy uderzyli później na teren Pomezanii i zdobyli Kwidziń, który rozbudowany do rozmiarów dużego grodu stał się jedną z głównych twierdz krzyżackich. Jednocześnie wzniesli na zapleczu kolejny gród – Radzyń.

Już wtedy objawiły się zasadnicze zręby taktyki Krzyżaków. Ogłaszali krucjatę, a kiedy przychodziła, zdobywali strategiczne warownie pruskie lub miejsca i wznosili w nich swoje grody. A kiedy odchodziła, bronili się w nich zaciekle, wykorzystując stałą siłę zbrojną zakonu.

Pierwszy etap podboju Prus dokonany został zatem rękoma polskich rycerzy i ich książąt. Rok później przybyła niemiecka krucjata – margrabiego miśnieńskiego Henryka, który pomógł Krzyżakom ujarzmić do końca Pomezanię i umocnić się na zdobytych terenach. Zakonnicy zagarnęli Zantyr, podporządkowując sobie stolicę biskupstwa misyjnego Chrystiana. W 1237 r. założyli Elbląg i Dzierzgoń, gród nad rzeką, nad którą wcześniej pobili Prusów.

Prawdopodobnie w tym samym czasie zdołali opanować Bałgę, ale był to na razie kres ich ekspansji, gdyż krucjata wróciła do Rzeszy, a Prusowie, którzy poculi się zagrożeni, poczęli się jednoczyć. Pogezanowie, Warnowie, Natangowie i Bartowie uderzyli na wspomniany gród, rozpoczynając oblężenie. Krzyżacy wytrzymali tylko dlatego, że przyszedł im z pomocą książę saski Otto z Brunswiku, przyprowadzając 700 zbrojnych.

Ekspansja zakonu w tych pierwszych latach była przemyślana pod względem strategicznym. Uderzenia poprowadzone były z ziemi chełmińskiej w dół Wisły, a następnie wzdłuż Wybrzeża i Mierzei

Zakonnicy doskonale wiedzieli, jak przekupywać elity i szantażować możnych pruskich i polskich

Wiślanej. Miały one na celu odcięcie Pomezanii i Pogezanii od szlaków handlowych, aby zrujnować ekonomicznie mieszkańców i zdać ich na łaskę zwycięzców. Krzyżacy zdołali umocnić się aż po Półwysep Sambijski, który na razie pozostał we władaniu Prusów.

ŚWIĘTOPEŁK ZMIENIA FRONT

Agresywna ekspansja zakonników, zagarnięcia przez nich Zantyra i próba przejęcia Żuław doprowadziły do konfliktu z księciem gdańskim Świętopełkiem – do tej pory sojusznikiem zakonu. Główną przyczyną niezgody okazały się żegluga i handel wiślany, który Krzyżacy chcieli przejąć i opodatkować. Świętopełk zbudował gród w Sartowicach i zaczął pobierać cła, co wywołało wściekłość rycerzy. Jesienią 1242 r. doszło do otwartego konfliktu – Krzyżacy poparli polskich książąt dzielnicowych skłóconych ze Świętopełkiem, który zresztą nie był ideałem cnót rycerskich. To on w porozumieniu z Władysławem Odonicem zamordował księcia Leszka Białego, a jego ludzie ciężko ranili Henryka Brodatego. Teraz, kiedy

Krzyżacy zajęli i splądrowali Sartowice, Świętopełk sprzymierzył się z Prusami, którzy wszczęli powstanie. Jego siła była tak wielka, że w rękach rycerzy utrzymały się tylko: Bałga i Elbląg, Toruń, Chełmno i Radzyń. Zakonnicy natychmiast poparli księżęcego brata Sambora, wydali mu Sartowice; w odpowiedzi na co Świętopełk spalił Chełmno, a Prusowie pobili Krzyżaków pod Rządzem. Jednak legat papieski rzucił na księcia kłętwe, a ten, mimo że zbudował nowy gród Świecie, zagrożony przez bunt brata i akcję innych książąt, zmuszony został do zawarcia pokoju. Jako poręczenie oddał syna Mściwoja.

Ostatecznie w 1247 r. zawarto pokój na Kowalowym Ostrowie. Granica miała przebiegać środkiem Wisły, Świętopełk zrzekł się grodu Pnia w ziemi chełmińskiej, w zamian miał otrzymać Lanzańię nad morzem. Wydał także Zantyr; zaprzestał pobierania cła w zamian za zwrot syna. Jednocześnie Krzyżacy odbili Dzierzgoń, a nadciągająca armia Prusów została pobita przez jego załogę. 7 lutego 1249 r. zawarto ugodę między Prusami a Krzyżakami. Była to w zasadzie kapitulacja – Krzyżacy zagarniali Pomezanię i Pogezań, umacniając się u ujścia Wisły. Prusowie mieszkający na tym obszarze zachowywali wolność osobistą, ale musieli uznać władzę zakonu. Ciekawe, że – jak podaje Gerard Labuda – w sprawach wewnętrznych mieli kierować się zasadami prawa polskiego.

Historia pierwszych podbojów pokazała, że zakonnicy doskonale wiedzieli, jak przekupywać elity i szantażować możnych pruskich i polskich. Objawiła się też pewna niebezpieczna cecha krzyżackiego państwa. Otóż w przeciwieństwie do polskich księstw było ono niepodzielne, więc każdy podbój terytorialny wzmacniał je i zwiększał jego siłę, podczas gdy tereny książąt dzielnicowych ulegały podziałowi między synów i krewnych po śmierci władcy. Tymczasem krzyżackim księstwem zawsze władał jeden mistrz, który wszak nie miał potomstwa, więc jego władzę nie rozdrabniały się, przeciwnie – rosły w siłę także na skutek akcji osadniczej. W ciągu 18 lat – od 1231 r. do układu z Prusami w Dzierzgoniu – krzyżackie państwo osiągnęło siłę równą jednej z dzielnic podzielonej Polski. To była zła wróżba na przyszłość.



Rzeź Kaszubów podczas Jarmarku św. Dominika w Gdańsku, 1308 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

UB-eckie
cur(v)iosum

Zacieranie za sobą śladów przez funkcyjnych ubecków było dość częstą praktyką. Jedni robili to nieudolnie, inni nieco lepiej, ale ślady tego procederu pozostawały w ich aktach. Szczególnie w tzw. teczkach partyjnych (członków PZPR). Przy każdym awansie i przesuwaniu członka wyżej towarzysze musieli pisać od nowa bardzo szczegółowe życiorysy, które były skrupulatnie sprawdzane. Ślad takich praktyk pozostał w tzw. służbach, które przed poświadczeniem bezpieczeństwa i dziś mają obowiązek sprawdzania obywatela.

Oweteczki partyjne są dziś nieocenionym źródłem wiedzy o systemie komunistycznym i jego funkcjonariuszach. Są tam opinie przełożonych, rodzinne oraz sąsiedzkie wywiady, donosy i przede wszystkim to, co najcenniejsze. Chodzi o tzw. obiektywkę na towarzysza, czyli charakterystykę ocenianej osoby na podstawie zgromadzonego materiału. Czego tam nie ma?! Czytelnik przenosi się nie tylko do innych czasów, lecz także do innego świata. Wbrew pozorom ten świat nie zanikł, jest wokół nas, ponieważ żyją jeszcze poszczególne partyjne dinozaury, ponadto ich dzieci i wnuki, które bardzo dobrze wiedzą, w czym wyrosli.

Tu chciałbym wspomnieć przypadek wyjątkowy. Oto towarzysz Józef A. w swej tececzce partyjnej ma cztery (!) równoległe życiorysy, oczywiście każdy inny. W jednym z nich

był zawodowym oficerem „ludowego” Wojska Polskiego, który doszedł do stopnia pułkownika. W drugim był już w tym samym czasie funkcjonariuszem UB-SB. Również doszedł do stopnia pułkownika i dyrektora jednego z ważnych departamentów. Ale ma również życiorysy bardziej cywilne: jako działacz gospodarczy – aż do dyrektora bardzo ważnego zjednoczenia przemysłowego (być może w ogóle nieistniejącego). I wreszcie wątek dyplomatyczny. Towarzysz Józef po odpowiednich szkoleniach został wysłany jako konsul do wrogiego, imperialistycznego mocarstwa, czyli do USA. Który życiorys był prawdziwy? W pewnym sensie każdy, bo te wątki się spletały.

Ale jest swoiste cur(v)iosum w jego życiorysie. „Obiektywka” na towarzysza zawierała bowiem punkt: „moralne prowadzenie się”. Towarzysz musiał być nienaganny, ale inaczej, niż myślimy. Ubecki weryfikator wpisał mu bowiem: „Moralnie prowadzi się nienagannie, współżyje wyłącznie z towarzyszkami z resortu”. A on miał w tym czasie żonę i kilkoro dzieci! Po drodze były też ekscesy z tego zakresu. Oto podstępnie zabił kochanka swej żony do siebie i dotkliwie go pobił, do krwi. Ponieważ kochanek stał znacznie niżej w hierarchii, skończyło się tylko na naganie partyjnej dla sprawcy.

Czy ktoś kiedyś zechce to wszystko uczciwie opisać? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki
Lady Pank

Lider grupy, Jan Borysewicz, pochodzi z Wrocławia i w całym swoim życiu wziął tylko jedną lekcję gry na gitarze. Nie przeszkodziło mu to stać się jednym z najlepszych instrumentalistów w kraju, a ważnym etapem jego kariery było dołączenie do zespołu Budka Suflera. W jej szeregach wziął udział w nagraniach trzech albumów studyjnych i zaczął też komponować. Jego najbardziej udanym utworem, który zresztą został włączony do repertuaru grupy, jest „Nie wierz nigdy kobiecie”. Zwiastował on już styl Lady Pank z charakterystycznym brzmieniem gitary, który miał się stać wizytówką formacji. Borysewicz wierzył w siebie, a utwierdzał go w tym stały współpracownik Budki, autor tekstów Andrzej Mogielnicki. Widział w gitarzyście wielki potencjał, a do tego wiedział, że – by zdobyć dużą popularność – należy grać inaczej niż lubelski zespół.

Dużo dał im do myślenia sukces Izabeli Trojanowskiej. Obaj znali jego powody: chwytliwe melodie, dobre, aktualne teksty, nowoczesna aranżacja, image i osobowość wykonawcy. Doszli też do wniosku, że razem zdołają podołać wyzwaniu. Tym bardziej że rozumieli się coraz lepiej.

Pierwszym nagraniem nowej grupy (jeszcze bez nazwy) była „Mała lady punk”. Powstał jednak pewien problem. Piosenka została nagrana i zatytułowana, ale brakowało nazwy wykonawcy. Borysewicz

nie zgodził się, by sygnowano ją tylko jego nazwiskiem, gdyż pragnął, by dzieło szło już na konto nowego zespołu. Ponieważ jednak nie można było emitować piosenki bezimiennie, koniecznością stało się wymyślenie nazwy. I tak powstało Lady Pank, ale pisa-
ne przez „a”, a nie przez „u”.

Grupa nie miała jednak jeszcze wokalisty i początkowo rolę tę objął Borysewicz, ale nie był przekonany do tego pomysłu. Gdy zatem zespół miał sesję nagraniową w krakowskim Teatrze STU, zarejestrowano wyłącznie instrumentalne podkłady późniejszych hitów: „Minus 10 w Rio”, „Tańcz, głupia, tańcz”, „Vademecum skauta” i „Mniej niż zero”. Wokal dograno dopiero po pojawieniu się w zespole Janusza Panasewicza. W dotychczasowych dziejach polskiego rocka nie było podobnej sytuacji i Mogielnicki powstanie Lady Pank określał jako rodzaj „tworzenia świata”, gdyż wszystko „powstawało od zera, a nawet mniej niż zera”.

Każdy pojawiający się w radiu utwór grupy stawał się przebojem, a ich pierwszy longplay (premiera 20 czerwca 1983 r.) nie tylko rozszedł się w milionowym nakładzie, lecz także sześć pochodzących z niego utworów zajęło pierwsze miejsca na Liście Przebojów Programu Trzeciego Polskiego Radia. Nigdy wcześniej ani później żadne polskie wydawnictwo płytowe nawet nie zbliżyło się do tego rezultatu. ©©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Order Orła z Tykocina

OTykocinie wspominałem w poprzednich felietonach. Miasteczko zapisało się w historii dawnej Rzeczypospolitej obłężeniem zamku, w którym zmarł zdrajca Janusz Radziwiłł, oraz alumnatem, czyli szpitalem dla starych i kalekich żołnierzy. Mało kto wie jednak, że w październiku 1705 r., w czasie spotkania króla Augusta II Mocnego z carem Piotrem I, władca ogłosił tutaj ustanowienie istniejącego do dziś Orderu Orła Białego i jego pierwsze egzemplarze – wykonane jeszcze w Dreźnie – wręczył swoim stronnikom, przybyłym na spotkanie. Odznaczenie miało dwie odmiany – jedną dla wiernych poddanych z napisem: „Pro fide, rege et lege” (Za wiarę, prawo i króla) oraz drugą dla władców i dostojników zagranicznych z napisem: „Pro fide, lege et grege” (Za wiarę, sprawiedliwość i naród).

Ciekawe, że ustanowienie orderu, który w samych tylko czasach panowa-

nia Augusta nadano 77 Polakom i 78 cudzoziemcom, nie wzbudziło – jak podaje Jacek Staszewski, jego biograf – protestów szlachty. Tymczasem podobny pomysł sprzed pół wieku – Władysława IV – polegający na ustanowieniu Orderu Najświętszej Marii Panny, wywołał sejmową awanturę i sprzeciw, gdyż uznano, że doprowadzi do zróżnicowania stanu szlacheckiego. Teraz jednak odznaczenie szybko stało się obiektem pożądania magnatów i dostojników. Wkrótce otrzymali je najważniejsi dygnitarze: Stanisław Ernest Denhoff, hetman Hieronim Augustyn Lubomirski,

Karol Stanisław Radziwiłł, kanclerz wielki litewski, Stanisław Mateusz Rzewuski, Józef Wandalin Mniszech, Adam Mikołaj Sieniawski oraz wielu innych. Order ceniony był w Europie, stając się jednym z najważniejszych wyróżnień, obok Złotego Runa, Podwiązki czy duńskiego Słonia. Pierwszym zaś zagranicznym władcą odznaczonym przez Augusta stał się car Piotr I, przebywający wówczas w Tykocinie. Z czasem przyjęło się, że nadawanie Orderu Orła Białego odbywało się w dniu imienin króla, czyli 3 sierpnia, i otrzymało uroczystą oprawę.

Odznaczenie straciło na znaczeniu w czasach rządów następcy – Augusta III Sasa – kiedy minister Henryk Brühl po prostu sprzedawał je za pieniądze. Jędrzej Kitowicz pisał o tym tak: „Ku końcu panowania Augusta III zagaściły się ordery, które graf Bryll, minister krakowski, pod pokrywką wyniszczonych wojną pruską skarbów królewskich przedawał, od możnych i pragnących tej błyskotki, biorąc po dziesięć i więcej tysięcy czerwonych złotych; wszakże gdy ten towar wielkiego pokupu nie miał, a żądza pieniędzy, jako rzeczy najlepszych na świecie rosta, spadała dużo cena; można było na ostatku dostać orderu za tysiąc jeden i mniej czerwonych złotych. Przecież utrzymując szacunek polityczny temu znakowi łaski królewskiej, nie dawano go tylko senatorom, ministrom i urzędnikom koronnym i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Kto się w takiej godności nie znajdował, nie zyskał orderu, choćby go był rad najdrożej kupić”. Order nadawano także dworzanom, a w czasie odbierania należało zapłacić jeszcze kilkadziesiąt czerwonych złotych na kamerdynera królewskiego,

odźwiernych i lokajów, którzy przechodzili do nominata, winszując mu odznaczenia – każdemu z nich należało dać po kilkanaście złotych napiwku. Po śmierci udekorowanego order zwracany był królowi. Jeszcze w XVIII w. cieszył się takimi względami, że wyróżnieni nim nosili błękitną wstęgę z przyszytą gwiazdą praktycznie do każdego stroju, aby wszędzie i zawsze znać było, iż są „orderowymi”.

Pierwsze odznaczenia, które rozdał August w Tykocinie, były po prostu emaliowanymi medalami, które miały po jednej stronie wizerunek orła i wspomniany napis, po drugiej zaś litery A.R. (Augustus Rex) i były noszone na lewym boku na błękitnej wstążce. Wkrótce jednak król, chcąc zwiększyć prestiż wyróżnienia, zamienił medal na ośmiokątny krzyż z białymi brzegami, na którym był rozpostarty orzeł w koronie. Odznaczenie noszono na szyi na białej wstążce z czerwonymi szlakami. W 1713 r. król wprowadził kolejną zmianę – gwiazdę noszono na błękitnej wstędze orderowej przepasanej z lewego ramienia do prawego boku.

Z orderem związana jest też ciekawa legenda. Ponoć August III Sas, wysyłając w poselstwie do Petersburga Stanisława Poniatowskiego i przydając mu gwiazdę do orderu, przez pomyłkę dał mu tę z napisem „Pro fide, lege et grege”, a nie „rege et lege”, a współcześni odczytali to tak, że po Auguście Poniatowski miał być królem, co też się stało. Jednak August III władał podle, ale przynajmniej trzymał w kupie Rzeczypospolitą; jego następca dokonał rzeczy chwalebnych, ale sam zniszczył siebie i państwo, kapitulując przed Moskwą. Jeśli więc było to prorocstwo – to złe i haniebne. ©©



RPS_QBA

Zagłada Gazy



Piotr Włoczyk

Izraelskie plany wobec Strefy Gazy mrozą krew w żyłach. Słowa ostrej krytyki pod adresem rządu Netanjahu płyną już nawet ze strony ludzi, którzy do niedawna nie widzieli tu większego problemu

W Gazie prowadzimy teraz wojnę na wyniszczenie; nie czyniąc żadnego rozróżnienia, bez żadnych hamulców – to okrutne i przestępcze zabijanie cywilów [...]. Nie jest to spowodowane przesadzoną reakcją ze strony żołnierzy z jakiejś jednostki. Powodem jest polityka rządu, prowadzona świadomie, ze złymi intencjami, wręcz podle, a także nieodpowiedzialnie. Tak, Izrael popełnia zbrodnie wojenne”.

Tymi słowami Ehud Olmert rozpętał wokół siebie prawdziwą burzę. Olmert,

premier Izraela w latach 2006–2009, który zawsze opowiadał się za ostrą walką z Hamasem i innymi palestyńskimi organizacjami bojowymi, napisał po koniec maja tekst w „Haaretz”, po którym wielu izraelskich polityków okrzyknęło go mianem zdrajcy. Jak tłumaczył potem m.in. w wywiadzie z CNN, długo bronił działań Izraela w Gazie, ale w końcu stwierdził, że przekroczona została pewna granica. Olmert napisał, że „zupełnie niepotrzebne ofiary wśród palestyńskiej ludności” w ostatnich tygodniach osiągają „monstrualne rozmiary”.

Olmert, bardzo ostry krytyk Beniamina Netanjahu, podkreśla, że równanie Gazy z ziemią i tak gigantyczna skala ofiar wśród ludności cywilnej są nie tylko zbrodnicze, lecz także szkodzą samemu Izraelowi, sprowadzając na ten kraj potępienie ze strony zachodnich partnerów. I choć nie w każdym programie zagranicznych stacji, których gościem był ostatnio Olmert, poinformowano, że ten były izraelski premier siedział półtora roku w więzieniu za oszustwa, to jednak takie słowa człowieka, który przez trzy

lata kierował Izraelem, mają swoją wagę – jego opinia o sytuacji w Strefie Gazy dość szeroko rozeszła się po świecie.

Tuż przed głośnym artykułem Olmerta oburzenie wśród sympatyków polityki rządu Netanjahu wywołał gen. Jair Golan, lider opozycyjnej partii Demokraci, były zastępca szefa Sztabu Generalnego izraelskiej armii. Co istotne, Golan zasłynął swoją bohaterską postawą podczas ataku Hamasu 7 października 2023 r. – tego dnia zgłosił się do punktu wojskowego, odebrał karabin i ruszył na pomoc izraelskim cywilom, którzy byli okrażeni przez terrorystów.

20 maja Golan stwierdził podczas wywiadu w radiu, że „zdrowe na umyśle państwo nie walczy z cywilami, nie zabija dzieci w ramach hobby i nie stawia sobie za cel wyrzucanie całych grup ludności”. Później łagodził swoje stanowisko, ale – jak to zwykle bywa – mało kto to zauważył.

Na obu polityków wylały się kubły pompy. Szef izraelskiego MSZ Gideon Sa’ar oskarżył Olmerta i Golana o branie udziału w „wojnie propagandowej” wy-



Izraelska armia przy granicy ze Strefą Gazy, 20 maja 2025 r. FOT. AMIR COHEN/REUTERS/FORUM

Ten pierwszy w kwietniu stwierdził, że skoro Hamas wciąż przetrzymuje kilkudziesięciu zakładników, to „nie ma żadnego powodu, aby do Gazy docierał choćby gram jedzenia lub innej pomocy”. I rzeczywiście, na początku marca Izrael zablokował na 11 tygodni pomoc humanitarną dla Strefy Gazy, co doprowadziło do tragicznych skutków wśród ludności cywilnej, szczególnie mocno dotykając dzieci.

„Ryzyko głodu w Gazie zwiększa się z powodu celowego wstrzymywania pomocy humanitarnej, w tym jedzenia, w związku z trwającą blokadą – alarmowała w połowie maja Światowa Organizacja Zdrowia. – Cała populacja Gazy, licząca 2,1 mln ludzi, mierzy się z przedłużającym się niedoborem jedzenia, z czego niemal pół miliona ludzi znajduje się w katastrofalnej sytuacji głodu, skrajnego niedożywienia, chorób i śmierci. To jeden z najgorszych na świecie kryzysów głodowych”.

Pod koniec maja Izrael, we współpracy z Amerykanami, powołał w miejsce ONZ-owskiego systemu dystrybucji pomocy nowy, obsługiwany przez Gaza Humanitarian Foundation (GHF). Jego początki okazały się jednak tragiczne. Jak przekazali świadkowie, do tłumów zgromadzonych przy centrach dystrybucji pomocy kilka dni z rzędu strzelali izraelscy żołnierze, zabijając kilkadziesiąt osób. Między innymi z tego powodu Mirjana Špoljarić, przewodnicząca Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, określiła w zeszłym tygodniu sytuację w Gazie jako „gorszą niż piekło na Ziemi”.

Również drugi ze skrajnie prawicowych ministrów, Becalet Smotricz, pokazał, że widzi w głodzie użyteczne narzędzie. W sierpniu zeszłego roku Smotricz wprost stwierdził: „Nikt na świecie nie pozwoli nam głodzić dwóch milionów ludzi, mimo że mogłoby to być usprawiedliwione i moralnie właściwe, by uwolnić zakładników”. A gdy w maju Izrael zapowiedział wznowienie działań wojennych, Smotricz wypalił: „Gaza będzie kompletnie zniszczona, a ludność cywilna będzie wysłana na południe, do strefy humanitarnej bez Hamasu czy terroryzmu. A stamtąd ci ludzie zaczną wyjeżdżać w ogromnej masie do krajów trzecich”. Smotricz dodał przy okazji, że jeszcze za obecnego rządu Izrael rozciągnie swoją suwerenność również

na okupowany przez Izrael od 1967 r. Zachodni Brzeg.

„W ciągu kilku miesięcy będziemy w stanie ogłosić, że wygraliśmy. Gaza będzie totalnie zniszczona – podkreślił minister finansów Izraela. – Oni będą totalnie rozpaczali i zrozumieją, że nie ma nadziei, że nie będą mieli czego szukać w Gazie. I tak zaczną się rozglądać za przesiedleniem, by rozpocząć nowe życie gdzie indziej”.

Nie on jeden na skrajnej izraelskiej prawicy domaga się realizacji tak zbrodniczej polityki. Mosze Feiglin, lider partii Zehut, były wiceprzewodniczący Knesetu, powiedział w izraelskim Kanale 14 po rozpoczęciu najnowszej odsłony operacji w Strefie Gazy: „Wrogiem nie jest Hamas czy też zbrojne ramię Hamasu. Każde dziecko w Gazie jest wrogiem. Musimy okupować Gazę i zasiedlić ją. Ani jedno gazańskie dziecko nie pozostanie tam. Nie ma innego sposobu na zwycięstwo”.

MORZE GRUZÓW

Patrząc na zdjęcia i nagrania ze Strefy Gazy, można się zastanawiać, czy da się jeszcze bardziej „totalnie zniszczyć” to miejsce. Według Agencji Narodów Zjednoczonych dla Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie do maja tego roku zniszczonych zostało 92 proc. (!) palestyńskich domów w Strefie Gazy. Ten obszar już stał się morzem gruzów.

Ponad 55 tys. mieszkańców Strefy Gazy straciło życie w wyniku izraelskiej odpowiedzi na mordy Hamasu. Jak ustaliło w październiku zeszłego roku przedstawicielstwo ONZ, w zdecydowanej większości ofiarami są kobiety i dzieci. Izrael cały czas podkreśli, że działania wojenne w Strefie Gazy to samoobrona i wojsko stara się minimalizować straty wśród ludności cywilnej. Izraelczycy przypominają też, że amerykańskie interwencje w Iraku czy Afganistanie również powodowały ogromne cierpienia ludności cywilnej. Faktem jest, że 7 października 2023 r. terroryści z Hamasu zamordowali ponad 1,2 tys. Izraelczyków (w zdecydowanej większości cywili), a także porwali ponad 250 osób, jednak izraelska odpowiedź na ten bestialski atak ewidentnie wykracza poza jakąkolwiek skalę.

W trakcie działań wojennych w Strefie Gazy Izrael nie oszczędza nawet szpitali. Dość powiedzieć, że od końca maja

mierzonej w Państwo Izrael oraz w jego siły zbrojne. Jo’aw Kisz, minister edukacji, stwierdził natomiast, że obaj politycy dołączyli do „radikalnego lewicowego chóru oczerniającego Izrael na scenie międzynarodowej”. W sprawę włączył się też były premier Ehud Barak, przeciwnik Netanjahu, który tłumaczył Golana, mówiąc, że to „odważny, bezpośredni człowiek”, a jego słowa odnosiły się do izraelskiego przywództwa politycznego, a nie zwykłych żołnierzy.

PLAN SMOTRICZA

Olmert podkreślał później w wywiadzie z CNN, że to „mesjanistyczni ekstremiści” w rządzie Netanjahu dyktują premierowi, co należy zrobić z Gazą. Takimi skrajnie prawicowymi ekstremistami są bez wątpienia choćby Itamar Ben-Gwir, minister bezpieczeństwa wewnętrznego, oraz Becalet Smotricz, minister finansów. Obaj politycy, bez których poparcia Netanjahu nie ma większości, od samego początku wojny Izraela z Hamasem domagają się najbardziej radykalnych działań w Strefie Gazy.

■ w północnej części tego terytorium, gdzie wciąż koczują setki tysięcy ludzi, nie ma już ani jednego działającego szpitala. Hamas bezwzględnie wykorzystuje infrastrukturę cywilną, chowając się wśród zwykłych Palestyńczyków. Ale czy państwo demokratyczne może nie brać pod uwagę tego, że bombardując bloki, by niszczyć zaplecze Hamasu, ryzykuje zabijanie przede wszystkim ludności cywilnej?

Tak brutalna, kompletnie nieproporcjonalna reakcja na mordy dokonane przez Hamas sprawiła, że coraz częściej pojawiają się głosy, które jeszcze do niedawna byłyby nie do pomyślenia.

„Nie ma nikogo, kogo dorobek naukowy szanuję, a kto nie uważa działań Izraela za ludobójstwo” – powiedział w rozmowie z holenderskim portalem NRC Raz Segal, izraelski badacz Holokaustu pracujący na amerykańskim Stockton University. Dziennikarze NRC rozmawiali z czołowymi ekspertami badającymi tematykę ludobójstwa i efekty ich ustaleń nie są zbyt optymistyczne dla Izraela.

„W ciągu ostatnich 19 miesięcy [od początku izraelskiej operacji w Strefie Gazy – przyp. P.W.] stanowisko zmienili nawet ci, którzy wcześniej wypowiadali się ostrożnie” – podsumowują dziennikarze NRC.

OSKARŻENIA O KRUCJATĘ

Odcięcie Strefy Gazy od dostaw pomocy humanitarnej i ewidentny plan stłoczenia ludności na południu sprawiają, że Izrael musi się mierzyć z narastającą, bezprecedensową krytyką z zagranicy.

Emmanuel Macron wyrasta na jednego z głównych przeciwników „planu Smotriacza”. Prezydent Francji, który musi się liczyć z nastrojami swojej muzułmańskiej mniejszości, powiedział pod koniec maja na forum bezpieczeństwa w Singapurze, że Zachód musi zareagować na dramat rozgrywający się w Strefie Gazy. Jego zdaniem na szali jest „utrata całej wiarygodności w oczach reszty świata”, jeżeli da się Izraelowi „wolną rękę” w Gazie. Macron zwrócił uwagę na oczywistą rzecz: jak Zachód ma liczyć na to, że reszta świata będzie potępiała rosyjskie zbrodnie na Ukrainie, jeżeli sam przykrywa oko na izraelskie zbrodnie w Strefie Gazy?

Prezydent Francji podkreślił w Singapurze, że państwa UE powinny utwardzić swoje stanowisko wobec Izraela, ale po-

Zaskakujące słowa padają z ust Donalda Trumpa, który jeszcze do niedawna uchodził za żelaznego sojusznika Netanjahu. Na krytykę Izraela pozwalają już sobie nawet... Niemcy

wiedział też coś, co wywołało w Jerozolimie prawdziwą furję. Macron stwierdził bowiem, że uznanie państwa palestyńskiego to „moralny obowiązek”.

Świetnie znany Polakom minister obrony Israel Katz („Polacy wysłali antysemityzm z mlekiem matki”) ostro skrytykował Macrona. „Oni uznają na papierze państwo palestyńskie, a my zbudujemy tu na miejscu żydowskie państwo Izrael – powiedział Katz podczas wizyty na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu. – Papier zostanie wyrzucony do śmietnika, a Państwo Izrael będzie kwitło i się rozwijało”.

Izraelskie MSZ również nie gryzło się w język, pisząc w oświadczeniu, że wszelkie oskarżenia o blokadę humanitarną to „jawnie kłamstwa”, a „Macrona nie interesują fakty”. „Zamiast naciskać na dżihadystowskich terrorystów, Macron chce ich nagrodzić państwem palestyńskim – podkreśliło MSZ Izraela. – Nie ma wątpliwości, że jego świętem narodowym [państwa palestyńskiego – przyp. P.W.] będzie 7 października”. Wisienką na torcie było oskarżenie Macrona o prowadzenie „krucjaty przeciwko państwu żydowskiemu”.

Gromy na Izrael ciska również Londyn, który pod koniec maja zawiesił rozmowy w sprawie brytyjsko-izraelskiej umowy o wolnym handlu.

David Lammy, szef brytyjskiego MSZ, potępił odcięcie Strefy Gazy od pomocy humanitarnej, ale zwrócił również uwagę na niedopuszczalne słowa izraelskich ministrów na temat „oczyszczenia Gazy”. Izraelski ambasador w Wielkiej Brytanii musiał być w szoku, gdy dowiedział się, że podczas przemówienia Lammy’ego w Izbie Gmin z tylnych rzędów posłowie krzyczeli: „Ludobójstwo!”.

„Wchodzimy w ponurą fazę tego konfliktu – mówił w Izbie Gmin wzburzony

Lammy. – Rząd Netanjahu planuje wypędzić Gazańczyków z ich domów do małego skrawka ziemi na południu i pozwolić im na otrzymywanie zaledwie ułamka pomocy humanitarnej, której potrzebują”.

Jednak minister spraw zagranicznych wyraźnie podkreślił, że mimo wszystko nazywanie „ludobójstwem” tego, co Izrael robi w Strefie Gazy, „podkopuje powagę tego słowa”.

Mocniejszych słów użyła Jenny Chapman, brytyjska minister do spraw rozwoju międzynarodowego, która podczas wizyty na Zachodnim Brzegu powiedziała w rozmowie z BBC, że Izrael „używa głodu jako broni w wojnie” i „wstrzymuje żywność, by zmusić ludzi do ucieczki”.

Izraelskie MSZ odpowiedziało nieco bardziej wstrzemięźliwie niż w przypadku Francji, ogólnie oskarżając Wielką Brytanię o „antyizraelską obsesję”.

MERZ NIE ROZUMIE

Zaskakujące słowa padają tu nawet z ust Donalda Trumpa, który jeszcze do niedawna uchodził za absolutnie żelaznego sojusznika Netanjahu. W ostatnim czasie widać jednak wyraźne ochłodzenie relacji na linii USA – Izrael, czego symbolem było bardzo wymowne pominięcie Jerozolimy na trasie majowego „tourné” Trumpa po Bliskim Wschodzie. Biały Dom ma za złe Netanjahu, że prowadzi tak radykalną politykę wobec Palestyńczyków, co poważnie utrudnia wielkie plany administracji Trumpa odnośnie do uporządkowania sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Trump, który jeszcze niedawno dawał Izraelowi carte blanche, pod koniec maja wypowiedział w kontekście Strefy Gazy znamienne słowa: „Mnóstwo ludzi głoduje. Mnóstwo ludzi. Tam się dzieje bardzo dużo złych rzeczy”, dodając, że USA będą się starały zapewnić Palestyńczykom pomoc humanitarną.

Jakby tego było mało, na krytykę Izraela pozwalają już sobie nawet... Niemcy. „To, co izraelska armia robi w Strefie Gazy... Prawdę mówiąc, nie rozumiem już, co jest jej celem – powiedział ostatnio kanclerz Friedrich Merz. – Tyle cierpień sprowadzać również na cywilną ludność, co widzimy ostatnio... Tego wszystkiego nie da się już usprawiedliwić walką z terroryzmem Hamasu”.



HUŚTANIE LECZNICZE

Chińczycy w osobiwy sposób walczą z bezsennością. W Internecie pojawiło się wideo pokazujące huśtających się ludzi w mieście Shenyang. Za huśtawki nie służą im jednak siedzenia, lecz pasy w kształcie litery U z miękką wyściółką, na których... opierają się swoimi sztykami. Huśtające się w ten sposób osoby bynajmniej się nie duszą. Twierdzą, że takie kołysanie nie tylko poprawia im sen, lecz także rozwiązuje ich problemy z kręgosłupem szyjnym.

FOT. XCHONGHONGNEWS/WORK

ZAROBIĆ NA CIĄŻY

Elła May Ding, uczestniczka australijskiej edycji randkowego reality show „Married At First Sight”, poinformowała na Instagramie, że jest w ciąży. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że celebrytka zamieściła na swoim koncie zdjęcie, które przedstawia ją trzymającą test ciążowy marki Clearblue. Część fanów Ding uznało jej zachowanie za niestosowne. Pojawił się zarzut zarabiania na swojej ciąży.

BÓJKA O ZDJĘCIE

Dożyłotni zakaz wstępu do chińskiego Disneylandu w Szanghaju grozi uczestnikom awantury, która wybuchła na terenie tego parku. Pobiło się dwóch mężczyzn. W pewnym momencie rzuciła się na nich partnerka jednego z nich. Następnie popchnęła ona towarzyszącą drugiemu z mężczyzn kobietę, która trzymała na rękach kilkuletnią dziewczynkę. Według lokalnych mediów do kłótni doszło dlatego, że gdy jedna para chciała sobie zrobić zdjęcie, to druga jej to uniemożliwiła.

NAGI PROWOKATOR

Do dziwnego zdarzenia doszło w brazylijskim mieście Aracaju. Na ulicy pojawił się mężczyzna, który był całkowicie nagi, miał tylko na głowie czerwony czepek prysznicowy. Goniło go dwóch mężczyzn. Rzucali w niego kijami i kamieniami. Podobno roznegliżowany człowiek prowokował mieszkańców miasta, popisując się przed nimi i drwiąc z nich. Ostatecznie nie wiadomo, dokąd uciekł i co się z nim stało.

SKUTKI UBOCZNE

Takie leki jak Ozempic robią furorę, gdyż wykazują skuteczność w walce z cukrzycą i otyłością. Rzecz w tym, że wywołują one skutki uboczne, z których wiele osób nie zdaje sobie sprawy. Szybka utrata tkanki tłuszczowej powoduje zmiany twarzy i sylwetki. Sporo ludzi, których one dotyczą, ich nie akceptuje. Nieobojętna pozostaje też ludzka psychika. Coraz więcej osób zażywających Ozempic skarży się na obniżenie nastroju, a nawet myśli samobójcze. ©©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

„Elity” kontra dzieci

Postępująca polaryzacja sprawia, że w różnych częściach świata celem zwalczających się politycznych plemion stają się już nawet dzieci. Nad Wisłą jedną z ofiar hejtu padła niedawno Kasia Nawrocka. Siedmioletnia córka prezydenta elekta, która podczas wieczoru wyborczego machała do kamer, składała z dłoni serduszk i stroiła śmieszne miny, u większości widzów wzbudziła zapewne naturalną sympatię.

Część członków „elity”, która sama siebie nazywa obozem „demokratycznym”, postanowiła jednak wyładować swą frustrację

na bezbronnym dziecku. Internet zalało szambo.

Niestety, Polacy nie są w tym względzie wyjątkowi. W USA za pierwszej kadencji Donalda Trumpa nie tylko internauci, lecz także „ludzie kultury” bez skrupułów atakowali 10-letniego wówczas syna prezydenta: Barrona. Ataki były tak podłe, że w obronie syna Trumpa stanęła Chelsea Clinton (wcześniej sama przeszła ciężkie chwile jako nastolatka w Białym Domu). Celami internetowych i medialnych ataków byli też córki George’a W. Busha, syn Nicolasa Sarkozy’ego, a także siedmioletnia obecnie córka kon-

serwatywnej premier Włoch Giorgii Meloni, którą internauci zdążyli nie tylko obrazić, lecz także życzyć jej tragicznej śmierci, a nawet grozić, że własnoręcznie pozbawią ją życia.

Cieszy więc, że w Polsce hejt wobec Kasi Nawrockiej skrytykowały zarówno rzecznik praw Ddziecka Monika Horna-Cieślak, jak i dziennikarki Joanna Racewicz, Karolina Korwin-Piotrowska czy Dominika Wantuch. Sprawcy ataków na dzieci powinni być co najmniej publicznie piętnowani. Niezależnie od tego, czy chodzi o dzieci Nawrockiego, Trzaskowskiego, Mentzena, Brauna czy zwykłego Kowalskiego. ©©



Maciej Pieczyński

Ukraińcom udało się zniszczyć jedną trzecią rosyjskich bombowców strategicznych. Operacja „Pajęczyna” to wielki sukces Kijowa, przez samych Rosjan porównywany do ataku na Pearl Harbor

Lotnicza baza wojskowa Biełaja w obwodzie irkuckim. Głęboka Syberia. Tysiące kilometrów od frontu. Jeszcze do niedawna wojna była tutaj niemal nieodczuwalna. Rankiem 1 czerwca to się radykalnie zmieniło. Z zaparkowanej nieopodal lotniska ciężarówka nagle wyleciała ukraińskie drony i zaczęły bombardować wojskowe samoloty. Kierowca został błyskawicznie zatrzymany. Najprawdopodobniej nie miał pojęcia, co ze sobą wiezie. Podobny przebieg miały ataki na lotniska Diagilewo w obwodzie riazzańskim oraz Siewiernyj i Olenja w murmańskim. Rosyjski i ukraiński Internet zalały nagrania, przedstawiające tę brawurową akcję dywersyjną. Był to od początku wojny największy i najpoważniejszy w skutkach atak na bazy lotnictwa strategicznego wroga.

Operację „Pajęczyna” zaplanowała i przeprowadziła Służba Bezpieczeństwa Ukrainy. Trafionych zostało 41 maszyn, w tym bombowce strategiczne Tu-95MS i średniego zasięgu Tu-22M3, samolot wczesnego ostrzegania A-50 czy najnowsze rosyjskie bombowce strategiczne Tu-160. Takie przynajmniej dane przedstawił szef SBU Wasyl Maluk. Gdyby te informacje zostały ostatecznie potwierdzone, oznaczałoby to, że Kijów wyeliminował ponad jedną trzecią rosyjskiego lotnictwa strategicznego.

Nawet jeśli – jak twierdzi część ekspertów – podana przez Kijów skala strat jest zawyżona (biorąc pod uwagę dowody wizualne, uszkodzonych lub zniszczonych samolotów było przynajmniej trzynaście), to i tak był to bezprecedensowy akt dywersji. Po tym, jak w sierpniu 2024 r. ukraińskie drony zaatakowały bazy lotnicze w zachodniej części Rosji, Moskwa musiała zareagować. Część lotnictwa strategicz-



W pajęczce sieci Kijowa

FOT. SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA UKRAINY

nego przeniesiono możliwie najdalej od granicy Ukrainy. W tym właśnie na lotniska Olenja, Biełaja czy Ukrainka w Kraju Chabarowskim nad Pacyfikiem. Tylko ostatnie z wymienionych (najdalej położone) uniknęło ataku. I to wyłącznie dlatego, że w tym wypadku ciężarówka z dronami eksplodowała. Niemniej po raz pierwszy Ukraińcy zaatakowali w azjatyckiej części Rosji (obwód irkucki i Kraj Chabarowski).

BOLESNY CIOS

Nie byłoby to możliwe, gdyby nie zuchwały plan ze startem dronów z ciężarówek zaparkowanych wprost pod lotniskiem. Kierowcy myśleli, że wiozą domy szkieletowe. Tak wynika z przesłuchań, których treść przytacza dobrze poinformowany kanał Baza na portalu społecznościowym Telegram. Drony ukryte były w kontenerach załadowanych na ciężarówkę. Wszystkie historie były podobne. Do kierowcy w pewnym momencie dzwonił nieznajomy i kazał zatrzymać się w konkretnym miejscu. Po zaparkowaniu ukraińskie służby zdalnie otwierały dachy kontenerów, uwalniając drony. Wszystkie pojazdy należały do tego samego właści-

ciela – 37-letniego Artioma Timofiejewa, który urodził się w Żytomierzu, przez pewien czas mieszkał w Kijowie, natomiast kilka dni przed operacją przeprowadził się do Rosji. A konkretnie – do Czelabińska. To tam miał miejsce załadunek wszystkich ciężarówek.

Dla Moskwy operacja „Pajęczyna” to ogromny szok i bolesny cios – nie tylko wizerunkowy, lecz także czysto militarny. Przypomnijmy, że bombowce strategiczne są zdolne przenosić ładunki jądrowe. Wchodzą w skład tzw. triady nuklearnej, na którą składają się raketowe, morskie i powietrzne właśnie środki przenoszenia broni jądrowej. Gdyby informacje SBU o liczbie zniszczonych maszyn nie okazały się znacząco zawyżone, oznaczałoby to poważne osłabienie zdolności odstraszenia atomowego ze strony Moskwy. Przy czym, jak zauważają eksperci, powietrzny komponent jest w triadzie najsłabszy. Rola bombowców strategicznych nie ogranicza się jednak do transportu ładunków jądrowych. Wykorzystywane są bowiem przede wszystkim do przenoszenia broni konwencjonalnej, w tym raket skrzydlatych. Taką właśnie rolę odgrywają na

froncie ukraińskim. Andrzej Wilk i Piotr Żochowski z Ośrodka Studiów Wschodnich zauważają, że atak na bazy lotnictwa strategicznego stanowi dotkliwe uderzenie w prestiż Rosji, ale nie będzie miał znaczącego wpływu na wykorzystanie bombowców w atakach na Ukrainę.

Z drugiej strony po raz kolejny obnażone zostały słabości rosyjskiego systemu bezpieczeństwa wewnętrznego. Łatwość, z jaką ukraińskie służby przeniknęły w pobliże baz wojskowych, pokazuje, że FSB nie jest w stanie przewidzieć akcji dywersyjnych oraz że potencjalne zagrożenia tego typu lekceważy. Widać to też po reakcji Moskwy. Ministerstwo Obrony w oficjalnych komunikatach pomniejsza znaczenie ataków, choć przyznaje, że doszło do „ataku terrorystycznego” ze strony „reżimu w Kijowie”.

Jednocześnie w przekazie rosyjskiej propagandy powszechne są porównania do Pearl Harbor. Brzmiały efektownie i korzystnie z punktu widzenia Kremla. Jak wiadomo, niesprowokowany atak Japonii na amerykańską bazę na Hawajach zmusił USA do wejścia do drugiej wojny światowej. Roman Skomorochow z portalu Topwar.ru ku pokrzepieniu serc napisał, że po „rosyjskim Pearl Harbor obowiązkowo musi nastąpić Midway” (chodzi o zwycięską dla USA bitwę z Japończykami). Taka narracja pozwala osłodzić gorycz porażki i po raz kolejny (jak w wypadku obwodu kurskiego) własną kompromitację obrócić przeciwko Ukrainie, starając się (dodajmy: wbrew faktom) pokazać, że to Kijów rozpętał wojnę, a Rosja jak zwykle tylko się broni przed najazdem nazistów.

AKCJA I ESKALACJA

Operacja „Pajęczyna” nie była jedyną spektakularną akcją na tyłach Rosjan w ostatnich dniach. 3 czerwca wybuchła bomba pod mostem Krymskim, podłożona przez SBU. Uszkodzenia spowodowały czasowe ograniczenie ruchu. 28 maja w wyniku ataku dronów wybuchł pożar na terenie parku technologicznego w Ziełonogradzie (obwód moskiewski). 30 maja we Władywostoku (prawie 9 tys. km od granicy z Ukrainą!) doszło do dwóch wybuchów w garnizonie 47. samodzielnego batalionu desantowo-szturmowego 155. Brygady Piechoty Morskiej, która walczyła na froncie ukraińskim. Za atak najprawdopodobniej odpowiada wywiad

wojskowy HUR. Według oficjalnej wersji władz rosyjskich wybuchły jedynie dwie butle z gazem, niemniej w okolicy wprowadzono operację antyterrorystyczną. W nocy z 31 maja na 1 czerwca w obwodzie briańskim, w rezultacie eksplozji, na przejeżdżający pociąg pasażerski zawałił się wiadukt drogowy, zabijając siedem osób. Zginęli cywile, dlatego trudno się dziwić, że tej tragedii Rosjanie nie uznali za wypadek, tylko za zamach terrorystyczny, przeprowadzony przez Ukraińców, którzy z kolei do winy się nie przyznali.

Za każdym razem, gdy Kijów przeprowadzi jakąś akcję dywersyjną na tyłach wroga, pojawiają się obawy o eskalację, o potencjalne użycie broni jądrowej przez Moskwę. Takie pytania musiały paść szczególnie po tym, jak Ukraińcy wprost uderzyli w rosyjski potencjał odstraszania nuklearnego. To oczywiście granie z ogniem. Czy jednak Rosja może w odpowiedzi użyć broni jądrowej? Opozycyjny rosyjski portal Meduza przekonuje, że nie ma takiego ryzyka. Z jednej strony, masowe ataki dronów rzeczywiście są w doktrynie jądrowej Moskwy uważane za powód do atomowej reakcji. Z drugiej strony, doktryna nie zobowiązuje do automatyzmu. To Putin musi zdecydować. Z trzeciej strony, nawet zgodnie z literą doktryny użycie broni jądrowej można w odpowiedzi na atak, którego skutkiem jest albo załamanie się potencjału jądrowego, albo zagrożenie dla istnienia państwa rosyjskiego. Ani jedno, ani drugie nie miało miejsca. Oczywiście władze na Kremlu nieszczególnie przejmują się praworządnością, ale Putin musiałby postradać zmysły, żeby zaryzykować użycie arsenału jądrowego w sytuacji, w której nie zmuszają go do tego ani okoliczności, ani zapisy jakiegokolwiek dokumentu.

Niemniej z pewnością akcja „Pajęczyna” takie ryzyko znacząco zwiększa. Być może Kijów chciał pomachać rosyjską szabelką atomową przed oczami Trumpa. Dać amerykańskim sojusznikom do zrozumienia, że jeśli porzucą Ukrainę, to Ukraina nie porzuci śmiałych zamiarów, które mogą doprowadzić do tego, czego Waszyngton chce uniknąć – czyli do eskalacji. Szczególnie że Amerykanie najprawdopodobniej nie tylko nie wiedzieli o akcji, lecz także nie byli z niej zadowoleni. Ponadto nawet jeśli Rosjanie nie sięgną po broń jądrową, to mogą poczuć się zachęceni do uderzeń na głębokie zaplecze

Ukrainy. Za takowe może być uznana Polska. Regularny atak Rosji na kraje NATO nie jest dziś prawdopodobny, ale już atak hybrydowy byłby bardzo możliwy.

CZERWONE LINIE

Paradoksalnie jednak operacja „Pajęczyna” nie tylko nie musi prowadzić do eskalacji, lecz także może przyczynić się do deeskalacji. Praktycznie od początku wojny Moskwa wyznaczała czerwone linie, grożąc, że ich przekroczenie wywoła krwawą zemstę. Kto dziś pamięta, że jedną z nich był atak na Krym, uważany nie tylko za część Rosji, lecz także za perłę w koronie imperium Putina? Kto dziś pamięta, jak przestrzegano przed odyskaniem włączonych do Rosji czterech obwodów ukraińskich? Kto dziś pamięta strach przed atomowym odwetem za mniejsze lub większe akty dywersji w zachodnich regionach Rosji albo za zajęcie kawałka obwodu kurskiego? Kijów po raz kolejny udowodnił, że czerwone linie są po to, żeby je przekraczać. Bo Putin w zemście nic gorszego niż dotychczas nie jest raczej w stanie Ukraińcom zrobić.

Do zemsty za nasilone ostatnio akty dywersji nawołują niezmiennie Z-bloggerzy, ta swego rodzaju prowojenna opinia publiczna. W Internecie krytykują państwo (ale nie Putina) za nieudolność w zapewnieniu bezpieczeństwa. Nawołują do zerwania rozmów z Ukrainą. Brawura Kijowa może się do tego przyczynić, tym bardziej że Putinowi nie zależy na pokoju, tylko na kapitulacji przeciwnika. Świadczy o tym projekt memorandum, ogłoszony w zeszłym tygodniu. Rosjanie żądają wycofania się ze wszystkich czterech zaanektowanych w trakcie inwazji obwodów (nawet z tych ich części, których nie zdobyli), całkowitej neutralności, demobilizacji, rezygnacji z zagranicznej pomocy wojskowej i uznania języka rosyjskiego za urzędowy. Wiedzą, że Kijów na tak zaporowe warunki nie może się zgodzić. Negocjacje nie są więc na rękę żadnej ze stron. Ostateczne zwycięstwo jednego czy drugiego też w grę nie wchodzi, pozostaje więc – korzystna dla Putina i Zełenskigo – kontynuacja wojny, ze zmiennym poziomem kontrolowanej, ale jednak eskalacji. Przy czym obaj wciąż się oglądają na Waszyngton. Jeden boi się, że Trump go opuści, drugi – że przestanie wierzyć w jego pokojowe zamiary.

Wielkie bankowe przetasowania



Jacek Przybylski

W polskim sektorze bankowym odbywa się wielkie przemeblowanie. Według ekspertów przejęcia i fuzje o wartości wielu miliardów euro w tym roku znacząco zmienią krajobraz tego rynku nie tylko nad Wisłą, lecz także w całej Europie. Kto na tym zyska, a kto straci?

Druga połowa roku powinna przynieść wzrost fuzji i przejęć w sektorze bankowym – prognozują analitycy Morgan Stanley. Zespół ekspertów w wydanym pod koniec maja raporcie wskazywał, że słabnące ryzyko recesji może stworzyć warunki dla większej aktywności w sektorze bankowym, a niepewności związane z globalną wojną celną tylko na krótko

opóźniły wzrost liczby ogłaszanych fuzji i przejęć.

„Fuzje i przejęcia w sektorze usług finansowych odrabiają straty po globalnym spowolnieniu z 2023 r. Miesięczna wartość transakcji w 2024 r. powróciła do średniej miesięcznej wartości z poprzednich pięciu lat, a łączna wartość transakcji w 2024 r. była o 30 proc. wyższa niż w 2023 r.” – to z kolei jeden z głównych wniosków rapor-

tu firmy doradczej McKinsey. Dokument ten jednoznacznie wskazuje, że spadające stopy procentowe, rosnące wymagania klientów, technologiczna inwazja fintechów i bigtechów, a także rosnąca potrzeba finansowania dużych inwestycji na kontynencie przyniosą na europejskim rynku bankowym falę fuzji oraz przejęć. Postęp technologiczny i zmieniające się warunki rynkowe mają jeszcze przyspieszyć ten proces. „Tylko kilka największych polskich banków może mieć pewność, że nie znajdzie się w karcie dań” – zauważył jednak w ubiegłym tygodniu dziennikarz ekonomiczny Maciej Samcik na portalu Subiektywnieofinansach.pl.

REKINY KONTRA PŁOTKI

W polskim sektorze finansowym zapowiadany przez ekspertów trend widać już bardzo wyraźnie. Działające nad



FOT. ABBE STOCK

Niestety, działający w Polsce bankierzy – być może rozleniwieni prostymi do uzyskania zyskami z obligacji – długo pozostawali zbyt bierni, aby móc liczyć się na Starym Kontynencie. Skutkiem tego na tle europejskich grubych ryb nad Wisłą wciąż pływają tylko bankowe płotki, które w rankingach porównujących aktywa największych banków europejskich są niemal kompletnie niewidoczne, pozostając bardzo daleko w tyle za bankami brytyjskimi, francuskimi, hiszpańskimi, szwajcarskimi, holenderskimi czy włoskimi.

Dla porównania: aktywa wiodącej w rankingu instytucji, którą jest brytyjski HSBC Holdings, wynosiły pod koniec 2024 r. ok. 3 bln (!) euro. Na drugim stopniu europejskiego podium znalazł się francuski BNP Paribas SA z aktywami na poziomie ponad 2,8 bln euro, a na trzecim również francuski Crédit Agricole Group z aktywami wynoszącymi niemal 2,7 bln euro. Tymczasem łączne aktywa całego polskiego sektora bankowego to obecnie ok. 0,8 bln euro. Nasz największy polski bank (PKO BP) ma aktywa warte ponad 0,12 bln euro, czyli ok. 25 razy mniejsze niż największy brytyjski bank i kilkanaście razy mniejsze niż największy hiszpański bank. Inna smutna obserwacja: największy polski bank jest daleko, daleko w rankingach największych banków świata, podczas gdy polska gospodarka aspiruje do bycia w gronie 20 największych globalnych gospodarek.

Oczywiście można zrzucić winę na małe oszczędności Polaków. Być może jednak politycy i prezesi polskich banków zbyt mało robią, aby tę bazę wyarczającą szybko zwiększać. To zresztą nie jest jedyny problem. Nad Wisłą mocno kuleje bowiem również akcja kredytowa. Wskaźnik długu w stosunku do PKB w przypadku gospodarstw domowych wynosi tylko ok. 20 proc., a w przypadku przedsiębiorstw zaledwie ok. 40 proc. Biorąc pod uwagę fakt, że Polacy stają się coraz zamożniejsi, potencjał wzrostu

akcji kredytowej w teorii jest ogromny. Tymczasem, jak zauważył cytowany przez „Rzeczpospolitą” Kamil Stolarski, analityk Santander BM, ostatnie lata przyniosły prawdziwe załamanie pod względem portfela kredytów do PKB.

„Na koniec 2024 r. wskaźnik ten spadł do ok. 33 proc. z 64 proc. w 2016 r., i również w tej kategorii na tle Europy wyglądamy wyjątkowo słabo” – zauważa Stolarski na łamach „Rz”. Polscy bankierzy mogą zrzucić winę na klientów, którzy nie chcą zbyt dużo inwestować i pożyczać, lub spróbować wyciągnąć wnioski z faktu, że banki w Polsce oferują np. jedne z najdroższych kredytów hipotecznych w UE.

Faktem jest, że polski sektor bankowy jest słabo rozwinięty nie tylko w stosunku do krajów zachodnich, lecz także w relacji do wielkości polskiej gospodarki. Wartość aktywów sektora bankowego we Francji jest ok. 3,3 razy większa niż wartość francuskiego PKB, w Hiszpanii ok. 2,75 razy większa od wartości krajowej gospodarki, a w Niemczech ok. 1,8 razy większa niż wartość niemieckiego PKB. W Polsce wartość aktywów sektora bankowego wciąż jest niestety niższa niż wartość polskiego produktu krajowego brutto.

CZEMPION W BUDOWIE

W poniedziałek 2 czerwca PZU i Bank Pekao podpisały memorandum o współpracy w celu przeprowadzenia potencjalnej transakcji połączenia. Zgodnie z dokumentem potencjalna transakcja – umożliwiająca osiągnięcie synergii przychodowych oraz uwolnienie nadwyżki kapitałowej sięgającej 20 mld zł – ma zostać zawarta do 30 czerwca przyszłego roku. Grupa, powstała po połączeniu PZU i Banku Pekao, może stać się jedną z największych instytucji finansowych na Starym Kontynencie. Na jej czele ma stać bank, a nie ubezpieczyciel (obecnie na czele grupy stoi PZU, a w jej skład wchodzi PZU Życie SA, Link4 TU SA, TUV PZUW, Alior Bank SA oraz Bank Pekao SA).

Jeśli ta fuzja rzeczywiście dojdzie do skutku, to powstanie największa grupa finansowa w Polsce (niestety, polski czempion nadal będzie tylko mikrusem w europejskiej skali). Co ważne, wspomniane 20 mld zł nadwyżki kapitałowej przełożą się na możliwość dodatkowego kredytowania o wartości co najmniej

Wisłą banki są zaś wyjątkowo kuszącym kąskiem. Polska gospodarka rośnie, więc i tort do podziału między bankierów staje się coraz większy.

Mimo częstych narzekań przedstawicieli tego sektora na podatek od aktywów, na przegrane procesy związane z kredytami frankowymi czy na kiepski wizerunek sektora w oczach klientów w ostatnich latach bankowcy zgarniali krociowe zyski. Tylko w 2024 r. wynik finansowy netto sektora bankowego w Polsce wyniósł według GUS aż 42 mld (!) zł. Zysk banków był jednocześnie aż o 51,9 proc. wyższy niż w roku 2023. Całkowite przychody operacyjne netto wyniosły zaś w 2024 r. 130,63 mld zł, co oznacza wzrost o 22,1 proc. rok do roku. Co więcej, sektor bankowy w Polsce zaczął wreszcie rosnąć szybciej niż polska gospodarka.

20 mld zł

NA UWOLNIENIE NADWYŻKI KAPITAŁOWEJ O TEJ WARTOŚCI MA POZWOLIĆ FUZJA PZU I PEKAO

■ 200 mld zł. To zaś umożliwi finansowanie większych inwestycji.

VELOBANK Z AMBICJAMI

Po długich negocjacjach pod koniec maja przedstawiciele CitiGroup Bank Handlowy poinformowali, że udało im się wreszcie zawrzeć wstępną umowę dotyczącą sprzedaży bankowości detalicznej banku Citi Handlowy. Amerykanie szukali chętnego na tę część swego biznesu w Polsce od dobrych kilku lat (co najmniej od wiosny 2021 r.). Ostatecznie VeloBank, a właściwie jego właściciele, kupi za ok. 530 mln zł oddziały banku Citi Handlowy wraz z klientami i pracownikami, depozytami (o wartości ponad 20 mld zł), obsługą kart kredytowych, kredytów detalicznych oraz detalicznej działalności maklerskiej. Umowa obejmuje także bankowość prywatną oraz bankowość mikroprzedsiębiorstw. Nie obejmuje z kolei portfela udzielonych przez Citi Handlowy kredytów denominowanych w walutach obcych.

Kim są wspomniani akcjonariusze VeloBanku? To amerykański fundusz inwestycyjny Cerbus Capital Management, Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju (EBOR) oraz Międzynarodowa Korporacja Finansowa (IFC).

Do finalizacji transakcji potrzebna jest jeszcze m.in. zgoda Komisji Nadzoru Finansowego. Prognozuje się więc, że dojdzie do niej w połowie roku 2026. VeloBank ma zapłacić ok. 532 mln zł, z czego stała część wynosi 432 mln zł, a zmienna będzie zależeć od wyników segmentu detalicznego i wyniesie do 100 mln zł. Nawet przy maksymalnej wycenie kwota wydaje się atrakcyjna. Zwłaszcza że po przejęciu całej bankowości detalicznej Citi Handlowego na polskim rynku wyrośnie znaczący gracz.

„Połączone doświadczenie obu instytucji będzie fundamentem do rozwoju innowacyjnej oferty i dalszego podnoszenia jakości obsługi klienta” – ogłosił VeloBank w komunikacie.

A co się stanie z dotychczasowymi klientami banku Citi Handlowy? Do finalizacji transakcji nie odczują oni żadnych zmian. Wiceprezes zarządu Citi Handlowy, Andrzej Wilk, w komunikacie do klientów banku przekonywał, że „przejsie do VeloBanku będzie płynne i auto-

Czy Erste Group osiągnie w Polsce taki sukces jak Santander czy może podzieli los Raiffeisena?

matyczne – klienci zachowają dostęp do tak samo bogatej oferty produktowej”. I zaznaczył, że „do VeloBanku przechodzą wszyscy pracownicy bankowości detalicznej Citi Handlowy we wszystkich lokalizacjach”.

To zaś oznacza, że klienci przyzwyczajeni do współpracy ze swoim opiekunem nadal powinni móc liczyć na pomoc tych samych doradców. Dotychczasowe oddziały z pewnością przejdą jednak rebranding i przyjmą kolory VeloBanku. Do połowy przyszłego roku dotychczasowi klienci banku Citi Handlowy mogą też być spokojni o posiadane karty, konta etc. Z czasem można się jednak spodziewać, że nowy właściciel będzie zachęcał do konwersji na produkty bankowe ze swojej podstawowej oferty.

AUSTRIACY ZASTĄPIĄ HISPANÓW

Mimo sprzedaży bankowości detalicznej Citigroup pozostaje nad Wisłą. Citi Handlowy pozostanie zaś spółką notowaną na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. W Polsce ze stosunkowo niewielkim Santander Consumer Bank pozostać zamierzają na razie również Hiszpanie. Duża hiszpańska grupa Santander podjęła jednak decyzję o sprzedaży dużo większego podmiotu – Santander Bank Polska – który pod względem liczby klientów, wartości udzielonych kredytów czy wartości zebranych depozytów zdołał wywalczyć sobie nad Wisłą miejsce na podium. Trzeci największy bank w Polsce do końca obecnego roku ma przejść w ręce austriackiego Erste Group Bank. Za 7 mld euro Austriacy przejmą 49 proc. udziałów w Santander Bank Polska (co da im pełną kontrolę nad tą instytucją) oraz 50 proc. akcji w Towarzystwie Funduszy Inwestycyjnych.

Erste Group Bank jest już potentatem na bankowym rynku Europy Środkowej. Austriacy od lat są obecni w Czechach, Chorwacji, Rumunii, Serbii, na Słowacji

i na Węgrzech. Wejście nowego dużego banku do Polski, czyli na kluczowy rynek w tej części Starego Kontynentu, powinno być dobrą wiadomością dla polskich klientów. Można się bowiem spodziewać, że nowy potężny gracz na rynku będzie chciał kusić dobrymi promocjami, aby przyciągnąć do siebie jak najwięcej osób. Im większa konkurencja w sektorze, tym teoretycznie lepsze powinny być warunki lokat i kredytów.

Czy Erste Group osiągnie podobny sukces co hiszpański Santander czy może podzieli los austriackiego Raiffeisena, który wycofał się z nad Wisłę? Przekonamy się w ciągu najbliższych kilku lat. Jedno jest pewne: ostatnie wielkie transakcje nad Wisłą pokazują jednak, że potencjał do przejęcia i fuzji w polskim sektorze finansowym jest bardzo duży. Już od kilkunastu miesięcy spekuluje się o wielkim powrocie do Polski Włochów i przejęciu mBanku przez włoską grupę bankową UniCredit (w marcu Europejski Bank Centralny wydał zgodę na zakup przez UniCredit do 29,9 proc. kapitału Commerzbanku, obecnego właściciela mBanku).

Dobrze byłoby, gdyby ten globalny trend do przetasowań udało się wykorzystać do wzmocnienia pozycji polskich instytucji finansowych zarówno nad Wisłą, jak i w skali całego regionu. Miejmy nadzieję, że hojnie opłacani prezesi banków w Polsce wezmą się ostro do pracy i zaczną tworzyć prawdziwe polskie czempiony. Tylko duże instytucje finansowe będą bowiem miały zdolność do kredytowania potężnych inwestycji na rynku zbrojeniowym (rozbudowa zdolności do produkcji broni i amunicji), energetycznym (budowa elektrowni atomowej) czy infrastrukturalnym (rozbudowa autostrad, budowa CPK i oczekiwanego od lat systemu Kolei Dużych Prędkości).

Źle by się stało, gdyby politycy znów próbowali sprzedawać wyborcom bajkę o tym, że „kapitał nie ma narodowości”, i w konsekwencji doprowadzili do tego, że rząd w Warszawie przez lata będzie wypłacał sówite odsetki od kredytów na realizację wielkich polskich projektów poza nasze granice. W bardzo niepewnych geopolitycznie czasach warto zadbać również o gospodarcze bezpieczeństwo Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdzie diabeł mówi: nagrywam



Jakub Wozinski

Przemysł pornograficzny w czasach dokonującej się wciąż na naszych oczach neomarksistowskiej rewolucji obyczajowej ma prawdziwe złote żniwa

FOT. ADRIEN STOCK

Gdyby globalna polityka klimatyczna była traktowana naprawdę poważnie, w pierwszej kolejności zamiast kopalni zamykano by strony z pornografią, gdyż przemysł pornograficzny emituje rocznie tyle samo dwutlenku węgla, co średniej wielkości państwo. Wielu wpływowym środowiskom bardzo zależy jednak na tym, aby dostęp do pornografii był dziecinnie prosty. Współczesny proletariot buntujący się przeciwko tradycyjnym normom obyczajowym musi mieć przecież zapewniony stały dopływ bodźców dostarczających pozorną satysfakcję.

BARDZO SZARA STREFA

Dodatkowym czynnikiem, który wydatnie zwiększył obroty najpopularniejszych serwisów pornograficznych na

całym świecie, okazała się tzw. polityka pandemiczna. Lockdowny były szkodliwe z wielu oczywistych powodów, ale stosunkowo rzadko wspomina się o tym, że znacząco przyczyniły się do wzrostu uzależnienia od pornografii. Tylko w okresie od lutego do marca 2020 r. globalny ruch w serwisach pornograficznych wzrósł aż o 11 proc.

Tak wielki skok zainteresowania materiałami pornograficznymi musiał oczywiście przełożyć się na ogromny wzrost dochodowości branży, lecz w mediach głównego nurtu najczęściej wspomina się o tym zdawkowo. Wedle różnych szacunków nawet aż 30 proc. całego światowego ruchu w Internecie związanego jest z pornografią, podobnie jak 25 proc. wyszukiwań i 35 proc. wszystkich pobieranych plików. Wiemy

dziś bardzo dużo o wszystkich innych sektorach internetowego „przemysłu uwagi”, takich jak media społecznościowe czy platformy streamingowe, ale przemysł pornograficzny spowija dość szczelna aura tajemniczości. Pornografia pożera aż trzecią część uwagi całego świata w Internecie, ale politycy i dziennikarze zachowują się najczęściej tak, jakby jej w ogóle nie było.

Największe firmy pornograficzne nie są notowane na giełdach, ponieważ w biznesie, który jest tak mocno skażony przestępstwami kryminalnymi, nikomu nie zależy na transparentności. Wiele osób korzystających z pornografii bardzo chciałoby widzieć w niej rozrywkę tylko dla świadomych wszelkich zagrożeń dorosłych, lecz w praktyce całe przedsięwzięcie wiąże się z niezliczonymi

przypadkami pedofilii, handlu ludźmi, stręczycielstwa czy gwałtów.

„ETYCZNI PARTNERZY”

Najprawdopodobniej właśnie z tego powodu głównym właścicielem największej na świecie firmy pornograficznej został przed dwoma laty specjalizujący się w prowadzeniu spraw związanych z przestępczością seksualną prawnik Solomon Friedman. Rezydujący w Montrealu adwokat założył w 2022 r. spółkę kapitałową o kuriozalnej nazwie Ethical Capital Partners, która zaledwie rok później nabyła spółkę MindGeek, do której należały jedne z najbardziej popularnych serwisów pornograficznych na świecie, m.in. Pornhub, RedTube czy też YouPorn.

Transakcja z marca 2023 r. od samego początku wzbudzała wiele wątpliwości. W gronie nowych właścicieli największego na świecie biznesu pornograficznego znaleźli się bowiem m.in. emerytowany szef kanadyjskiej policji konnej Derek Ogden, była rzeczniczka Partii Liberalnej Sarah Bain czy też zajmujący się handlem konopiami indyjskimi Rocco Meliambro. W oczywisty sposób nie stać byłoby ich na zakup spółki o zasięgu globalnym generującej roczny przychód na poziomie pół miliarda dolarów. Do dziś nie udało się ustalić, jaki dokładnie podmiot pożyczyl Ethical Capital Partners środki na przejęcie MindGeek. Istnieje więc wiele powodów, by zakładać, że Friedman i jego wspólnicy stanowią zaledwie ekspozyturę dużo potężniejszych środowisk, którym bardzo zależy na zachowaniu anonimowości.

Na korzyść tej tezy świadczy także to, że już dziś płatności w głównych serwisach pornograficznych (m.in. na Pornhub) są realizowane poprzez banki i serwisy płatnościowe z siedzibą na Karaibach. Największe światowe firmy płatnościowe, takie jak PayPal, Visa czy Mastercard, na szczęście ograniczają lub całkowicie uniemożliwiają realizowanie transakcji na stronach pornograficznych, na co znaczny wpływ miały głośne skandale pedofilskie z udziałem branży w ostatnich latach. Między innymi w 2020 r. „New York Times” przedstawił szeroko na swoich łamach liczne przypadki praktyk kryminalnych w serwisie Pornhub, choć tak naprawdę rozmaite chrześcijańskie organizacje od lat były na

Największe światowe firmy płatnościowe, takie jak PayPal, Visa czy Mastercard, na szczęście ograniczają lub całkowicie uniemożliwiają realizowanie transakcji na stronach pornograficznych, na co znaczny wpływ miały głośne skandale pedofilskie z udziałem branży w ostatnich latach

alarm, że w branży dochodzi do rażących nadużyć.

Jedną z przyczyn sprzedaży największej na świecie firmy pornograficznej MindGeek były właśnie narastające problemy prawne. Solomon Friedman i jego wspólnicy zdecydowali nawet w sierpniu 2023 r. o zmianie nazwy firmy na Aylo, chcąc dzięki temu wyraźnie odciąć się od wcześniejszych kontrowersji. W ramach nowego otwarcia zadeklarowali podporządkowanie zarządzanej przez siebie platformy zasadom inkluzji i budowaniu większej wiarygodności. Himalajami zakłamania i hipokryzji mogło się wydawać już samo nazwanie spółki przejmującej pornograficzne imperium mianem „Etycznych Partnerów Kapitałowych”, ale – jak widać – Solomon Friedman odkrył jeszcze wyższe pokłady fałszu.

NOWE POWOŁANIE RABINA

Powierzenie zarządzania pornograficznej korporacji prawnikowi specjalizującemu się w przestępstwach seksualnych jest w pewnym sensie logiczne. Cały sens funkcjonowania branży opiera się przecież na ciągłym balansowaniu na granicy niezliczonych wykroczeń. Solomon Friedman skrywa jednak w swoim życiorysie jeszcze jeden obszar, który zapewnia mu swego rodzaju nietykalność.

Jak sam przyznał w długiej rozmowie z magazynem „Time”, w młodym wieku wyjechał do Izraela w celu odbycia studiów rabinicznych. Miał już wtedy żonę, z którą posiada obecnie troje dzieci, lecz pomimo tego, że sam był jednym z 10 dzieci ortodoksyjnego Żyda z Ottawy, ostatecznie nie zdecydował się na karierę duchownego. W pewnym momencie postanowił wrócić do Kanady i odbywszy praktyki u boku reprezentującego mniejszość żydowską sędziego Sądu Najwyższego, Morrisa Fisha, poświęcił się prawu kryminalnemu. W wypowiedziach

medialnych niedoszły rabin, a obecnie lider przemysłu pornograficznego, przekonuje, że jego unikalne doświadczenie pozwala mu zarządzać firmą z pożytkiem dla wszystkich zainteresowanych.

Wśród nowych pomysłów Solomona Friedmana na „uzdrowienie” branży pornograficznej pojawia się m.in. walka z anonimowością w serwisach internetowych. Wszystkie osoby pragnące oglądać udostępniane materiały, a także zamieszczające swoje własne nagrania docelowo mają być weryfikowane na podstawie dowodów tożsamości. Właściciel Ethical Capital Partners deklaruje także, że nagrania umieszczane w serwisach należących do spółki będą bardziej weryfikowane pod względem zawartości. Dość często wskazuje się przy tym, że aby realnie przeciwdziałać największym nadużyciom, właściciele Pornhub czy YouPorn musieliby zatrudnić prawdziwą armię weryfikatorów odpowiadającą rozmiarami tym, które utrzymują YouTube czy Google.

MILIARDOWA DYWIDENDA

Drugim największym podmiotem po Aylo (wcześniej MindGeeks) działającym na rynku porno jest OnlyFans. Wyceńniana na 1 mld dol. firma została założona w 2016 r. przez Brytyjczyka Tima Stokely’ego, lecz po dwóch latach nabył ją urodzony w Odessie amerykański obywatel żydowskiego pochodzenia Leonid Radvinsky. Rodzice drugiego najważniejszego magnata pornografii na świecie przenieśli się do Chicago, gdy Leonid był jeszcze dzieckiem. W Wikipedii znaleźć można informację, że swoją przygodę z biznesem zaczynał jako autor serwisów ze zhakowanymi hasłami do portali pornograficznych. W 2004 r. założył serwis MyFreeCams oferujący streaming z zawartością tylko dla osób dorosłych. Od lat zmagał się w związku z tym z procesami karnymi, lecz zarobione środki inwestował w nowe przedsięwzięcia, m.in. w fun-

dusz kapitałowy o podwyższonym ryzyku o nazwie Leo, który angażował się w firmy technologiczne z Izraela.

Prawdziwą żyłą złota dla Radvinsky'ego okazała się jednak dopiero platforma OnlyFans, która funkcjonuje wedle modelu opartego na przekazywaniu środków od widzów bezpośrednio do twórców. Właściciel pornoserwisu oddaje klientom większą decyzyjność w zakresie podziału pieniędzy, ale za to może liczyć na pokąźną marżę. Według różnych danych urodzony w Odessie przedsiębiorca wypłacił sobie od początku istnienia OnlyFans nawet 1 mld dol. dywidendy. Od początku rosyjskiej agresji Radvinsky stara się także wspierać wysiłek wojenny swojej walczącej ojczyzny, ale oficjalnie wsparcie nie przekroczyło jak dotąd 5 mln dol.

Teoretycznie platforma OnlyFans oferuje także inne rozrywki niż tylko pornografię, ale gdy w 2021 r. niektóre banki wstrzymały serwisowi możliwość korzystania z ich systemów płatności, a Radvinsky zadeklarował, że całkowicie usunie pornografię ze swojego serwisu, branża „sex workerów” gorąco zaprotestowała. Wsparły ją w tym lewicowe media z całego świata ukazujące całe zajście jako przejaw rażącej dyskryminacji.

Branża pornograficzna, mimo że nie jest notowana na giełdach, wykazuje charakterystykę właściwą dla wielu innych branż zdominowanych przez wielkie korporacje. Dwa największe podmioty, czyli Aylo i OnlyFans, kontrolują nawet ok. 70 proc. całego globalnego rynku pornograficznego. Podobna dominacja dwóch lub trzech właścicieli występuje gdzie indziej tylko w takich obszarach, jak usługi chmurowe czy wyszukiwarki internetowe. Stosunkowo wąskie i nie do końca dające się zidentyfikować grono czerpie więc znaczne korzyści z ogromnej w skali aktywności znacznej części ludzkości. Choć nie budzi to żadnego współczucia, to wielcy gracze na przestrzeni lat skutecznie wyeliminowali lokalną konkurencję na całym świecie, zmuszając ją do założenia kont na swoich platformach.

OGRANICZENIA PILNIE POTRZEBNE

Grzechy i ogromne nadużycia branży pornograficznej pozostają ewidentne, lecz pomimo tego od wielu lat wprowadza-

nie choćby ograniczeń w dostępie do serwisów porno dla nieletnich napotyka wielki opór polityków. W czasach rządów przedstawiającej się jako formacja konserwatywna „dobrej zmiany” nie doszło w tym względzie do żadnych istotnych zmian. W 2020 r. serwis Pornhub pokazał dane, zgodnie z którymi Polska znajdowała się na 14. miejscu na świecie pod względem największej liczby odwiedzin, choć pod względem liczby ludności znajdujemy się dopiero na 38. miejscu. Nawet Indie znacząco ograniczyły w 2018 r. dostęp do Pornhub, lecz nie rządzona przez rzekomych konserwatyistów Polska.

Dopiero za sprawą Instytutu Ordo Iuris powstał kompleksowy projekt ustawy „Stop narkotykowi pornografii”, pod którym do końca ubiegłego roku

i zasobów, które mogłyby zostać zużyte do pożytecznych celów.

Warto przy tym pamiętać, że branża pornograficzna to nie tylko skrajnie niemoralni właściciele oraz ogrom ludzkiej krzywdy i poniżenia. Wielcy gracze dominujący na rynku dostarczają zaledwie platformy, dzięki której swoje własne zyski generują niezliczone agencje reklamowe, firmy korzystające z ich usług oraz liczne środowiska mafijne. Szacuje się, że cała światowa branża pornograficzna wypracowuje rocznie przychód rzędu nawet 100 mld dol. Tak obfity tort do podziału sprawia, że świat pornografii stał się przedmiotem zawziętej rywalizacji rozmaitych grup przestępczych, o czym można się było dowiedzieć m.in. za sprawą opisywanych w ostatnich latach skandali z udziałem

Grzechy i ogromne nadużycia branży pornograficznej pozostają ewidentne, lecz pomimo tego od wielu lat wprowadzenie choćby ograniczeń w dostępie do serwisów porno dla nieletnich napotyka wielki opór polityków

podpisało się 212 tys. osób. Przewiduje on wprowadzenie mechanizmów weryfikujących wiek użytkowników serwisów pornograficznych, tak aby były one niedostępne dla dzieci. Na razie efekty inicjatywy antypornograficznej są umiarkowanie obiecujące, ponieważ w maju Sejm skierował projekt ustawy do prac w komisjach.

Dokonując przeglądu spraw, które stanowią jedne z największych problemów i wyzwań współczesności, nie sposób nie dostrzec tego, że pornografia stanowi wspólny mianownik wielu z nich. Widać to choćby na przykładzie katastrofy demograficznej, która wzmaga się (nie tylko w Polsce) tym bardziej, im większy ruch panuje w serwisach pornograficznych. Narastające problemy psychologiczne i kulturowe młodych pokoleń najprawdopodobniej nie wystąpiłyby nigdy w takich rozmiarach, gdyby nie dopuszczony przez polskie prawo ultraliberalny stosunek do dostępności treści pornograficznych. Osobna kwestia, o której mowa była już na samym wstępie, to kolosalne zużycie energii

aktorów będących tak naprawdę członkami grup specjalizujących się w handlu żywym towarem.

Branża pornograficzna nie szczędzi niestety pieniędzy na lobbing i skutecznie powstrzymuje inicjatywy ustawodawcze uderzające w jej zyski. W Brukseli aktywne jest m.in. Free Speech Coalition Europe, w której skład wchodzi szerokie grono aktorów i producentów filmów porno, a także pracowników naukowych i lewicowych działaczy. Wbrew nazwie głównym celem istnienia tej organizacji nie jest wcale walka o wolność słowa, lecz agresywna promocja tzw. edukacji seksualnej, która już wkrótce może się stać elementem przymusowego nauczania w polskich szkołach. Branża pornograficzna poprzez tzw. edukację seksualną dąży niezmiennie do normalizacji kontaktu niepełnoletnich z treściami pornograficznymi oraz seksualizacji społeczeństwa. I choćby z tego powodu trzeba uczynić wszystko, aby polskie dzieci nie stały się ofiarą potężnej i skorumpowanej grupy interesów.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska to nie jest kraj dla...

Doradczo-audytorska firma Grand Thornton od ponad 10 lat monitoruje objętość wydawanego w Polsce prawa i – trzeba przyznać – ma w związku z tym ręce pełne roboty. Przez ten czas w naszym kraju weszło bowiem w życie aż niemal 250 tys. stron nowych przepisów; a 20 najważniejszych ustaw, które regulują podstawy działalności gospodarczej, zmieniło swoje brzmienie aż 1189 razy, „przy okazji” powiększając swą objętość o 53 proc. – wynika z publikowanych przez Grant Thornton co roku „Barometrów legislacyjnych”.

A i wcześniej liczba „produkowanych” przez polskich polityków i urzędników stron aktów prawnych rosła w oszałamiającym tempie, lawinowo. O ile bowiem w ciągu pięciu pierwszych lat III RP, w latach 1989–1994, urosła o „zaledwie” 8596 stron, o tyle potem, w kolejnych dekadach, przyrastała skokowo. W latach 1994–2003 – o 81 030 stron, w latach 2004–2013 – o 169 428 stron, a w latach 2014–2023 – już aż o 248 755, czyli właśnie o niemal 250 tys., niemal ćwierć miliona stron.

Jak wiadomo, w ciągu ostatniej dekady – 2014–2023 – także w tej dziedzinie rządzący Polską PiS (wraz z Suwerenną Polską) ścigał się w zasadzie wyłącznie sam ze sobą. I starał się, jak tylko mógł, sobie nie ulec, wszelako – to prawda – własnego rekordu z 2016 r., kiedy to „wyprodukował” aż nieco ponad 35

tys. stron aktów prawnych, już do końca rządów nie udało mu się pobić, choć na finiszu, czyli w 2023 r., gdy „urobek” rządu PiS sięgnął 34 405 stron, był tego celu naprawdę blisko.

Co taka liczba stron nowych i znowelizowanych aktów prawnych, które każdego roku, miesiąca, tygodnia i dnia wprost zalewają nasze państwo, oznacza dla obywateli Polski, w tym zwłaszcza dla przedsiębiorców, którzy próbują uratować swe firmy, przedzierając się przez tę dżungłę przepisów, nie trzeba dodawać. Tylko w 2023 r. – na finał swych ośmioletnich rządów – PiS zarzucił przedsiębiorców 553 nowymi przepisami, a w przypadku aż 1051 zmienił ich treść. Nie bez powodu więc biegunka legislacyjna, czyli niestabilność prawnego otoczenia biznesu, nie od dziś wymieniana jest wśród głównych przeszkód w prowadzeniu w Polsce działalności gospodarczej – zwłaszcza przez właścicieli firm małych, którzy przeważnie muszą sobie radzić sami.

A gdy dodać do tego wciąż skracane przez rządzących polityków vacatio legis – w 2011 r. wynosiło ono przeciętnie 53 dni, w 2021 r. – 35 dni, a w 2023 r. już tylko 31 dni – to jeszcze lepiej można zrozumieć, dlaczego w 2023 r. zawieszono w Polsce działalność aż 180 tys. firm, podczas gdy w 2015 r. – u progu rządów PiS – tylko 50 tys. A zawieszenie dla 99 proc. z nich oznacza po prostu zamknięcie. Tak, Polska to nie jest kraj dla przedsiębiorczych ludzi. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zielony Ład trwa

Wyrok w Trybunale Konstytucyjnym w sprawie zgodności unijnego systemu ETS (system handlu emisjami CO₂) z polską ustawą zasadniczą miał zapadnąć 27 maja. Nie zapadł, bo niespodziewanie trybunał otrzymał pismo z Kancelarii Prezydenta, w którym ta domagała się więcej czasu na przygotowanie swojego stanowiska (prezydent jest w takiej sytuacji z mocy prawa uczestnikiem postępowania). Wydanie orzeczenia zostało zatem przełożone na 10 czerwca.

Za progiem jest system ETS2, mający objąć cały transport (będzie to istotny podatek doliczany do ceny paliwa) i całe ogrzewanie

Wyrok zgodny z argumentami z wniosku, który składał jeszcze w 2023 r. prokurator generalny Zbigniew Ziobro, nie oznaczałby rewolucji. Zgodnie z doktryną sformułowaną w TK jeszcze za czasów prof. Ewy Łętowskiej jeśli trybunał stwierdza niezgodność prawa UE z polską konstytucją, to możliwe są trzy wyjścia: zmiana konstytucji, zmiana ustawodawstwa unijnego lub wystąpienie z UE. Żadne

z tych rozwiązań nie jest oczywiście realne w krótkim okresie, choć na to ostatnie warto zwrócić uwagę, bo wyrok niekorzystny dla systemu ETS da poważny argument zwolenników opuszczenia przez Polskę wspólnoty.

Faktem jest, że ETS po prostu niszczy sektor, w którym obowiązuje. Aby kupić uprawnienia do emisji (w tej chwili ich giełdowa cena to ok. 70 euro za tonę, a rekordowa, mniej więcej dwa lata temu, przekraczała 100 euro), wiele polskich przedsiębiorstw, w tym dostarczających Polakom ciepło i prąd, musi się zadłużyć, a deficyt całego sektora sięga obecnie 10 proc. To znaczy, że system ETS zamiast stymulować – jak głosiły jego założenia – transformację energetyczną, działa wręcz odwrotnie: wysysa pieniądze z firm, które ledwo mają fundusze na bieżącą działalność. A cóż dopiero mówić o kosztownych inwestycjach?

Tymczasem za progiem – od 2027 r. – jest system ETS2, mający objąć cały transport (w praktyce będzie to istotny podatek doliczany do ceny paliwa, w konsekwencji podnoszący wszystkie ceny) i całe ogrzewanie (nie tylko zatem ciepło sieciowe, lecz także indywidualne). Wbrew słowom dwugodzinnego prezydenta Trzaskowskiego Zielony Ład trwa i zamierza nas przysusić znacznie mocniej niż dotychczas. ©©



VOLVO XC40 (B4)

W rankingach sprzedaży „szwedzkiej” marki wciąż królują popularne SUV-y. I chociaż najwięcej klientów przyciąga wciąż legendarny model XC60, to na drugim miejscu podium wśród samochodów ze znacznym Volvo znajduje się jego mniejszy brat: XC40. Model ten całkiem nieźle wypada też w zestawieniach uwzględniających sprzedaż wszystkich modeli dostępnych w polskich salonach, regularnie zajmując miejsce w TOP 20.

Co takiego w tym kompaktowym SUV-ie widzą kupujący? Aby się przekonać, do redakcyjnego testu tym razem wzięliśmy wersję B4 Mild-Hybrid, czyli samochód z dwulitrowym silnikiem benzynowym (o mocy 197 KM), który współpra-

cjuje z instalacją tzw. miękkiej hybrydy (silniczek elektryczny ma moc 14 KM). Miękka hybryda to świetne rozwiązanie dla tych, którzy nie są ekologicznymi radykałami i chociaż chcą zużywać mniej paliwa, to ani myślą rezygnować w tym celu z osiągnięć, zasięgu oraz poczucia wolności, które wciąż daje posiadanie auta spalinowego. W tym przypadku silnik elektryczny wspomaga jedynie jednostkę spalinową (np. podczas gwałtownego przyspieszania). Wykorzystuje w tym celu energię zgromadzoną w akumulatorze 48 V.

Maksymalny moment obrotowy takiego napędu wynosi 300 Nm. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje zaś 7,6 s. Auto jest dość dynamiczne również w trasie, choć trzeba pamiętać, że zawsze

po docisnięciu pedału gazu XC40 ma taki krótki moment zawahania, po którym już grzecznie przyspiesza.

Średnie spalanie podczas testu oscylowało w okolicach 7,5 l/100 km. Było więc wyższe, niż podaje producent (6,6 l/100 km), ale jak na niewielkiego SUV-a to nadal dość przyzwoity wynik.

Z zewnątrz auto o długości 444 cm prezentuje się okazale, zwłaszcza na 21-calowych felgach. XC40 jest wysoki (165,2 cm) oraz stosunkowo wąski (187,3 cm), co sprawia, że bardzo dobrze radzi sobie na wąskich miejskich uliczkach. Mniejszym SUV-em łatwiej jest też znaleźć miejsce parkingowe.

Kabina została wykończona tak, jak przystało na auto aspirującego do klasy premium. Jest konserwatywnie i elegancko. Wnętrze – jak na wielkość samego auta – oferuje stosunkowo dużo przestrzeni dla pasażerów i wielu funkcjonalnych schowków. Niestety, klimatyzację nadal obsługuje się z pozycji wyświetlacza systemu multimedialnego.

To, co wyróżnia Volvo na tle niektórych konkurentów, to dobry filtr powietrza oraz wskaźnik jakości powietrza wewnątrz oraz na zewnątrz – docenia się to zwłaszcza wtedy, gdy jedzie się za jakimś „kopciuchem” lub przejeżdża przez wyjątkowo zanieczyszczony fragment miasta. Niestety, bagażnik nie należy do największych – ma zaledwie 443 l pojemności.

Najtańsze Volvo XC40 (w wersji B3 i z wyposażeniem Essential) kosztuje 176,9 tys. zł. XC40 B4 w wersji wyposażenia Core do już wydatek co najmniej 201,9 tys. zł. ☺

REALME GT 7T

Potężna bateria, intrygujące wzornictwo, dobry ekran oraz wysoka odporność na wodę i kurz – to największe zalety najnowszego smartfona ze średniej półki chińskiej marki realme, który pod koniec maja miał swą globalną premierę.

Model występuje w kolorze czarnym i niebieskim, ale mnie najbardziej do gustu przypadł wariant żółtej „wyścigówki” (Racing Yellow) z fajną w dotyku miękką wegańską skórą (wiem, jak to brzmi, ale co ja poradzę, że ten model naprawdę świetnie trzyma się w ręku, a do tego nie zbiera odcisków palców). Żółta wersja najlepiej wyróżnia też testowany model od tysięcy konkurencyjnych smartfonów.

Ważący 205 g smartfon wyposażony jest w wyświetlacz AMOLED o przekątnej 6,78 cala, rozdzielczości Full HD+ (2800 x 1280 pikseli), częstotliwości odświeżania na poziomie 120 Hz oraz wysokiej jasności maksymalnej (według producenta jasność szczytowa wynosi aż 6000 nitów). Na pochwałę zasługuje również odporność na wodę i kurz potwierdzona certyfikatem IP69.

Sercem urządzenia jest procesor MediaTek Dimensity 8400-MAX, wspierany przez 12 GB pamięci RAM LPDDR5x. Nie jest to flagowy układ. Pod względem wydajności i płynności działania realme GT 7T powinien być jednak wystarczający dla większości użytkowników.



Smartfon został uzbrojony w algorytmy sztucznej inteligencji, które ułatwiają m.in. robienie dobrych zdjęć lub szybkie wyczyszczenie niepotrzebnych obiektów, odbłasków etc. Za jakość fotografii odpowiedzialne są aparat główny 50 MP oraz ultraszerokokątny obiektyw (8 MP). Efekt? Zdjęcia są poprawne, ale nie jest to model dla zagorzałych miłośników smartfonowej fotografii.

Ogromnym plusem testowanego modelu jest gigantyczna bateria (o pojemności aż 7000 mAh), która przeciętnemu użytkownikowi powinna wystarczyć na dwa, a może i na trzy dni pracy na jednym ładowaniu. Smartfon obsługuje też szybkie ładowanie z mocą 120 W. Uzupełnienie energii od zera do niemal 50 proc. trwa więc zaledwie kwadrans, a „tankowanie” do pełna ok. 40 minut.

Wady? Brakuje wsparcia dla eSIM czy Wi-Fi 7, a także ładowania bezprzewodowego i technologii LTPO. Osobno trzeba też dokupić ładowarkę. Podczas bardzo intensywnego użytkowania pojawia się zaś throttling.

Za wersję z 256 GB pamięci na dane trzeba zapłacić 2799 zł. Drogo. Ten naprawdę fajny supersredniak warto będzie go kupić, gdy cena spadnie już w okolice 2 tys. zł. ☺

Śladami św. Pawła



FOT. ANDRZEJ STOK



Piotr Gociek

W temacie „św. Paweł a Kreta” w dużej mierze zdani jesteśmy na spekulacje. Wydaje się bowiem, że przed męczeńską śmiercią apostoł nie tylko zdążył namaścić Tytusa na pasterza chrześcijan w Gortynie, lecz także sam kolejny raz odwiedził wyspę

Piękne Przystanie są piękne, ale w kwestii przygód św. Pawła wśród maleńki kościółek położony kilka kilometrów na wschód od Agia Roumeli.

Już wyjaśniam. Piękne Przystanie, czyli Kali Limenes (w innym przekładzie Biblii: Dobre Porty), to miejsce, gdzie przybił do brzegów Krety św. Paweł w drodze do Rzymu.

Zapisuje św. Łukasz w Dziejach Apostolskich: „Kiedy nasz odjazd do Italii został postanowiony, oddano Pawła razem z innymi więźniami setnikowi cesarskiej kohorty” (Dz 27, 1). Droga wiodła wzdłuż Cypru, potem do Myry (obecnie Demre w tureckiej prowincji Antalya), gdzie podróżujący przesiedli

się na „okręt aleksandryjski, płynący do Italii”. Wiatry były przeciwne, żegluga żmudna, wreszcie „ponieważ wiatr nie pozwalał nam przybić do brzegu, popłynęliśmy wzdłuż Krety w kierunku Salmone. I płynąc z trudem wzdłuż jej brzegów, przybiliśmy do pewnego miejsca, zwanego Dobre Porty, blisko którego było miasto Lasaia” (Dz 27, 8).

W DRODZE DO RZYMU

Jeśli wierzyć XIX-wiecznym słownikom rzymskiej geografii oraz domysłom archeologów (pewności nie mamy), to miasto Lasaia znajduje się niespełna 4 km na wschód od zatoki Dobre Porty czy też Piękne Przystanie, gdzie przybić miał statek ze św. Pawłem na pokładzie. Ze wzgórze, na którym zachowały się bardzo nieliczne ruiny, widać wysepkę Trafos. Kali Limenes to maleńka miejscowość, w której prócz jednego kampera nie widziałem żadnych turystów. Dotarłem tu autostopem z Kamilari, gdzie znalazłem się po opuszczeniu autobusu do Matali. Droga do ruin miasta Lasaia zajęła mi godzinę marszu wzdłuż pustawej drogi.

Kłopot z Lasaia polega na tym, że prócz wzmianki w Biblii niemal nic o niej nie wiadomo. Gdy spojrzymy jednak na wspomnianą już wcześniej późnorzymską mapę Tabula Peutingeriana, znajdziemy tam miasto Lisia, połączone drogą z Gortyną. Według greckich badaczy dystans wynosi 24 km. To by się zgadzało.

Fakt, że miasto odsunięte jest od portowej zatoki, to rzecz zupełnie naturalna, tak właśnie drzewiej budowano: mieszkano tam, gdzie teren był obronny i wysoki, łatwy do ufortyfikowania. W kwestii portu natomiast: dla rybaków, kupców i flot wojennych najważniejsze było miejsce osłonięte od wichrów, o łagodnym brzegu. Zatoczka Kali Limenes doskonale spełnia swoje zadanie. Otaczają ją strome wzgórza, cypel (na którym dziś stoi poświęcona św. Pawłowi kaplica) chroni ją od zachodnich wiatrów.

Załoga aleksandryjskiego statku zmierzającego do Italii nie chciała tam jednak zimować, choć apostoł przestrzegał, że dalsza „żegluga zagraża niebezpieczeństwem i wielką szkodą”. Wszystko to działo się na przełomie października i listopada roku 60 n.e.

Patrząc na Kali Limenes. Może właściciel statku chciał jak najszybciej wykonać zadanie i ruszyć po następny zarobek? A może po prostu w tej niewielkiej zatoczce schronienia szukało już owej jesieni zbyt wiele innych statków? Tak czy inaczej, żeglarze ruszyli w dalszą drogę, kierując się ku portowi Feniks (współczesne Loutro).

Pogoda była fatalna. „Gdy okręt został porwany i nie mógł stawić czoła wiatrowi, zdaliśmy się na jego łaskę i poniosły nas fale” – czytamy w Dziejach Apostolskich. Po wielu trudach żeglarze dotarli na Maltę, a trzy miesiące później – do Rzymu. Zanim to jednak nastąpiło, wiele jeszcze wycier-

pieli w niebezpiecznej podróży. Święty Paweł pocieszał załogę: „Radzę wam być dobrej myśli, bo nikt z was nie zginie, tylko okręt. Tej nocy ukazał mi się anioł Boga, do którego należę i któremu służę, i powiedział: »Nie bój się, Pawle, musisz stanąć przed Cezarem i Bóg podarował ci wszystkich, którzy płyną razem z tobą«. Bądźcie więc dobrej myśli, bo ufam Bogu, że będzie tak, jak mi powiedział” (Dz 27, 21–26).

I tak też się stało.

ŚWIĘTY PAWEŁ A KRETA

Od tego momentu w temacie „św. Paweł a Kreta” zdani jesteśmy na spekulacje. Wydaje się bowiem, że przed męczenną śmiercią apostoła nie tylko zdążył namaścić Tytusa na pasterza chrześcijan w Gortynie, lecz także sam kolejny raz odwiedził wyspę. Kłopot w tym, że istnieje spór, który trudno rozstrzygnąć z braku wiarygodnych źródeł: czy po podróży z Krety do Rzymu św. Paweł pozostał już w stolicy imperium aż do chwili śmierci w roku 64 lub 65 n.e. czy też udało mu się jeszcze wyruszyć w kolejne podróże, zanim do Rzymu (gdzie został uwieczony) powrócił. Jeśli przyjmujemy za prawdziwą drugą wersję, to – jak pisze ks. prof. Waldemar Chrostowski („Święty Paweł. Biografia. Na rozdrożach synagogi i Kościoła”, Fron-da 2021) – po roku 63 n.e. Paweł „odbył podróż na Wschód, do Efezu, gdzie ustanowił Tymoteusza biskupem tamtejszej wspólnoty chrześcijańskiej (1 Tm 1, 3), oraz do Macedonii i Grecji, a także na Kretę, gdzie powierzył Tytusowi urząd biskupa (Tt 1, 5)”. Dowodem miałyby być wspomniane Listy pasterskie, z których na potrzeby tej opowieści interesuje nas bardziej ten drugi – List do Tytusa.

Pisze w nim Paweł do Tytusa: „W tym celu zostawiłem cię na Krecie, byś zaległe sprawy należycie załatwił i ustanowił w każdym mieście prezbitarów” (Tt 1, 5). Z tego samego listu pochodzi fragment, w którym św. Paweł mało przychylnie wypowiada się o Kreteńczykach, powołując się przy tym na opinie poety Epimenidesa z Knossos: „Kreteńczycy zawsze kłamcy, złe bestie, brzuchy leniwe”. I dalej: „Twierdzą, że znają Boga, uczynkami zaś temu przeczą, będąc ludźmi obrzydliwymi, zbuntowanymi i niezdolnymi do żadnego dobrego czynu”.

Zdaniem prof. Chrostowskiego chodziło tak naprawdę nie o negatywne stereotypy

na temat charakteru Kreteńczyków, lecz o przypomnienie, że są na wyspie chrześcijanie, którzy błędzą w wierze. W ustach św. Pawła surowa ocena ma najprawdopodobniej rzeczywiste takie znaczenie. Ale w jakim kontekście mógł go używać sam autor, czyli Epimenides?

Jest to postać wielce tajemnicza, żadne z jego dzieł nie zachowało się w całości do naszych czasów. Pozostały jedynie drobne fragmenty zanotowane przez innych autorów starożytnych. Wiemy, że to kapłan, filozof i poeta żyjący na przełomie wieków VII i VI przed Chrystusem. Urodził się na Krecie, w Fajstos lub w Knossos. Ponieważ w tej sytuacji każda teoria jest równie dobra (bo nie do udowodnienia), pozwolę sobie na własną: moim zdaniem w oryginale słowa Epimenidesa są po prostu satyrą. Coś jak facecje, które znaleźć możemy w uroczym zbiorze humoru starożytnych „Philogelos albo śmieszek”, gdzie oprócz żartów z obżartuchów (chamstwo!), zazdrośników, skąpców czy też nadmiernie lubieżnych kobiet znajdujemy też kpiny z mieszkańców miast Kyme czy Sydon. Oto przykład: „Kiedy Kymejczyk pływał, zaczął padać deszcz. Żeby się nie zamoczyć, dał nurka pod wodę”. I drugi: „Sydoński mędrzec przyszedłszy do łaźni zaraz po jej otwarciu i nie zastawszy wewnątrz nikogo, mówi do swoich sług: – Jak widzę, łaźnia nieczynna!”.

Tak czy inaczej, wracając do Krety i poleceń św. Pawła: Tytus podjął się zleconego zadania. Zmarł najprawdopodobniej w roku 96, śmiercią męczenną. Relikwie z Krety trafiły do Wenecji, potem, już w XX w., do Heraklionu. Wiemy, że nie był Żydem, nie mamy pewności, czy rzeczywiście był Grekiem. Wedle jednej z wersji jego ojciec był rzymskim prokonsulem z Gortyny. Tak czy inaczej, Tytus jest patronem Krety i łatwo tu znaleźć miejsca, gdzie został upamiętniony (choćby w Gortynie – ale o tym w innym rozdziale).

ZAPOMNIANA POWSZECHNOŚĆ

Wróćmy do św. Pawła. W mojej głowie postać ta jest – w kontekście kreteńskim – nierozzerwalnie związana nie z Dobrymi Portami, lecz z małym kościółkiem stojącym tuż nad brzegiem morza, o mnie



PIOTR GOĆKA
„TAJEMNICZA
KRETA. WOLNOŚĆ,
HISTORIA
LEGENDA”
FRONDA 2025

więcej dwie godziny marszu od Agia Roumeli. Warto zrobić sobie do niego wycieczkę z Agia Roumeli. Wynagrodzeni zostanie po drodze kapitalnymi widokami, a u celu – odświeżając kąpielą w czystej wodzie. Rozważania na temat apostoła nie są obowiązkowe, ja jednak, leżąc na kamykach u stóp kościoła Agios Pavlos, myślałem: nie mamy żadnych dowodów na to, że stapał po tym brzegu. Ale... nie mamy też żadnych stuprocentowych dowodów na to, że nie stapał. A to już coś.

Popkultura skróciła nasz ogląd historii chrześcijaństwa. Mamy narodziny i śmierć Zbawiciela, potem akty wiary i męczeństwa w wykonaniu chrześcijan w Rzymie Nerona, chwilę potem iskrę kultury ocalają benedyktynscy mnisi, potem jest inkwizycja itd. Pamiętamy Ziemię Świętą i pielgrzymujemy do Rzymu. Kpił z tego celnie Jan Józef Szczepański w książce „Nasze nie nasze”. „Przecież rewolucja [chrześcijańska – przyp. P.G.] dokonała się w świecie greckim [świat rzymski był wewnętrznie skolonizowany przez kulturę grecką] i po grecku [...]”. Gdy Święty Paweł przemawiał w Tesalonikach do ludu, mówił najprawdopodobniej po grecku do zhellenizowanego tłumu Syryjczyków, Żydów, Egipcjan, a zapewne i północnych barbarzyńców, służących w rzymskich regionach”.

Żadne nowe multi-kulti nie jest nam potrzebne, zawsze w nim żyliśmy, w Kościele, którego powszechność była niegdyś oczywista. Dziś przypomnianie o tym fakcie budzi groźne nienawistne pomruki. A przecież „nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie”. Nie, to nie Julian Tuwim, jak niektórzy mogliby sądzić, szukając pod czaszką wykutych być może niegdyś w szkole słów: „Nie ma Greczyna ani Żyda” z „Kwiatów polskich”. A przecież to przede wszystkim też św. Paweł. Z Listu do Galatów (3, 28).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem książki „Tajemnicza Kreta. Wolność, historia, legenda” autorstwa Piotra Goćki. Śródtytuły pochodzą od redakcji.



SIOSTRY GOTUJA

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUIK

Delikatniejsze od napoleonek

Ostatnio na Jasnej Górze odbyło się wyjątkowe spotkanie zorganizowane przez wydawnictwo Biały Kruk, w którym miałyśmy okazję uczestniczyć. Przyjechałyśmy na Jasną Górę pół godziny przed spotkaniem głodne, postanowiłyśmy więc coś zjeść. W Barze Pielgrzyma serwowali piątkowe menu: dorsz smażony, duszone ziemniaki i surówka z kiszanej kapusty. Gdy już zjadłyśmy obiad, dostrzegłyśmy w gablocie... kremówki z Wadowic. Upewniwszy się, że to rzeczywiście ciastko dostarczone stamtąd, kupiłyśmy je sobie na deser oraz dla domowników na wynos. Było wymienione!

Interesujące prelekcje m.in. o papieżu Janie Pawle II sprawiły, że przypominały nam się pielgrzymki papieskie, w których uczestniczyłyśmy jako młode dziewczyny. Papieskie kremówki były zaledwie drobiną w jego nauczaniu, ale wrosły w język i kojarzą nam się z Ojcem Świętym.

Kremówki to nic innego jak delikatne francuskie ciasto przełożone kremem z bitej śmietany – w odróżnieniu od znanych napoleonek, w których jest krem na bazie budyniu. Kremówki są delikatniejsze i rozpuszczają się w ustach. Skąd wzięło się to popularne ciastko? W XVII w. zostało przejęte przez Francuzów z Neapolu, którzy nazwali je „mille-feuille”, czyli tysiąc płatków. Nad Wisłą przyjęło się w nieco uproszczonej formie – były to jedynie dwie warstwy ciasta przełożone kremem z bitej śmietany lub budyniu i bitej śmietany.



FOT. ADOLFE STOCK

Do przygotowania tego ciasta możemy wykorzystać gotowe płaty ciasta francuskiego.

Kremówka

- dwa płaty ciasta francuskiego

Ciasto układamy na blaszce, nakładamy widelcem i pieczemy w nagrzanym do 200 st. C piekarniku przez ok. 20 min na złoty kolor. Ciasto wyjmujemy delikatnie i zostawiamy do ostudzenia.

Krem

- litr mleka • 200 g masła
 - 2/3 szklanki cukru • 2 opakowania budyniu waniliowego bez cukru
 - 2 łyżki mąki pszennej • łyżka mąki ziemniaczanej • ekstrakt waniliowy
 - cukier puder do posypania
- 750 ml mleka zagotować z cukrem i ekstraktem waniliowym. W 250 ml mleka, które pozostało, wymieszać budyni, mąki pszennej i ziemniaczanej oraz żółtka. Do zagotowanego mleka wlewamy mieszaninę i szybko mieszamy. Tak powstaje gęsty budyn, który gotujemy ok. 2–3 min.

W osobnej misce przekładamy masło i dodajemy w częściach, przygotowany budyn miksujemy lub mieszamy różgą, aż powstanie gładki krem. Ciasto francuskie przekładamy warstwą schłodzonego kremu na ok. 3–4 cm i przykrywamy drugą warstwą ciasta. Na wierzchu posypujemy cukrem pudrem. Kroimy bardzo ostrym nożem na równe prostokąty. Smacznego! © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Słowo o niczym

Jakiś czas temu brałam udział w naradzie na temat redagowania strony internetowej dużej międzynarodowej marki mody. Byli tam dziennikarze, marketingowcy i specjaliści od Internetu. Naradzano się, jak redagować tę stronę, aby przyciągała jak najwięcej odwiedzających, polubień i reakcji.

Co pewien czas z ust speców od marketingu padało słowo „kontent”. Nawet nie co pewien czas, ale całkiem często. Znałam słowo z innych języków, raczej jako zawartość szklanki, i brzydziło mnie użycie go w sensie „treść”. Zabrałam głos, wyrażając dezaprobatę psuciem mowy polskiej paskudnym żargonem. Współuczestnicy spotkania patrzyli na mnie podejrzliwie, węsząc wariatkę.

Wtedy nie wiedziałam, że „kontent” to jedno z kluczowych słów współczesności. Teraz wiem, chociaż do końca nie rozumiem, czym się różni kontent od treści. Podejrzewam, że treść jest o czymś, a kontent o niczym. Jest to wata szklana, wypełniacz pustych przestrzeni Internetu.

Od tamtej pory dużo się zmieniło, blogi i influencerzy stali się codziennością mediów, pojawił się TikTok, który odepchnął Instagram i Facebook, przejmując młodszą porcję publiczności.

A tu nagle z sieciowych czeluści wyskakuje mi informacja o pewnej tiktokerce, która dotychczas nadawała swój k o n t e n t z Paryża,

ale teraz wróciła zdęgowana do Polski. Bo Paryż jest za drogi, mówi się tam po francusku i jest za mało paczkomatów. „Jako twórczyni kontentu odbiera bowiem wiele przesylek, co nie było dla niej problemem w Polsce, gdzie otrzymywała swoją paczkę w przeciągu dwóch-trzech dni od wysyłki pocztą lub do automatu paczkowego. We Francji paczki bardzo często się gubią i jako że w Paryżu jest niewiele automatów paczkowych” (pisownia oryginalna).

Że też Francuzi nie chcą mówić po polsku! Gdyby we Francji mówiło się po polsku, łatwiej byłoby tworzyć kontent.

Żarty na bok. W Irlandii, 80 km na północ od Dublina, wśród zielonych soczystych wzgórz, na Uniwersytecie Carlow, można nauczyć się tworzenia kontentu. „Content creation and social media” – tak się nazywa nowy kierunek studiów. „Nie chodzi tylko o zamieszczanie zdjęć siebie, ale o dziesiątki godzin pracy nad komunikacją, marką, wizerunkiem, odbiorcami” – mówi dziennikowi „Le Figaro” Irene McCormick z Carlton.

Studenci uczą się tworzenia podcastów, zachowania przed mikrofonem. O czym będą mówić? Pisać? Wydaje się, że najlepiej znanym im tematem będzie, „jak tworzyć kontent”. Do czytania, do słuchania. O czym, to nieważne. Może być o niczym. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dwa konie polityki

No, przeszło wzmożenie kampanijne i można się powoli ogarniać. Ultras od razu wskoczyli w taktyczne konsekwencje wyniku 51:49, czyli szachy koalicyjne i mnożenie permutacji wariantów zdarzeń przyszłych. Przegrani rzucili się we frustrację, obwiniając miliony „kolegów sutenera”, co nie wróży pokoju społecznego. Wyborcy zaciśniętych zębów z niedowierzaniem po raz kolejny patrzą, jak PiS uważa, że zagłosowano za nim, co grozi – znowu – kompletnym rozminięciem się partyjnych triumfatorów z rzeczywistymi motywacjami głosujących za mniejszym złem.

Podjedźmy do tego inaczej: otóż mamy dziś przykład rozjechania się dwóch podstawowych aspektów polityki: zdobywania władz oraz zdolności do jej sprawowania. Obecnie żyjemy w żywym przykładzie rzeczywistości zarządzanej przez koalicję, która wiedziała, jak władzę zdobyć, ale nie wie, jak rządzić. Skąd to się bierze?

Ano, jak to mówił złotousty „bonmociarz”, czyli Wałęsa: „Są konie do biegu i są konie do pracy”. Władzę w demokracji narracyjnej zdobywają bezczelne i mocne w pysku gaduły, wyposażone w armie medialne. Dzięki dobremu przeliczeniu systemu wyborczego i badaniom opinii publicznej wiedzą politycy, do kogo i gdzie powiedzieć, by zagłosowano na nich. To ważna umiejętność, tyle że nie ma ona nic wspólnego z kompe-

tencją późniejszego rządzenia. Jest nawet często z tymi umiejętnościami sprzeczna. Obiecać można wszystko, bez rozliczenia z obietnic, bo priorytetem staje się jedyny filar programowy: osiem gwiazdek. Ale... i tego się nie dowozi.

I potem się zaczyna – jak nie dowożą, to tylko o tym ładnie opowiadają. Po prostu robią to, co potrafią: nie umiejają we władzę, a w tłumaczenie potrafią, więc zamiast rządzić, zajmują się narracją. Ta może na wiele sposobów tłumaczyć ich nieudolność – najczęściej zrzucają winę na przeciwników, tłumacząc się, że to przez tamtych – co prawda, nie rządzą, ale sypią piach w tryby nowego. Nic to nie zmienia w sytuacji rządzonych – nawet ich zwolenników – i by to przykryć, rozkręca się spirala coraz agresywniejszych narracji.

Właśnie mamy taki fenomen w pigułce – lud wybrał prezydenta, o którego poglądach właściwie nic nie wie, bo kampanijne zaśpiewy jako poważne może uznać tylko ktoś wysoce naiwny. Mamy więc tabularasa, na której nie wiadomo, kto co napisze: czy sam zwycięzca czy całkiem ktoś inny. A może będzie to praca zbiorowa? Nowy fukus gonitwy Wielkiej Najjaśniejszej przebiegł pierwszy przez metę, ale czy nadaje się do roboty – zobaczymy. Obstawiono go w ciemno – tak wielka była obawa, by nie wygrała stara, zgrana szkapą. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Siła ducha

Wśród zagranicznych doniesień o wyborach prezydenckich w Polsce zwróciłem uwagę na „Der Spiegel”: „Karol Nawrocki, unijny sceptyk i nacjonalista, został prezydentem. I co jest w tym najbardziej szokujące? Bezradność jego liberalnych przeciwników. Popularny i doświadczony politycznie prezydent Warszawy, Rafał Trzaskowski, próbował wszystkiego: nawet przechylił się na prawo pod względem treści, podróżował po kraju z dala od miast, pokazał, że jest skłonny do rozmów. Niestety, nic nie pomogło” – użala się autor.

Dlaczego tak się stało? Jakie czynniki przesądziły o zwycięstwie konserwatysty i katolika? Karol Nawrocki w pierwszych słowach po ogłoszeniu exit poll, wskazujących na zwycięstwo konkurenta, zacytował fragment Starego Testamentu: „Jeśli upokorzy się mój lud, nad którym zostało wezwane moje Imię, i będę błagać, i będę szukać mego imienia, i odwrócą się od swoich złych dróg, ja im wybaczę, a kraj ich ocale”. W socjologicznych, statystycznych i politologicznych analizach, których pełno w mediach, wymiar duchowy (co zupełnie zrozumiałe) nie jest uwzględniany. A przecież konfrontacja kandydatów w drugiej turze była także starciem przeciwnych cywilizacji. Choć katolickie media jednoznacznie opowiedziały się po stronie Nawrockiego, to w oficjalnych wystąpieniach hierarchii trudno doszukać się

poparcia kandydata prawicy. Natomiast wypowiedź papieża Leona XIV z audyencji generalnej 21 maja nie pozostawia wątpliwości: „Pozwólcie, by ziarno Słowa Bożego mogło w was zakiełkować i wydać obfity plon. Słuchajcie tego Słowa z uwagą, by móc dokonywać mądrych wyborów w życiu osobistym, rodzinnym, a także społecznym”.

W okresie kampanii wyborczej liczne były wydarzenia religijne. Część z nich wynikała z kalendarza liturgicznego: 3 maja – uroczystość Matki Bożej Królowej Polski, 8 maja – uroczystość św. Stanisława, biskupa i męczennika, głównego patrona Polski, 16 maja – uroczystość św. Andrzeja Boboli, męczennika, patrona Polski, 28 maja – wspomnienie błogosławionego prymasa Stefana Wyszyńskiego. Wydarzeniem łączącym wymiary historyczny i duchowy były kwietniowe obchody 1000-lecia dwóch koronacji. Sprawa wyborów prezydenckich, o której wiemy z najbliższego otoczenia, a czego skala nigdy nie będzie poznana, była silnie obecna w osobistych, indywidualnych intencjach modlitewnych, nowennach i postach.

Grzegorz Górny w arcykawkiej książce wydanej z okazji Millennium Koronacji Bolesława Chrobrego pt. „Duchowa historia Polski” pokazuje, jak pomijany przez badaczy czynnik wpłynął na nasze dzieje. Czy Górny powinien gromadzić już materiał na kolejny tom? ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Jakby co, prosić Michnika

Donald Tusk – chwilowo zatrudniony na stanowisku premiera – obiecał po spektakularnych medialnych szopkach z biznesem i z Rafałem Brzuską, że do końca maja przedstawi 100 ustaw deregulacyjnych. Stop. Tak nie do końca, tak niecałkowicie udało z tą liczbą, bo Tusk przedstawił 0 (słownie: zero) ustaw. Stop. Zabrakło mu w pewnym sensie jedynki i zera, ale „Cóż szkodzi obiecać”. A właśnie, właśnie, poseł PO Przemysław Witek, który w Polsce wypowiedział tę słynną polityczną maksymę swego ugrupowania: „Cóż szkodzi obiecać”, został zawieszony na trzy miesiące w prawach członka. Stop. Nie chodzi o to, że skłamał, chodzi o to, że nazbyt był wylewny. Mój znajomy pewnego typu ludzi określa słowami: „Głupi, to prawda, ale za to leniwy”.

Widok podskakującego z radości Rafała Trzaskowskiego z całym sztabem i osobistą żoną Małgorzatą ps. Kupa Serducha po ogłoszeniu wyników exit poll zostanie z nami na zawsze. Stop. Michał Kamiński (Nowe PSL), który nie może się zdecydować, kogo nie cierpi bardziej – Kaczyńskiego czy Tuska – określił to jako skakanie na własnym pogrzebie, co jest lekko plastyczne i poetyckie. Stop. Niemniej te żarty z Trzaskowskiego i z jego żony, którą ogłosił przedwcześnie pierwszą damą, te żarciki typu „pierwsza dama na godzinę” są po prostu niskie i nikczemne, muszą to zaznaczyć. Stop.

Uczciwie dodam, że są też śmieszne. Stop.

Prosta rada dla tych, którzy będą się zajmować przyszłymi wyborami prezydenckimi. Jeżeli chcecie, żeby konkretna osoba przegrała wybory, to poproście Michnika i „Gazetę Wyborczą”, żeby inteligencja z Czerskiej tę konkretną osobę popierała. Stop. Trik sprawdzony na Tadeuszu Mazowieckim, Jacku Kuroniu, Donaldzie Tusku, Bronisławie Komorowski i dwukrotnie na Rafale Trzaskowskim. Stop. Poparcie Michnika w ciąży czy bez ciąży to absolutny pewniak! Stop.

Co najmniej trzech amerykańskich obywateli miało nielegalnie pomagać Karolowi Nawrockiemu w kampanii. Stop. Policja zna personalia i jedną z tych osób zatrzymano. Stop. Mowa o Zorro, Spidermanie i Batmanie. Stop. Batman nie poszedł na współpracę. Stop. Po zatrzymaniu rzekł hardo: „Nie zrobicie ze mnie sześćdziesiętny”. Stop. Dla tych z państwa, którzy z jakichś powodów nie siedzieli jeszcze w więzieniu, tłumaczę: „sześćdziesiętny” to osoba, która doniosła na innych, żeby dostać mniejszy wyrok, a nazwa pochodzi z art. 60 Kodeksu karnego.

Po wyczynie Gajewskiej, która skompromitowała siebie i Trzaskowskiego, przynosząc w trakcie w kampanii w prezencje do hospicjum ziemniaki, wypowiedzanie słów: „ziemniaki”, „kartofle” i „obierać” zostało w ścisłym kierownictwie Platformy zakazane do odwołania. Stop. ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Przyczajone tygrysy

Drość niezwyklego odkrycia dokonali dziennikarze Telewizji Republika. Poinformowali oni właśnie, że na terenie aeroklubu Laszki, położonego na Podkarpaciu, znaleziono osiem stojących tam bez opieki kontenerów zawierających broń. Kontenery pozostawały niestrzeżone od kilku tygodni, a może nawet miesięcy. Dopiero parę dni temu zainteresowały się nimi polskie służby. Indagowany na okoliczność tajemniczego znaleziska minister Kosiniak-Kamysz sprawiał wrażenie osoby, dla której tego rodzaju odkrycia to bułka z masłem. „Służby pracują już nad tym, jest to sprawa, która jest znana, jest analizowana. Wszystko jest zabezpieczone” – uspokajał minister.

Choć władze zapewniają opinię publiczną, że „sprzęt nie należy do polskiego wojska”, to nie udało się dotychczas ustalić, do kogo w takim razie należy. Być może polskie służby mogą się od właściwicieli domagać znaleźnego. Jest to zwyczajowa nagroda pieniężna przysługująca osobie, która odkryła zgubę i zwróciła ją prawowitemu właścicielowi. Wynosi ona aż 10 proc. wartości zwróconych przedmiotów. Jeśli wierzyć zapewnieniom ministra koordynatora służb specjalnych Jacka Dobrzyńskiego, że znaleziona została „broń przeciwlotnicza, swojego rodzaju wyrzutnie”, to mamy do czynienia z przedmiotami cennymi, więc ewentualne

znalezne może być niemałą fortuną.

Bardzo podobna przygoda przydarzyła się przed kilkoma miesiącami z 240 minami przeciwpancernymi należącymi tym razem do Wojska Polskiego. Znalaziono je w magazynie sklepu meblowego IKEA w Podlaskiem. Miny zdążyły jednak pojeździć koleją po Polsce, odwiedzając kolejno Szczecin, Poznań, Warszawę i Białystok. Media nie poinformowały dotychczas o wypłaceniu znaleźnego czujnym magazynierom IKEA.

Przy takich incydentach zagubienie karabinu wyborowego BOR przez żołnierzy naszej obrony terytorialnej wydaje się incydem dość błahym. Karabin zwrócił na komendę policji chłopiec przyprowadzony przez mamę. Dobrodziejstw tak starannej opieki rodzicielskiej nie zaznał niestety były komendant polskiej policji Jarosław Szymczyk, którego na Ukrainie obdarowano „swojego rodzaju wyrzutnią”. Komendant w miejscu pracy pomylił ją z boomboxem.

Polscy analitycy wojskowi lubią cytować chińskiego klasyka strategii Sun Tzu. „Gdy jesteś zdolny, udawaj niezdolnego; gdy działasz, udawaj bezczynnego”. Jeśli kompetencje naszej armii i służb oceniać należy po biegotach, z którą udawać potrafią ich brak, to Sun Tzu na ich widok zakrzuciłby się ryzem. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Jasna pani”, „Panie Ładny”

Korespondencja Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta, opublikowana pt. „Jacyś złośliwi bogowie zakpili z nas okrutnie”, jak wszystko, co dotyczy Szymborskiej, została przez jej dwór zagłaskana na śmierć, „krakówek” zachwyca się też sztuką wystawioną na jej podstawie przez Stary Teatr, reklamowaną również jako „niezwykła historia głębokiej przyjaźni obojga poetów, listowny flirt, może nawet romans”, choć to chciejstwo i nadużycie, bo niczego takiego tam nie ma.

Po nazwiskach autorów wiele się spodziewamy, ale ich listy rozzaczarowują i kudy im do rewelacyjnej korespondencji Herberta

zentowanymi wielokrotnie infantylnymi wyklejankami Szymborskiej, reprodukcjami kiczowatych przedwojennych pocztówek z kwiatkami i wierszykami typu „Ach, luby, nie opuszczaj mnie”.

Wbrew zapowiedziom o historii ich przyjaźni zwłaszcza listy najwcześniejsze są służbowe, oficjalne, dotyczą spraw wydawniczych – Szymborska jest kierowniczką działu poezji w tygodniku „Życie Literackie” twardego towarzysza Machejka, „Redaktorką Literackiej Rzeczy”, „Jasną Panią” – jak nazywał ją Herbert – członkiem partii i w 1955 r., po odwilży, pisała do niego per „Wy”: „Prosimy Was o wiersze

zartując, że to dlatego, „aby ich więc nie uległa zerwaniu”. Mimo jego próśb nie odsyłała niedrukowanych, obrażała się, gdy sprzedawał je do „Twórczości”, obiecywała kolejne terminy. „Jeśli nie możesz drukować, to odeślij, błagam, bo bryndza, muszę gdzieś sprzedać. Forsy mało, a chałtura nie idzie [...] Potrzebuję miłości i pieniędzy” – powtarzał jej.

Nic więc dziwnego, że zależny od „Radachtorki” obłaskawiał ją komplementami, którymi sam się chyba bawił, pisząc np. „Rączyny drobne, palusie różowe, każde paznokciunio całuję” albo: „Wiśła, Ty moje życie, Ty moje tiu, tiu, tiu” czy „Luno moja”. Ona natomiast nazywała go niezbyt uprzejmie „Panem Ładnym”, udając jego wielbicielek; przebaczała mu wszystko, nawet to, że jest „gruby”. Dziękując mu za przesłane jej jego „Studium przedmiotu”, odpisała: „Książeczka jest piękna, nawet ładniejsza od Ciebie”.

Kończy ich korespondencję jednozdaniowy telegram Herberta z roku 1996, gratulujący Szymborskiej Nagrody Nobla, i jej odpowiedź, że to on powinien ją dostać. Ale tak kulturalnie wcale się nie skończyło. Był od lat kandydatem do Nobla, zareagował więc gwałtownie i w swoim szkicowniku narysował złośliwą karykaturę Wisłoki, bohaterki „szwedzkiej kombinacji”, jako wiedźmy zjeżdżającej na nartach z miotłami zamiast kijków. Ryszard Krynicki, który te listy opracował, słowem jednak o tym się nie zająknął, obciął Herbertowi kły i pazury, przedstawiając jako politycznie poprawnego, bezzębnego staruszka. „Kornik napisze mój uładzony życiorys” – przewidywał Herbert. I tak się stało. ©

Nic więc dziwnego, że zależny od „Radachtorki” obłaskawiał ją komplementami, którymi sam się chyba bawił. Ona natomiast nazywała go niezbyt uprzejmie „Panem Ładnym”, udając jego wielbicielek

do Haliny Misiólek („Listy do Muzy”), do przyjaciół: Magdaleny i Zbigniewa Czajkowskich („Kochane zwierzątka”), Miłosza, Turowicza, prof. Elzenberga. Tomik Herberta i Szymborskiej jest przede wszystkim bardzo cienki, liczy zaledwie 168 stron i zawiera tylko 91 listów, częściej kartek, pisanych przez 30 lat, na ogół krótkich, jedno- lub dwuzdaniowych, lakonicznych, powierzchownych, niewnoszących nic nowego do biografii obojga, pozbawionych choćby jednego poważniejszego problemu, dowodzących, że Herbert nie traktował „kochanej Wisłoki” jako partnerki. Gdyby ich tomik ograniczyć tylko do treści, byłby jeszcze cieńszy, rozdęto go pre-

do kolumny debiutantów, którzy mają w przyszłym roku wydać swoje tomiki”. Dopiero w listach kolejnych tytułowała go „Szانونym Ktołogą”, „Drogim panem Zbyszkciem”.

A gdy dalej do „Rzeczy” pisywał, dawała mu szkołę – upominała, popędzała, wyznaczała terminy, gubiła jego wiersze, które się w końcu znajdowały („A już myślałam, że Pan w ogóle ich nie wysłał” – pisała); nie dbała o korektę i w wierszu „Studium przedmiotu” – jak zwracał jej grzecznie uwagę – znikł podział na części: zamiast „obrazu” było „obożu”. I – co było dla biedującego wtedy Herberta wyjątkowo dotkliwe – nie drukowała jego wierszy, lecz przetrzymywała je,

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy Trump wprowadził cła, eksperci wrzeszczeli o inflacji i recesji. Cło miało spowodować drożyznę i braki towarów. Ci eksperci (obecni również w polskich telewizjach) nadają się do kosza – wszyscy won. Myślę ciągle, to dlaczego wciąż są zapraszani? Dlaczego nadal nazywa się ich „eksper-tami”, skoro ich ekspertyzy są błędne? Straszą ludzi, nie mają racji, opowiadają wredne kłamstewka.

Odkąd Trump wprowadził cła, inflacja w Ameryce spada, jest w tej chwili najniższa od czterech lat i nadal spada. Życie w USA robi się coraz tańsze, a nie droższe.

Gdy Trump ogłosił wprowadzenie ceł, giełda poszła w dół i eksperci wyliczyli, że to były „największe spadki w historii giełdy”. Siedemdziesiąt krajów świata zareagowało natychmiast, obiecując Trumpowi, że zniosą po swojej stronie cło na towary amerykańskie, a w zamian za to proszą o cofnięcie ceł wprowadzonych przez Trumpa. Giełda odbiła w górę i wróciła do normy. Czyli najpierw spadła i to był „największy spadek w historii”, a potem wzrosła o tyle samo, o ile spadła, czyli to był największy skok w górę w historii, ale o tym największym w historii skoku w górę już żaden ekspert nie powiadomił nas w telewizji. Zauważyli największy spadek, ale nie zauważyli największego wzrostu. Takich mamy ekspertów – są wredni. Straszą ludzi, sieją zamęt.

Gdy giełda spadła, mówili, że „ludzie stracili swoje



FOT. W. CEJROWSKI / LUDYJARDASAW.SUSNICKI

pieniądzę” – to było nieuczciwe, bo nikt niczego nie stracił – ceny akcji się zmieniły, ale to nie oznacza, że ktoś coś stracił. Przykład: Jeżeli ktoś kupił akcje Tesli dawno temu po 100 dol., a potem cena giełdowa tych akcji stale rosła, to ten ktoś jeszcze niczego nie zarobił. Zarobek lub strata pojawiają się dopiero w chwili sprzedaży akcji. Gdy akcje kupione kiedyś po 100 dol. mają cenę 350, a potem cena spada do 150 dol., to nadal niczego nie zarobiliśmy ani nie straciliśmy. A gdybyśmy sprzedali te akcje w panice po 150 dol., to też niczego nie straciliśmy. Przeciwnie – zarobiliśmy 50 dol. na sztuce, mimo że sprzedaliśmy w panice tanio. Dzień później giełda skacze w górę i wraca do normy, a te akcje są znowu warte 350 dol. No to możemy wtedy sobie pluć w brodę, żeśmy spanikowali i sprzedali tanio po 150, ale **NADAL NIKT NIE STRACIŁ ŻADNYCH PIENIĘDZY**.

6 kwietnia Polsat podawał: Na giełdzie spadki. Najwięcej stracili najbogatsi, w tym Elon Musk w czołówce. Czy Polsat zatrudnia ekspertów od giełdy? Jeśli tak, to ci ludzie są nic niewarci. Gdy giełda spadła na jeden dzień, Elon nie sprzedał żadnej swojej akcji, więc nic nie stracił. Gdy giełda wróciła do normy, Elon miał w swoim posiadaniu tyle samo akcji co dzień wcześniej.

Z akcjami jest tak jak z walutą ukrytą w poduszce. Masz trochę dolarów i one są ileś warte w kantorze. Pewnego dnia cena w kantorze spada.

Dolary nadal siedzą w poduszce, nic z nimi nie robisz, nie straciłeś żadnych pieniędzy – zmieniła się jedynie cena kupna/sprzedaży w kantorze.

31 maja w polskich mediach informacja: „Trump rozstaje się z Muskem”. Gdy człowiek widzi taki tytuł, to zaraz myśli, że Trump Muska wywalił z roboty. Prawda jest taka, że Elon Musk został zatrudniony na czas określony i ten czas się skończył. Przepisy podobne jak w Polsce przy zatrudnieniu na umowy-zlecenia – gdy taka umowa trwa zbyt długo, przepis wymaga, by ją zmienić w normalny etat. Gdyby Musk miał pracować dłużej, trzeba by jego stanowisko zatwierdzać poprzez Kongres. Musk tego nie chciał. Prowadzi kilka swoich firm, szykuje lot na Marsa, zrobił swoje, a teraz wraca do prowadzenia swoich biznesów. Na zamknięcie tego etapu współpracy Trump wręczył Muskowi złoty klucz do Białego Domu – atmosfera była miła.

Publiczna kłótnia zaczęła się dopiero kilka dni później i poszło o pryncypia ekonomiczne – o to, w jaki sposób uratować Amerykę od bankructwa. Trump i Musk od początku różnią się w tej kwestii ZNACZĄCO i to nie było tajemnicą. Elon Musk jest za tym, by eliminować deficyt i długi zagraniczne Ameryki poprzez ostre cięcia wydatków wszystkich jak leci. Trump woli eliminować deficyt i spłacać amerykańskie zadłużenie po-

przez rozkręcanie gospodarki, bo wtedy do kasy państwowej wpada więcej forszy z podatków i jest czym spłacać dług. W kilku branżach Trump chce zwiększyć wydatki federalne – Musk chciałby wszędzie ciąć. Trump uważa, że te zwiększone wydatki to inwestycja, która rozkręci biznes do poziomu takiego, że Ameryka utonie w pieniądzach.

Trump może mieć rację. Jego pomysł na zwiększenie wydatków federalnych to np. budowa Złotej Kopuły Obronnej nad USA i Kanadą, tak aby nie przedarły się żaden dron szpiegowski ani wybuchowy, żadna rakietka, obcy samolot, balon – nic. Złota Kopuła to kolosalny wydatek, ale jednocześnie ogromne przychody z podatków, bo wiele firm zajmie się produkcją elementów Kopuły, a skoro przywaciarze zajmą się produkcją i przywaciarze zarobią, to zapłacą podatki.

Drugim projektem na skalę światową jest odbudowa przemysłu stocznioowego. Ameryka była kiedyś największym na kuli ziemskiej producentem statków. Teraz najwięcej stocznii mają Chiny. Trump chce złożyć kolosalne zamówienia na okręty, łodzie podwodne i inne jednostki pływające dla amerykańskiego wojska. Ten wydatek federalny ma doprowadzić do odbudowy potężnego przemysłu stocznioowego, który w USA zdechł. Trump chce tego kolosa obudzić i w ten sposób zwiększyć dochody państwa, zlikwidować deficyt i spłacić dług zagraniczny.

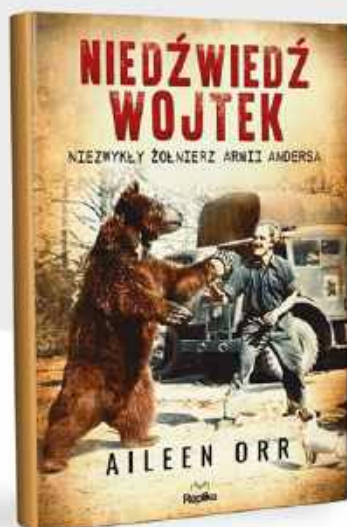
Trump i Musk to samce alfa – gdy się w czymś nie zgadzają, walczą jak samce alfa. Twierdzenie, że się pokłócili jak dwie baby, to kłamstwo. Obaj są patriotami i mamy do czynienia z walką o pryncypia. ©©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LITERSKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AILEEN ORR:

„NIEDŹWIEDŹ WOJTEK”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~761~~ ZŁ

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 469 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA [SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL](https://subskrypcja.dorzeczy.pl), WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPLATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 14ee39649e

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Nowa, finalna data zapisów
na akcje Do Rzeczy S.A.
do 13 czerwca.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

**Inwestuj
w uczciwość!
Kup akcje
Do Rzeczy S.A.**

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
- LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA NEW/CONNECT (GPW)

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.